

WIELKIE SERIE SF

GWIEZDNE WOJNY™

LANDO CALRISSIAN
I OGNIOWICHER OSEONA




AMBER

L. NEIL SMITH

L. NEIL SMITH

PRZYGODY LANDO CALRISSIANA II

**LANDO CALRISSIAN
I OGNIOWICHER OSEONA**

(Lando Calrissian and The Flamewind of Oseon)

Przekład
Andrzej Syrzycki



*A tę książkę dedykuję
J. Neilowi Schulmanowi i Victorowi Komanowi,
parze kart, jeżeli mogę ich tak nazwać*

ROZDZIAŁ I

Mógł mieć trochę ponad metr wysokości, jeżeli liczyć od górnej krawędzi lśniącego jak lustro pięciobocznego torsu - pośrodku którego jarzyło się ciemnoczerwonym blaskiem wielofasetkowe oko szerokokątnego obiektywu - do delikatnych jak piórka końców giętkich chromowanych macek.

Miał ich pięć - dokładnie tyle, ile wydawało mu się, że powinien. Mimo wszystko, czyż nie został stworzony na podobieństwo swoich konstruktorów?

Reagował, kiedy nazywano go Vuffi Raa, co - w innym systemie liczenia i innym języku, jakim posługiwały się istoty, zamieszkujące przeciwległy kąt galaktyki - oznaczało najzwyczajszą liczbę. Tu zaś, gdzie przebywał, mogło być uważane za imię.

W tej chwili Vuffi Raa się spieszył.

Wysadzana drzewami esplanada Oseona Sześć Tysięcy Osiemset Czterdzieści Pięć była szeroka, przecinającą dżunglę brukowaną aleją, przeznaczoną wyłącznie dla ruchu pieszego, bez względu na to, jakimi środkami transportu mogłyby chcieć poruszać się po niej różne inteligentne istoty. Została zaopatrzona w sztuczną grawitację, sięgającą na głębokość trzech metrów, by sprostać wymaganiom nawet najlżejszych istot. Po obu stronach esplanady rozsiadły się eleganckie, chociaż nie rzucające się w oczy sklepy, których klientami byli tylko najbogatsi spośród najbogatszych.

Powiadano, że koszt wynajęcia jednego metra kwadratowego powierzchni chronionego przez kopułę terenu, przylegającego do esplanady Oseona Sześć Tysięcy Osiemset Czterdzieści Pięć, jest największy w całym znanym wszechświecie, a klienci, spacerujący ciągnąc się całymi kilometrami aleją, zaliczają się do najzamożniejszych. Vuffi Raa nic na ten temat nie wiedział, co było rzadkim brakiem w jego bazach danych. Należałoby jednak zacząć od tego, że nie miał pod ręką (o ile można użyć takiego słowa) odpowiednich danych statystycznych. A gdyby musiał wyrazić swoją opinię na podstawie tego, co widzi - czyli jedyne go dostępnego sposobu - powiedziałby, że prawdą jest coś wręcz przeciwnego. Nie wszyscy, których widział, zaliczali się do bogaczy. Nie wszyscy przylecieli, by sprzedawać i kupować.

Rozważania na ten temat sprawiły, że znów zaczął myśleć o sprawie, która skłaniała go do pośpiechu. Pragnął jak najszybciej zobaczyć się ze swoim właścicielem - ostatnim spośród wielu, jakich miał, i pierwszym, który miał szansę nie trafić na żenująco długą listę osób bardzo niezadowolonych z jego usług.

Cwirli- czirk!

Jakaś rzecz, która mogła być śpiewającym ptakiem, siedząca na gałęzi czegoś, co mogło uchodzić za posadzone na skraju esplanady gęste krzaki, głośno zaćwierkała, na chwilę wyrwyjąc małego robota z zadumy. Vuffi Raa wiedział, że na takiej asteroidzie, zamienionej w hołdujący kosmopolitycznym poglądom luksusowy ośrodek wypoczynkowy, ćwierkająca rzecz mogła być najzwyczajszą rośliną, starającą się przywabić przenoszące pyłek stworzenia, a gałązka rzekomego krzewu, gdzie przycupnęła - zwierzęciem, które zapuściło korzenie w grunt asteroidy. Tak samo wyglądał zresztą cały system Oseona, zamieniony w ogromny ośrodek rozrywek i uciech dla bogaczy, zaprojektowany i wykonany przez sprytnych konstruktorów w taki sposób, aby stanowić źródło wielu niespodzianek.

Ale, z drugiej strony, czyż nie takim właśnie źródłem było całe życie? Przemawiałaby za tym choćby sama obecność małego robota i jego pana na tej luksusowej asteroidzie.

Vuffi Raa uczynił wysiłek, żeby skupić myśli na sprawach najważniejszych. Był

wieloczynnościowym robotem drugiej klasy. Pod względem umysłowym i emocjonalnym niemal dorównywał inteligentnym istotom organicznym. Jakiś nie skorygowany błąd w oprogramowaniu sprawiał jednak, że jego myśli zbaczały od czasu do czasu na inne tory albo mąciły się podczas stosowania metafor. Taką cenę musiał zapłacić za to, że był jednym z niewielu automatów obdarzonych wyobraźnią.

W tej chwili jednak nie mógł pozwolić sobie na luksus skorzystania z niej. Zbliżył do oka szerniały przedmiot, który niósł swojemu panu jako dowód. Była to bryła stopionego metalu i krzemu o rozmiarach pięści. Jeszcze kilka godzin wcześniej pełniła funkcję hybrydyzatora neutrin - wrażliwego i bardzo ważnego urządzenia, stanowiącego część jednostki napędu podświetlnego pewnej klasy przestarzałych gwiazdnych statków.

A teraz wyglądała jak nie warta mikrokredyta kula, wygrzebana ze środka asteroidy.

Niezupełnie świadomym, chociaż do złudzenia przypominającym ludzki gestem, Vuffi Raa uniósł wolną macę i podrapał się po górnej części pięciobocznego torsu - czyli miejscu, które mogło uchodzić za głowę. Mały robot miał symetryczną budowę i nie stanowiło dla niego żadnej różnicy, których giętkich macek używał, aby chodzić, a które służyły mu do trzymania, przenoszenia albo podawania przedmiotów. Takich jak ta zdradziecka, zwęglona bryła niedawno stopionego kwarcu i platyny.

Vuffi Raa był uniwersalnym, wszechstronnym, symetrycznie skonstruowanym, uzdolnionym automatem. I bardzo zmartwionym.

Nie zwracając większej uwagi na otoczenie, szybko przeszedł obok ocienionego drzewami ozdobnego stawu. W głębokiej na pół metra wodzie, stworzenie, wyglądające jak coś pośredniego między zielonym ssakiem a wieloprzegubowym owadem, zanurzyło linę, będącą w rzeczywistości przedłużeniem prawej przedniej nogi. Po powierzchni wody rozeszły się koliste kręgi, a później rozległ się cichy plusk, zakończony głośniejszym trzaskiem. Stworzenie wyciągnęło niewielką, wielobarwną rybkę, natychmiast ją pożarło, po czym wypłuło kręgosłup i ości do wody. Vuffi Raa chyba niczego nie zauważył. W końcu dotarł do upiękzonej kosztownymi ozdobami płyty drzwi, będących wejściem do hotelu Drofo. Braterskim salutem pozdrowił stojącego obok nich androida- portiera, pomalowanego w pełniące funkcję liberii jaskrawe złote i purpurowe pasy, po czym udał się prosto do jednego z ośmiu szybów wind, umożliwiających dostanie się pod ziemię, gdzie znajdowały się pomieszczenia hotelu. Na asteroidzie, nawet takiej jak Oseon Sześć Tysięcy Osiemset Czerdzieści Pięć i nawet w przypadku najbardziej luksusowego hotelu, zajmowana powierzchnia miała bardzo wysoką cenę. W przeciwieństwie do głębokości, która uchodziła za tanią.

Vuffi Raa wcisnął guzik, umieszczony obok miniaturowego napisu KORYTARZ, i zaczął, aż kabina windy oceni jego masę, po czym zjechał - chociaż „opadł” byłoby lepszym określeniem, gdyż siła ciężenia miała zaledwie ułamek wartości tej, jaka panowała na powierzchni - kilkadziesiąt metrów, by w końcu delikatnie spocząć na wyściełanej podłodze, kiedy kabina się zatrzymała. Wysiadł i znalazł się w gwarnych i rojnych podziemiach hotelowych.

W tłumie najrozmaitszych istot można było dostrzec wiele androidów. Większość z wyróżniających się wyglądem i liczbą automatów pełniła taką czy inną służbę.

Jak galaktyka długa i szeroka, roboty były obiektami okrutnych i irracjonalnych przesądów albo uprzedzeń. Na szczęście w systemie Oseona problem ten po prostu nie istniał. Cynicy twierdzili, że ani obecni mieszkańcy, ani ich przodkowie nie musieli się martwić o to, iż stracą pracę. Pomieszczenie wypełniały tłumy możnych i szlachetnie urodzonych gości, przybyłych na wakacje albo wygnanych z wielu światów. Widziało się w nim bogatych przedsiębiorców - emerytowanych albo wciąż jeszcze zarządzających swoimi firmami - a także majorów, pułkowników i generałów. Nie brakowało również gwiazdnych piratów,

parających się porywaniem ludzi bądź towarów, którzy albo byli kiedyś arystokratami, albo później nabyli szlacheckie tytuły. W tej chwili ocierali się ramionami - i innymi, niepodobnymi do ludzkich częściami ciał, o znane osobistości przemysłu rozrywkowego, przybyłe z milionów najróżniejszych światów.

Mały android nie wątpił, że mężczyznę, z którym chciał się spotkać, znajdzie w jednym z niewielkich salonów gry, wyposażonych w kosztowne meble i usytuowanych właśnie na tym, najniższym poziomie hotelu. Do większości takich pomieszczeń wchodziło się z głównego korytarza. Vuffi Raa przypuszczał, że znalezienie salonu nie sprawi mu takich trudności, jak dostanie się do środka. Hazardziści zazdrośnie strzegli swojej prywatności. Rozmyślał o nowinie, jaką miał przekazać swojemu panu. Mimo iż czuł opory, aby mu ją oznajmić, przeciskał się przez tłum odzianych w kosztowne stroje gości.

Wiedział, że istoty ludzkie nie potrafią znieść zbyt wielu niepomysłnych wieści naraz.

A wszystko zaczęło się jak najzwyczajsza przygoda. Jego pan wygrał w karty gwiazdny statek - niewielki zmodyfikowany frachtowiec o nazwie „Sokoł Milenium”. Kierowany kaprysem, zapragnął dodać tytuł „kapitana” do wielu innych profesjonalnych tytułów, którymi mógł się poszczycić: hazardzisty, zawadiaki i poszukiwacza przygód. Z każdego był ogromnie dumny, chociaż „artystę- oszusta” przedkładał ponad wszystkie inne, jakie zazwyczaj miewali na ostrych końcach bezlitosnych języków przedstawiciele władz.

Z początku był beznadziejnie niedoświadczonym pilotem. Vuffi Raa, który dzięki wszechstronnemu oprogramowaniu mógł uważać się za eksperta w tej dziedzinie, podszedł do rozwiązania problemu w dwojaki sposób. Kiedy zachodziła potrzeba, sam pilotował „Sokoła Milenium”, a kiedy pozwalały na to czas i okoliczności - uczył tej sztuki swojego pana.

Wygrał on Vuffiego Raa także podczas gry w karty. Pociągnęło to zresztą za sobą całą lawinę zdarzeń, której kulminacyjną chwilą stało się opuszczenie systemu Rafy z ładowniami „Sokoła” wypełnionymi ostatnimi bajecznymi kosztownymi życiokryształami, które tam zebrano. Był to jedyny ładunek, jaki legalnie wywieziono z systemu prywatnym transportowym gwiazdnym statkiem. Byli zatem bogaci. Na razie.

Mimo to jego pan nie sprawiał wrażenia osoby z uszczęśliwionej tym faktem. Zapewne dlatego, że musiał ciągle wypełniać różne formularze — by uzyskać zgodę na lądowanie, obliczyć koszty własne albo oszacować zyski. I to pomimo iż pomagał mu w tej ciężkiej pracy Vuffi Raa... Wyglądało na to, że ponowne wejście na drogę cnoty wiązało się ze zbyt dużymi kosztami. Młody hazardzista tęsknił za powrotem do dawnego fachu.

Tak więc, kiedy nagle pojawiło się zaproszenie do rozegrania kilku partii sabaka w systemie Oseona, gdzie wygrane uchodziły za najwyższe w całej znanej galaktyce, okres uczciwego życia człowieka i androida dobiegł końca. Szybkość „Sokoła Milenium”, pilotowanego przez wprawne macki, była tematem wielu opowieści. W taki właśnie sposób przylecieli.

Kłopot w tym, że ktoś starał się dopilnować, aby przebywali nie tylko w tym miejscu, ale także w systemie Rafy, na obrzeżach galaktyki, w okolicach Jądra i we wszystkich innych niezliczonych miejscach równocześnie - w postaci miliardów mikroskopijnie małych okruchów materii organicznej i nieorganicznej, na jakie mogłyby zostać rozerwane ich ciała.

Wszystko wskazywało na to, że ów ktoś nie darzył ich wielką sympatią.

Vuffi Raa przecisnął się do dwuskrzydłowych drewnianych drzwi, które sprawiały wrażenie ciężkich i zabytkowych. Stała przed nimi ogromna istota człekokształtna, odziana w wytworny mundur, co najmniej cztery rozmiary za duży dla jakichkolwiek dwóch innych istot ludzkich spośród hotelowych gości. Wybrzuszenia o nieregularnych kształtach, wyraźnie widoczne pod pachami wielkoluda, pozwoliły robotowi wywnioskować, że kryją

się tam dwa wielkie imperialne blastery.

- Przepraszam bardzo, džentelistoto - odezwał się uprzejmie mały android. - Muszę przekazać wiadomość jednemu z graczy.

Wyciągnął kartę, którą właściciel wręczył mu na wypadek, gdyby zaistniały właśnie takie okoliczności.

Ku ogromnej uldze androida, ogromny strażnik- wykidajło popatrzył na holokartę. Przeczytał słowa tańczące na powierzchni, po czym łaskawie kiwnął głową i usunął się na bok. Drzwi lekko się rozchyliły, ale to wystarczyło, aby Vuffi Raa mógł prześlizgnąć się między ciężkimi skrzydłami.

Powietrze w małej, zastawionej luksusowymi meblami sali, było przesycone gęstym dymem. Mimo wysiłków najlepszych systemów wentylacyjnych, instalowanych na pokładach gwiazdnych statków, dawało się wyczuć przynajmniej kilkanaście zmieszanych woni. Przy stoliku, ustawionym pośrodku sali, siedział właściciel robota w otoczeniu graczy i kibiców. Był ubrany w gustowny i kosztowny welwoidalny półoficjalny mundur kapitana gwiazdowego statku.

Vuffi Raa podszedł do stolika, ale zaczekał, aż gra dobiegnie końca. Dopiero kiedy jego pan zgarnął pokaźny stos kredytowych żetonów, delikatnie pociągnął za skraj poły krótkiej marynarki.

- Mistrzu?

Człowiek odwrócił się i popatrzył na małego androida. Ukazały się białe zęby, zdobiąc śniadą twarz szelmowskim, przekornym uśmiechem, którego urokowi rzadko kto potrafił się oprzeć. Błysnęły białka oczu, z których biła inteligencja.

- O co chodzi, Vuffi Raa? I ile razy mówiłem ci, żebyś nie nazywał mnie mistrzem?

Rozmawiali cicho, mimo hałasu panującego wokół. Android uniósł dziwaczną, zwęgloną i szerniałą bryłę, żeby jego pan mógł się lepiej przyjrzeć.

- Przesuwnik fazowy na pokładzie „Sokoła Milenium nie uległ samoistnej awarii, mistrzu - szepnął. - Obawiam się, że miałeś rację To już drugi taki wypadek w ciągu ostatniego czasu. Właściciel robota ponuro kiwnął głową.

- A zatem to była bomba.

- Tak, mistrzu - odpowiedział Vuffi Raa - Ktoś usiłuje cię zamordować.

ROZDZIAŁ II

Nie przestając szczyrzyć zębów w szerokim uśmiechu, Lando Calrissian ironicznie pokręcił głową.

Miał dobry powód. Już pierwszy wieczór, spędzony w systemie Oseona, i pierwsze partie sabaka, jakie tu rozegrał, sprawiły, że był do przodu o jakieś dwadzieścia trzy tysiące kredytów.

Dziarski młody hazardzista stanął przed ogromnym lustrem. Przez chwilę podziwiał swój strój, nienagannie skrojony i wyprasowany nawet w porze, kiedy ubrania innych ludzi sprawiały wrażenie wymiętych albo zniszczonych. Uniósł rękę i pogładził krótkie włosy, które zaczął zapuszczać przed kilkoma tygodniami, gdy przyszłość malowała się o wiele bardziej ponuro. Tak jest, na galaktyczne Jądro, dodawały mu pewnej powagi, pewnego uroku, pewnego...

A przy tym nie musiał wypełniać w trzech egzemplarzach żadnych formularzy (nie chciało mu się wierzyć, żeby coś takiego było możliwe). Ponownie pomyślał o bezpiecznie spoczywających na samym dnie kieszeni welwoidalnego półoficjalnego munduru kredytach, które zdobył, mimo iż nie uzyskał żadnego zezwolenia, upoważnienia, licencji

czy zaświadczenia, potwierdzających prawo do zajmowania się jakąkolwiek działalnością dochodową.

Oto dysponował całkiem sporą sumą, która nie wyparuje, kiedy nie będzie jej pilnował! Triumfowi i uniesieniu, jakie odczuwał z tego powodu, towarzyszyło rozbawienie. Przecież zdobył te kredyty, uczestnicząc w grze o wiele bardziej złożonej i nieskończenie bardziej ryzykownej niż prowadzenie legalnej działalności, którą usiłował się zajmować od chwili, kiedy został właścicielem „Sokoła Milenium”.

Osiągnięcie sukcesu podczas gry w sabaka wymagało szybkiego reagowania, większej odwagi i lepszego rozumienia ludzkiej (w szerokim znaczeniu tego słowa) natury. A zatem, dlaczego tak dobrze radził sobie z tym drugim, a tak kiepsko wiodło mu się z pierwszym?

Lando wzruszył ramionami, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego, po czym przemaszerował przez wynajmowany pokój hotelowy. Tym samym oddalił się od drzwi, które zaledwie kilkanaście sekund wcześniej zamknął na solidny zamek.

Weźmy chociażby pod uwagę ostatni przykład. Wygrał w karty „Sokoła Milenium” i Vuffiego Raa, po czym wykonał bardzo trudne zadanie (co prawda, został do tego zmuszony) i zarobił tyle, że według wszelkiego prawdopodobieństwa powinno być wystarczająco mu do końca życia. Całą historię należałoby zacząć od tego, że hodowane w życiosadach systemu Rafy kryształły nigdy nie uchodziły za tanie ani łatwe do zdobycia. Cząłkowskie istoty, które nosiły je albo posiadały, uważały, że życiokryształy opóźniają proces starzenia i wpływają korzystnie na rozwój umysłowy. To właśnie z tych powodów klejnoty były takie rzadkie i drogie. W dodatku hodowano je tylko w jednym miejscu we wszechświecie.

Lando uświadomił sobie fakt, że kiedy wraz z androidem opuszczał Rafę, zabierał na pokładzie frachtowca ostatnie życiokryształy, jakie wyhodowano w tamtym systemie. Wiedział, że przez dłuższy czas na rynku nie pojawią się żadne inne, ponieważ ludność tubylcza obaliła kolonialne władze. Z uwagi na to mógł sprzedawać je tylko nabywcom, którzy zgodzą się zapłacić najwyższe ceny. A jednak jakimś cudem, zarobione w taki sposób pieniądze - co najmniej kilka milionów kredytów - zniknęły, zanim zdążył się nimi nacieszyć. Pochłaniały je koszty napraw i przeglądów statku, opłaty za lądowanie i parkowanie, a także podatki, domiary, karne odsetki i łapówki, jakie musiał wręczać najprzeróżniejszym urzędnikom. Za każdym razem, kiedy obliczał koszty i zyski po dokonaniu jakiejś transakcji - chociażby nie wiadomo jak z początku dochodowej - okazywało się, że tracił, czasami nawet całkiem spore sumy. Dochodził do wniosku, że to wszystko nie ma sensu. Im więcej kredytów zarabiał, tym stawał się coraz biedniejszy. Pomyślał, że jeżeli jeszcze trochę się wzbogaci, z pewnością stanie się bankrutem.

A może po prostu grał w niewłaściwej lidze? Jedną z nowych reguł w tej grze (a przynajmniej nowa dla Calrissiana) polegała na tym, że nie informowano go o żadnych regułach, dopóki nie stawało się za późno. Hazardzista żywił prawdziwy podziw dla wszystkich, którym nie tylko udawało się przeżyć w świecie wielkich interesów, ale nawet osiągać krociowe zyski.

Nagle zwrócił uwagę na jakiś hałas, dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia. Zajrzał tam i przekonał się, że Vuffi Raa rozkłada dla niego strój, aby mógł się weń ubrać następnego ranka. Setki razy tłumaczył mu, aby nie zawracał sobie tym głowy. Nie potrzebował służącego, a poza tym już od dawna przyzwyczał się myśleć o androidzie bardziej jako o przyjacielu niż służącym czy lokaju.

Może właśnie dlatego mały robot, który zapewne bardzo chciał być dobrym przyjacielem (a może doskonałym służącym), rozumiał, że hazardzista musi spędzić pewien czas w samotności. Musi odprężyć się po męczących i denerwujących chwilach, jakie przeżył

wieczorem, siedząc przy stoliku.

Lando domyślał się, że Vuffi Raa chciałby porozmawiać z nim na temat bomby, jaką znalazł na pokładzie „Sokoła Milenium” - drugiej od chwili lądowania na tej asteroidzie. Doszedł jednak do wniosku, że chyba następnego ranka nie będzie na to za późno. Dyskretnie zamknął drzwi, łączące oba hotelowe pokoje, po czym ponownie pograżył się w zadumie.

Kiedy przyglądał się, jak opada ogromne łoże, uświadomił sobie drugi ironiczny aspekt własnej sytuacji. Zdjął modne, kosztowne i sięgające do kolan buty uszyte ze skóry bantha, a potem położył się w taki sposób, że jedna noga zwisała poza krawędź łoża.

Pomyślał, że osobnicy, którym powodziło się najlepiej - czy to w legalnych interesach jak transportowanie towarów, czy też w niezupełnie legalnych w rodzaju przemytu (a przecież właśnie w takim celu został skonstruowany „Sokół Milenium”) - i którzy osiągnęli sukces w tym, czym się zajmowali, przebywali albo mieszkali właśnie tu, w systemie Oseona. Tymczasem on, Lando Calrissian, czyli ktoś, kto w mniemaniu tamtych ludzi poniósł sromotną klęskę, nie miał prawie żadnych trudności z oskubywaniem ich z ciężko zarobionych kredytów.

Z luf sterburtowych działek „Sokoła Milenium” wystrzeliły w przestworza błyskawice laserowych strzałów.

Doprowadzony do rozpaczyny Lando Calrissian spieszył się, jak mógł, żeby skierować wszystkie cztery lufy działka w lewo, w ślad za przelatującą eskadrą zdalnie sterowanych, dokuczliwych napastników. Atakujące go myśliwce także strzelały, wypełniając przestworza wokół frachtowca różnobarwnymi smugami laserowych sztychów.

- Chybiłem! Vuffi Raa, utrzymaj ten sam kurs chociaż trochę dłużej!

Statek zanurkował, ale później wyrównał lot. Dzięki temu uniknął trafienia przez krzyżowy ogień strzałów nieprzyjacielskich maszyn, które rozdzieliły się i zaatakowały z obu stron naraz.

- Mistrzu, jest ich zbyt wiele... To był doskonały strzał, proszę pana!

Głos małego androida wydobywał się z umieszczonego tuż obok ucha Calrissiana miniaturowego interkomu. Hazardzista postawił w myślach kreskę nierzeczywistą kredą na wyimaginowanej tablicy, po czym obrócił lufy działek i rozejrzał się za następnym celem. Myśliwiec, w który trafił zaledwie przed kilkoma sekundami, stawał się coraz większą kulą płonących metalowych cząstek i gazów, zanieczyszczających i tak bardzo zaśmiecony zakątek przestworzy.

Ktoś inny mógłby wydać okrzyk triumfu. Lando jednak, zamknięty w przezroczystej bańce działka, pieniał się ze złości.

Mimo iż to właśnie on wpadł na pomysł, by przelecieć przez niewielką mgławicę i w ten sposób skrócić czas podróży do następnego kosmoportu. Niech to licha, przecież miał w ładowniach drogocenne i łatwo psujące się towary! Kratowane skrzynie, wypełnione wintenjagodową galaretką. Stosy skór ściągniętych z górskich bollemów. Wiązki wędek, sporządzonych z kosztownego dzwoniącego drewna. Krótko mówiąc, towary, wytworzone na jednej z planet pogranicza. Lando wiedział, że przelot tym szlakiem pozwoliłby mu skrócić czas podróży o kilka dni w porównaniu z czasem, jaki zajmowało pokonanie tej samej trasy innym przewoźnikiem, korzystającym z dobrze znanych, utartych szlaków.

Pola energetycznych osłon ponownie rozjarzyły się jaskrawą poświatą. Znowu zostali trafieni!

Lando obrócił lufy działek i chwilę później przycisnął oba guziki spustowe. W kierunku dwójki zwinnych, bezałogowych myśliwców, które właśnie nadlatywały od strony burty, posyływały ogniste strugi śmiercionośnej energii. Jedna maszyna eksplodowała, a druga, poważnie uszkodzona, wpadła w korkociąg i zniknęła z pola widzenia Calrissiana.

Vuffi Raa, pragnąc uniknąć następnego trafienia, raptownie zmienił kierunek lotu. Wykonał manewr, a Lando poczuł, że jego żołądek zawiązuje się na supeł. Mimo to młody hazardzista pomyślał, że stanowią zgraną załogę.

Prawdę mówiąc, mgławica nie zasługiwała na to, żeby nazywać się mgławicą. Gęstość gazów nawet w samym środku nie przekraczała kilku cząstek na metr sześcienny, dzięki czemu widoczność pozostawała przez cały czas znakomita. Obecność tych cząstek zmuszała jednak pilotów do zmniejszenia prędkości lotu, jako że użycie napędu nadświatelnego mogło okazać się zbyt niebezpieczne. Prawdopodobnie właśnie dlatego regularni przewoźnicy unikali tego szlaku. Mimo to Calrissian, któremu zależało przede wszystkim na skróceniu czasu lotu, doszedł do wniosku, że nawet jeżeli będzie leciał z prędkościami mniejszymi od nadświatlnych, doleci szybciej i osiągnie większe zyski.

Okazało się, że był w błędzie.

Sześć następnych, mających może metr średnicy zdalniaków leciało prosto ku wieżycze działka. Wyglądało na to, że nieprzyjaciel ma ich co niemiara. W pewnej chwili Lando dostrzegł macierzysty statek, trzymający się w bezpiecznej odległości od ofiary i należący z pewnością do jakiegoś gwiazdnego pirata. Miał wyporność mniej więcej czterokrotnie większą niż „Sokół Milenium”, ale wyglądał o wiele niezgrabniej. Przypominał ogromną kulę połączoną z nieco mniejszym walcem, a połatany w wielu miejscach, powgniatany i zardzewiały kadłub świadczył o tym, że właściciel nie utrzymywał jednostki w należytym stanie.

Lando mógł sobie wyobrazić kilkadziesiąt obcych istot, stanowiących załogę pirackiego statku. Niemal widział, jak nisko pochylone nad kiepsko oświetlonymi pulpitemi kontrolnymi, kierują ruchami bezzałogowych myśliwców. Prawdopodobnie wszyscy byli, podobnie jak on na ich miejscu, przerażeni perspektywą grożącego im bankructwa.

Lando zaczął do ostatniej chwili, po czym ustawił przełącznik na największą moc i przycisnąwszy oba guziki spustowe, wypuścił strumienie śmiercionośnej energii ze wszystkich czterech łuf naraz. Zwrócił uwagę na to, że światła na pokładzie „Sokoła” wyraźnie przygasły. Dwa podobne do spodków zdalniaki zamieniły się w ogniste kule, a w kadłubie trzeciego ukazała się spora dziura. Czwarty, piąty i szósty, łamiąc szyk, przeleciały nad jego głową. Śmignęły ponad kopułą działka i zniknęły tak szybko, że młody hazardzista nie mógłby nawet powiedzieć, czy zostały uszkodzone. Zdjął kciuki z guzików spustowych.

Światła we wnętrzu frachtowca ponownie zapłonęły normalnym blaskiem.

Mgławice były doskonałymi kryjówkami dla gwiazdnych statków. Chmury gazów, pyłu i jonów, a także magnetyczne pola i zakłócenia zniekształcały wskazania nawet najczulszych dalekosiężnych skanerów i czujników. To właśnie dlatego natknęli się na tych piekielnych...

- Vuffi Raa! - krzyknął nagle Lando. - Skieruj się w stronę pirackiego statku! Mam już tego po dziurki w nosie. I obróć nas w taki sposób, żebyśmy mogli wziąć na cel silniki albo reaktory!

- Jak sobie życzysz, mistrzu.

Czyżby w elektronicznie wytwarzanym głosie androida zabrzmiały jakieś wątpliwości? Z pewnością jednak nie mogły dotyczyć umiejętności Calrissiana jako strzelca. Wręcz przeciwnie. Chodziło po prostu o to, że najbardziej podstawowe reguły oprogramowania małego robota zabraniały mu zabijania lub chociażby narażania na niebezpieczeństwo życia inteligentnych istot - czy to organicznych, czy też mechanicznych. Pragnąc wykonać polecenie swojego pana, Vuffi Raa musiał zbliżyć się do granicy tego, na co pozwalały mu normy cybernetycznej etyki. Możliwe nawet, że obierając kurs na piracki statek, musiał je przekroczyć. Uczynił to jednak, nie mówiąc ani słowa.

„Sokół Milenium” zatoczył łagodny, obszerny łuk i zaczął zmniejszać odległość, dzielącą go od pirackiej jednostki. Manewr ten zaskoczył jej kapitana. Członkowie załogi oderwali uwagę od pulpity kontrolnych, za których pośrednictwem kierowali ruchami zdalniaków, i zajęli się przesyłaniem energii do systemów uzbrojenia. Uczynili to o wiele za późno. Podobne do szerszeni bezzałogowe maszyny zapewne poradziłyby sobie z nieuzbrojonym towarowym transportowcem albo luksusowym jachtem, który przypadkiem zawitałby do mgławicy. Nie zaprojektowano ich jednak ani nie wyposażono z myślą o toczeniu walki z silnie uzbrojoną jednostką w rodzaju „Sokoła Milenium”. Zmodyfikowany frachtowiec wyglądał również jak piracki statek, najeżony lufami większej liczby działek, niż miał członków załogi, gotowych do obsługi.

Ufając sile energetycznych osłon, Lando wymierzył wszystkie cztery lufy w umieszczone na końcu walca dysze systemów napędowych. Przycisnął guziki spustowe, a kiedy światła na pokładzie statku znów ściemniały, chyba po raz pierwszy uświadomił sobie, że zużycie energii także będzie sporo kosztowało. Pomimo to nie przestawał wypuszczać śmiertelnych błyskawic. Obserwował, jak osłony dysz zaczynają się jarzyć - z początku na czerwono, później na pomarańczowo, a w końcu na żółto. Zaprojektowano je w taki sposób, aby wytrzymywały wysokie ciśnienia i temperatury, ale nie przewidziano, że ich źródło może znaleźć się na zewnątrz statku.

Nagle w przestrzeni, jaka wciąż jeszcze oddzielała obie jednostki, pojawiły się jaskrawe błyski.

- Znakomity strzał, mistrzu! Trafiłeś następny...

- Nonsens, Vuffi Raa! Nawet nie... Wielkie nieba!

Na tle czerni przestworzy zakwitło kilkanaście ognistych kul. Wszystkie zdalnie sterowane myśliwce dokonały samozniszczenia! Statek piracki obrócił się wokół osi i - nie przestając się jarzyć - odleciał.

Kiedy dotarł do skraju mgławicy, pojawił się oślepiający błysk. Piracka jednostka przyspieszyła do prędkości nadświatłowej i zniknęła. Jej kapitan - widocznie mocno przerażony - zdecydował się podjąć duże ryzyko.

- Proszę, proszę! Odwołuję pogotowie bojowe - poinformował Lando swojego mechanicznego pomocnika. - Za minutę pojawię się w sterowni. Przygotuj dla mnie trochę kofeiny, dobrze? A przy okazji, Vuffi Raa...

Odpiął sprzączki ochronnej sieci, która przytrzymywała go na fotelu, po czym przekręcił kapitańską czapkę - zaopatrzoną w przepisową złotą plecionkę - w taki sposób, żeby daszek znów znalazł się z przodu, a nie z tyłu głowy. Podciągnął również trochę wyżej zamek kurtki munduru.

- Tak, mistrzu?

- Przestań nazywać mnie mistrzem!

Kiedy Lando kroczył biegnącym łagodnym łukiem głównym korytarzem, przechodząc obok pomieszczenia, w którym konstruktorzy frachtowca umieścili jednostkę napędu podświetlnego. Ujrzał w nim jakby wystający spod płyt pokładu, zwężający się ku końcowi chromowany, podobny do węża przedmiot - mający mniej więcej metr długości i kołyszący się nad pulpitem kontrolnej konsoly. Jego koniec rozdzielał się na pięć giętkich, cienkich, delikatnych „palców”, które obracały gałki pokręteł, pociągały za dźwignie albo pstrykały przełącznikami. Hazardzista wiedział, że pośrodku dziwnej „dłoni” pulsuje purpurowym blaskiem szklane oko niewielkiego obiektywu.

Nieco dalej, tam gdzie zgromadzone przyrządy umożliwiały obsługę radarów, wykrywaczy i czujników, dostrzegł stojącą na straży drugą maskę.

Był pewien, że w innych ważnych miejscach statku czuwają jeszcze trzy takie same chromowane węże, zajęte obsługą urządzeń, których funkcjonowania nie dało się

nadzorować ze sterowni.

Kiedy Lando w końcu tam dotarł, opadł na fotel, ustawiony po lewej stronie. Było to miejsce, zajmowane zazwyczaj przez pierwszego pilota, ale pozostawione dla niego na mocy cichej umowy, jaką zawarł swojego czasu z Vuffim Raa, prawdziwym pilotem frachtowca. Ten zaś spoczywał na fotelu stojącym po prawej stronie. Przypominał w tej chwili wykonaną z lśniącego, srebrzystego metalu pięcioboczną płytę, wypełnioną delikatnymi mechanizmami i elektronicznymi podzespołami. Pośrodku pięcioboku pulsowało wielkie czerwone oko obiektywu. Jeden z metalowych węży kotłował się nad odległym mniej więcej metr od fotela pulpitem z przyrządami.

- Vuffi Raa, musisz wziąć się w garść - zachichotał Lando, szukając czegoś pod płytą swojego pulpitu. Nie przestając spoglądać na bezręki tors spoczywający na sąsiednim fotelu, wyciągnął stamtąd cienkie cygaro i zapalił. Cekał, jak android zareaguje na jego polecenie. Tymczasem „Sokół”, który cały czas leciał, docierał właśnie do skraju mgławicy. Widoczna za iluminatorem sterowni mgiełka zaczyna rzednąć. Lando spojrzał uważniej. Może mu się tylko wydawało, ale odnosił wrażenie, że widzi na przezroczystej tafli jakieś dzioby czy plamki.

Zapewne w przestworzach unosiło się więcej pyłu, niż mu się początkowo wydawało - a to wiązało się z kolejnymi kosztownymi naprawami.

Metalowy wąż spłynął z pulpitu i połączył się z krawędzią pięciobocznej płyty, a potem zakołysał się, jakby groził palcem Calrissianowi.

- Mistrzu, to przestało być zabawne już za setnym razem, kiedy to powiedziałaś.

Posługując się samotną macką, Vuffi Raa zajął się odpinaniem klamer ochronnej sieci, mocującej jego srebrzysty tors do fotela.

Z korytarza wypełzła inna macka. Wspięła się na fotel drugiego pilota i dołączyła do pięcioboku, stając się w ten sposób następną kończyną androida, przytwierdzoną do reszty metalowego ciała. Młody hazardzista rzucił okiem na tarcze przyrządów i czujników. Natychmiast uświadomił sobie, że cała radość, którą odczuwał z odniesionego zwycięstwa, znika, jakby wyparowała.

- Na Obrzeża! Popatrz na wskazania mierników zużycia energii! Te poczwórne działka żłowią moc jak gąbki! Nie powinniśmy zużywać aż tyle energii podczas każdego strzału! Doszedł do wniosku, że nawet wówczas, kiedy musi walczyć z gwiazdnymi piratami, powinien brać pod uwagę ponoszone koszty. I liczyć się z ewentualnymi stratami.

- Czy wiesz, że będziemy mieli wielkie szczęście, jeżeli wyjdziemy na zero - nawet wówczas, kiedy wszystko korzystnie spieniężymy?

Mały android przytwierdził trzecią mackę, ale taktownie powstrzymał się od przypomnienia, że od samego początku sprzeciwiał się skracaniu trasy. Mimo iż właściwie nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego. Wielkie towarzystwa transportowe, regularnie przemierzające gwiazdne szlaki, z reguły unikały latania na skróty, chociaż mogły dzięki temu zaoszczędzić kilka parseków i skrócić o wiele dni czas podróży. Dokładnie tak samo chciał postąpić Lando. Z drugiej strony, wielkie towarzystwa, zmuszone do przestrzegania ustalonych terminów i kierujące własne statki na uczęszczane trasy, bardzo rzadko decydowały się na coś ryzykownego albo nowatorskiego. To właśnie stwarzało szansę małym nowo powstającym firmom transportowym.

Dopiero teraz obaj partnerzy, którzy uwolnili się od obłoków gwiazdnego pyłu i od ukrywających się między nimi piratów, wiedzieli, czym grozi przelatywanie przez mgławicę.

Kiedy Vuffi Raa przymocował czwartą i piątą mackę, ostrożnie wcisnął odpowiednie guziki, uruchamiając tym samym jednostkę napędu nadświatlnego. Po kilku chwilach pączki gwiazd przemieniły się w świetliste smugi, a potem rozmyły się i zniknęły.

To wszystko nie wyjaśniało jednak, co właściwie było nie w porządku z Diloneksą Dwadzieścia Trzy.

ROZDZIAŁ III

- Wędku?

Pracownik urzędu celnego - niewysoki facet o żyłastych rękach i nogach i guzowatych kostkach - był ubrany w roboczy kombinezon, jak zresztą wszyscy inni na tej zacofanej, utrzymującej się z rolnictwa planecie. Uszyte z ciemnozielonej satyny ubranie sprawiało wrażenie celowo wymiętego. Na czubku głowy mężczyzny błyszczała różowiotka łysina porośnięta bardzo krótką, siwiejącą szczecinką.

- Chyba sobie żarty stroisz, Mac - ciągnął celnik. - Po pierwsze, na naszej planecie nie znajdziesz zbiornika wodnego większego niż balia albo wanna. Po prostu nie znosimy, kiedy dobra ziemia się marnuje. Po drugie, żaden z obywateli nie ma czasu na wędkowanie. A po trzecie, żyjące tu ryby smakują obrzydliwie - zapewne z powodu braku śladowych ilości jakichś minerałów czy czegoś takiego.

Ogromne słońce systemu Diloneksy (numeru katalogowego Lando nie zapamiętał, a nie pomyślał o tym, żeby zapytać Vuffiego Ra'a, kiedy „Sokół” podchodził do lądowania) wyglądało jak gigantyczny, buchający błękitno-białym żarem piec hutniczy. Dwadzieścia dwie, krążące wokół niego w najmniejszej odległości planety mogły być idealnymi miejscami do uzyskania fantastycznej opalenizny.

W ciągu kilku mikrosekund.

Siedemnaście innych światów, okrążających Diloneksę po zewnętrznych orbitach, wyglądało jak bryły lodu.

Jedynie dwudziesta trzecia planeta, krążąca mniej więcej pośrodku systemu, nadawała się do zamieszkania. A przynajmniej tak uważali pierwsi koloniści, którzy na niej wylądowali. Była dość duża - miała niemal dwadzieścia trzy tysiące kilometrów średnicy. Ponieważ jej wnętrze zawierało przeważnie lekkie pierwiastki, siła przyciągania na powierzchni miała rozsądną wartość. Niestety, mieszkańcy musieli sprowadzać prawie wszystkie przedmioty, wykonane w całości albo w części z metalu.

Mimo to Diloneksa Dwadzieścia Trzy była zasobną, chociaż rolniczą planetą. Zajmujące niemal całą powierzchnię pola uprawne i pastwiska dostarczały mieszkańcom żywności, surowców do produkcji plastików i substancji, z których wyrabiano materiały pędne. Dzięki temu obywatele - otyli farmerzy i ich równie otyłe, wielodzietne rodziny - zapragnęli zasmakować tego, co w życiu najlepsze.

Właśnie z tego powodu Lando przyleciał, mając ładownie wypełnione drogocennymi, chociaż niezbyt trwałymi towarami.

Przeglądając się, jak pracownicy diloneksańskiego personelu naziemnego wnoszą do wnętrza „Sokoła” - spoczywającego na ferrobetonowej płycie lądowiska - pojemniki, mające uzupełnić zasoby energii, ponuro pokręcił głową. Niemał widział, jak w jego rachunku kredytowym tworzą się ogromne wyrwy.

- No cóż - odezwał się w końcu. - W takim razie, co powiesz na galaretkę i skóry? Z pewnością...

- Miałem kiedyś kuzynkę o imieniu Shirley - wpadł mu w słowo człowieczek, drapiąc pieprzyk na brodzie. Przymrużył oczy i wpatrzył się w bezchmurne niebo, jakby chciał w taki sposób wspomóc pamięć. - Spróbowała raz takiej wintenjagodowej galaretki, którą nam tu sprowadziłeś. Skończyło się na tym, że dostała galopujących goszarutów. Zbyt wiele śladowych ilości innych minerałów, jak dla przedstawicielki czwartego pokolenia

naszych kolonistów. My, Diloneksanie, musimy bardzo uważać na to, czym się odżywiamy. To jest fakt.

Lando ponownie pokręcił głową. Pomyślał, że zaczyna wchodzić mu to w nawyk.

- Posłuchaj, inspektorze - zaczął. - Ja...

- Mów mi Bernie - przerwał mu celnik. - Nie masz przypadkiem cygara?

Hazardzista ujrzał oczyma wyobraźni wielkie pudło z cygarami, bezpiecznie spoczywające w sejfie na pokładzie „Sokoła Milenium”.

- Nawet gdybym miał, Bernie, pochodziłoby z Rafy Cztery, a to planeta, aż do jądra przesiąknięta ciężkimi pierwiastkami. Zapewne by cię zabiły. A co powiesz na skóry? Mam ładownie wypełnione pięknymi, idealnie wyprawionymi skórkami i...

Zasuszony funkcjonariusz urzędu celnego, tym razem unosząc rękę, jeszcze raz wpadł mu w słowo. Później wskazał na widoczne za oknem i ciągnące się aż po horyzont prerie. Lando wiedział, że dosłownie cała planeta wygląda mniej więcej tak, jak to, na co spoglądały jego oczy. Słyszał także, iż na jej powierzchni szalały, nie napotykając żadnych przeszkód, gigantyczne tornada... to znaczy, szalały dopóty, dopóki mieszkańcy nie umieścili na stacjonarnych orbitach meteorologicznych satelitów, zapobiegających powstawaniu takich anomalii. Potężne systemy uzbrojenia, pozwalające na niszczenie tornad w zarodku, przy okazji uniemożliwiały nielegalne sprowadzanie albo wywożenie zakazanych towarów, a także opuszczanie planety bez uiszczenia należnych rachunków.

- Sam powiedz, co tam widzisz, Mac? - zapytał celnik. - Miliardy metrów kwadratowych upraw i pastwisk, oto co. Nie możemy tego jeść, ale stada naszych zwierząt hodowlanych nie mają nic przeciwko temu. Popatrz tutaj! Kiedy po raz ostatni widziałeś zasłone, uszytą z prawdziwej skóry? Zgadza się, Mac. W tamtym budynku, przez który musiałeś przejść, zanim trafiłeś do mnie. Mamy skór zwierzęcych po uszy - tyle, że na importowane skóry nałożyliśmy cło w wysokości sześćdziesięciu pięciu procent ich wartości. Cło na wędki i inne luksusowe towary wynosi siedemdziesiąt pięć procent, a na różne trujące substancje w rodzaju tej wintenjagodowej galaretki, którą chcesz nam wcisnąć, sto pięć procent.

Lando jęknął. Najpierw musiał stoczyć walkę z gwiazdnym piratem, co kosztowało go bardzo słono, a teraz te stawki. W dodatku musiał uiścić wszystkie opłaty za uzyskanie zgody na lądowanie i parkowanie, a także za wydanie wszystkich innych niezbędnych zaświadczeń i zezwoleń. Rzecz jasna, dochodziły do tego również niemałe koszty uzupełnienia zasobów energii i paliwa.

- Posłuchaj, czy ty przypadkiem nie nazywasz się Lando Calrissian, kapitan „Sokoła Milenium”? Gdzieś tu powinienem mieć wiadomość dla ciebie.

Zaczął szperać po kieszeniach wygniecionego kombinezonu. Po kilku chwilach wyciągnął informacyjny dysk, zaopatrzony w miniaturową klawiaturę. Przycisnął kilka klawiszy z cyframi i literami.

- Zgadza się! Wiadomość nadano z systemu Oseona. To ładny kawałek drogi od nas, prawda? Chcesz ją teraz?

- Niech będzie - odparł bez entuzjazmu Lando. Prawdę mówiąc, było mu wszystko jedno. Pragnął tylko znaleźć jakieś miłe, przytulne miejsce, w którym mógłby poleżeć jakieś stulecie albo dwa.

- W porządku, Mac. Płacisz trzynaście i pół, a wiadomość należy do ciebie.

Hazardzista zamrugał. A zatem przesyłka nie została opłacona przez nadawcę. Wydało mu to się dziwne - tym bardziej że trzynaście i pół kredytu było bardzo niską opłatą za przesłanie informacji z jednego systemu gwiazdnego do innego. Z drugiej strony... Nie mówiąc słowa, wyciągnął z kieszeni kilka banknotów kredytowych.

- Nie zrozumiałeś mnie, Mac - odezwał się funkcjonariusz. - Wszystkie przychodzące z innych systemów wiadomości są obłożone importowymi cłami. Uznajemy, że nasi

obywatele powinni zadowalać się tym, co mają na swoim świecie, a nie szukać kontaktów z innymi cywilizacjami... Tak czy owak, płacisz trzynaście i pół setki kredytów.

- W takim razie nie zwracaj sobie tym głowy - odparł oburzony Lando. - To zapewne tylko...

Człowieczek popatrzył na niego, po czym wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Za nieodbieranie międzygwiazdnych wiadomości grozi kara w wysokości dwóch tysięcy kredytów. W trosce o ład i porządek nie możemy dopuścić, żeby takie wiadomości poniewierały się po szufladach.

We względnym spokoju panującym w pomieszczeniu „Sokoła Milenium”, które mogło uchodzić za świetlicę, Lando umieścił zakodowany dysk w otworze czytnika. Nad urządzeniem ukazała się nalana, uśmiechnięta od ucha do ucha twarz mężczyzny.

- Ta wiadomość jest adresowana do pana Landa Calrissiana, kapitana „Sokoła Milenium”. Pozdrowienia i gratulacje! Nazywam się Lob Doluff i jestem Starszym Administratorem systemu Oseona. Założę się o wszystko, że nie słyszałeś o mnie, ale ja, drogi chłopcze, słyszałem o tobie bardzo dużo!

Nagranie na tym się nie kończyło. Wręcz przeciwnie, Lob Doluff mówił dalej:

- Twoja sława jako gracza w sabaka sięga dalej i jest bardziej ugruntowana, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Moi współpracownicy i ja, którzy stanowimy niewielką grupę miłośników tej gry, chcielibyśmy zaprosić cię, byś przyleciał do nas i zagrał z nami, kiedykolwiek zechcesz. Jeżeli jesteś zainteresowany naszym zaproszeniem, zaproponuj termin i wysokość stawek. Pragnę zapewnić cię, że kiedy przylecisz, zostaniesz powitany i potraktowany ze wszystkimi należnymi honorami. Liczę na to, że zechcesz przyjąć naszą propozycję. A zatem, do zobaczenia, oby jak najszybciej! Szczerze oddany Lob Doluff. Koniec wiadomości.

Na twarzy Calrissiana zaczął pojawiać się szeroki uśmiech. Oto sposób, który pozwoliłby mu powetować poniesione straty. Musiał mieć tylko trochę gotówki, żeby zasiąść do stolika na którejś z asteroid systemu Oseona. Wyciągnął miniaturowy komunikator i pstryknął przełącznikiem.

- Vuffi Raa?

Mały robot przebywał na dole, na płycie lądowiska, zajęty nadzorowaniem końcowego etapu uzupełniania zapasów paliwa.

- Słucham, mistrzu? - dobiegła odpowiedź z głośnika urządzenia.

- Nie nazywaj mnie mistrzem.

Lando zgodziłby się sprzedać wędkę komukolwiek. Doszedł do przekonania, że nie nałożono by na nie cła wwozowego, gdyby nie istniało grono osób - bez względu na to, jak niewielkie - zainteresowanych ich nabyciem. Jaka szkoda, że nikt nie potrzebował anten telekomunikacyjnych sporządzonych z dzwoniącego drewna. Prawdę mówiąc, nie był zdziwiony, kiedy w końcu się dowiedział, że mieszkańcy tego rolniczego świata są gotowi zapłacić każdą sumę za pozostałości i resztki, z którymi nie potrafił uporać się pokładowy system uzdatniania śmieci i odpadów.

- Chodź na górę i pomóż mi, dobrze? Musimy pociąć na kawałki tysiąc skór i dodać do nich kilkadziesiąt pojemników z wintenjagodową galaretką, a później wrzucić wszystko do urządzenia utylizacji odpadków, żeby zostało przerobione na nawozy.

Kiedy „Sokół Milenium” opuścił ostatnie warstwy atmosfery Diloneksy Dwadzieścia Trzy, Lando posłużył się pokładowym komunikatorem. Prawdopodobnie zaoszczędził dzięki temu kilkadziesiąt kredytów. Doluff był zachwycony, kiedy dowiedział się, że Calrissian już leci, i obiecał zorganizować grę o najwyższe stawki w jednym z najbardziej luksusowych hoteli. Hazardzista ogolił się i wziął natrysk, a potem — mimo iż jego frachtowiec znajdował się w odległości kilku dni drogi od systemu Oseona - przebrał się w cywilne

ubranie. Po prostu zależało mu na tym, aby mieć złudzenie, że robi to, do czego ma największe predyspozycje. Pozwolił, żeby Vuffi Raa zajmował się pilotowaniem „Sokoła”, a sam usiadł w świetlicy i wyciągnąwszy talię kart- płytek, zaczął ćwiczyć.

Cała talia liczyła siedemdziesiąt osiem kart, podzielonych na cztery kolory: szable, klepki, manierki i monety. Dochodziły do tego inne karty, którym przypisywano ujemne wartości. Zwycięstwo podczas gry polegało na zdobyciu dwóch albo trzech takich kart, których suma punktów wynosiła dokładnie dwadzieścia trzy - nie mniej i nie więcej. Specjalne utrudnienie stanowił fakt, że karty były „inteligentne”. W praktyce, każda zawierała skomplikowany elektroniczny obwód scalony, który w przypadkowo wybranych chwilach zmieniał walor i kolor karty na inne. Rzecz jasna, w tym samym ułamku sekundy dotychczasowa właścicielka tego koloru i waloru traciła swoje cechy i stawała się inną kartą. Wszystko razem sprawiało, że sabak uchodził za grę dynamiczną i szarpiącą nerwy. Wymagał, aby gracze wykazywali się szybką orientacją, umiejętnością oceny stopnia ryzyka... i mieli odrobinę szczęścia.

Lando znajdował w niej ukojenie.

Wyciągnął kartę i uniósł ją do oczu, aby się lepiej przyjrzeć. Obserwował, jak widoczny na awersie wizerunek Dowódcy klepek zaciera się i znika, by po chwili zamienić się w wizerunek trójki monet. Karty- płytki zachowywały jednak takie same walory, kiedy spoczywały pośrodku stolika do gry w sabaka. To było konieczne w celu sprawdzenia sumy punktów. Czy ktoś mógłby wyobrazić sobie sytuację, kiedy gracz rzuca na blat stolika karty, których suma wynosi dokładnie dwadzieścia trzy punkty, i przegrywa, ponieważ chwilę później wizerunki uległy radykalnej zmianie?

Następna karta, siódemka szabel. Tym razem jej wizerunek nie ulegał zmianie całkiem długo. Kiedy w końcu się zmienił, pojawiła się Wytrwałość - jedna z kart, której punkty się odejmowało. Lando ponownie wsunął ją do środka talii.

Oseon... Pomyślał, że powinien wiedzieć o wiele więcej o samym systemie, jak i o jego mieszkańcach. A przede wszystkim o tym, co się tam kupowało i sprzedawało. Położył karty na blacie stołu i odwrócił się w stronę końcówki komputera. Wystukał polecenie. O, tak! Znalazł wszystko, czego potrzebował. System mógł poszczycić się tym, że zamieszkiwali go bogacze, ale przede wszystkim słynął z widowiskowego, chociaż występującego jedynie okresowo zjawiska przyrody, którego trudno byłoby szukać gdzie indziej w całej zbadanej części galaktyki.

System Oseona był jedynym miejscem, w którym szalał Ogniwicher.

Wiele gwiazdnych systemów miało pasy asteroid, powstających, kiedy całe planety rozpadały się albo w ogóle się nie zestalały. Mające najczęściej kształty sfer obszary były zajmowane nie przez światy, ale przez skalne bryły o rozmiarach od ziarenek piasku do zniekształconych kul, mających setki - a w pewnych przypadkach nawet tysiące - kilometrów średnicy. Niektóre gwiazdne systemy chlubiły się nawet kilkoma pasami asteroid.

System Oseona składał się wyłącznie z takich pasów.

Nie miał żadnych planet w ścisłym znaczeniu tego słowa. Nawet samo Jądro nie wiedziało, jakiemu kataklizmowi to zawdzięczał. Zapewne coś takiego wydarzyło się przed miliardami lat, jeszcze przed narodzinami ludzkości. Może zbyt blisko przeleciała jakaś zabłąkana gwiazda, której siła przyciągania zakłóciła proces tworzenia się planet. Możliwe też, że planety powstały, ale eksplodowały w wyniku jakiegoś unikatowego, mającego związek z samym systemem czynnika.

Kto wie, czy powodem nie była straszliwa wojna, toczona w zamierzczłych czasach z bezlitosnymi przedstawicielami obcej rasy?

Bez względu jednak na to, co przyczyniło się do powstania takiej sytuacji, słońce Oseona

było otoczone aż przez siedem szerokich pasów. Krążyły w nich skalne bryły, okruchy i kule, z których żadna nie zasługiwała na to, by nazywać się planetą. Największa spośród wszystkich planetoid, nazwana Oseonem Sześć Tysięcy Osiemset Czterdzieści Pięć, była sztucznie wydrążoną bryłą, mającą blisko siedemset kilometrów średnicy i wypełnioną luksusowymi hotelami, nocnymi lokalami i przypominającymi pałace rezydencjami. Inne, podobne do niej, chociaż mniejsze, krążące w innych pasach systemu Oseona skalne bryły, przekształcono w posiadłości dla bogaczy i superbogaczy. Miejsca nie brakowało. To wszystko, chociaż samo w sobie niezwykle, nie wystarczyłoby, żeby system uważać za pięciogwiazdkową atrakcję turystyczną. A jednak raz do roku (Lando już nie pamiętał, z jakich powodów, mimo iż kiedyś o nich czytał) słońce systemu Oseona w dziwny sposób wybuchało. Nawiasem mówiąc, to właśnie dzięki owym wybuchom zrodziła się teoria o unikatowym czynniku wewnątrzsystemowym, który doprowadził do eksplozji planet. Płomienie odrywały od powierzchni najbliższych asteroid wstęgi gazów, a później jonizowały je i wysyłały w przestworza, dzięki czemu cały system jarzył się, mienił i świecił, pulsował i rezonował. Po pasach asteroid snuły się długie i szerokie na miliony kilometrów świeczące wstęgi i serpentyny. Mieniły się wszystkimi kolorami tęczy i opalizowały niczym szprychy gigantycznego koła. Częstotliwości nie tylko pokrywały pasmo widziane przez ludzkie oczy, ale znacznie wykraczały poza nie, zarówno z jednej, jak i z drugiej strony.

Bardzo możliwe, że w całym znanym wszechświecie nie istniało inne zjawisko tak piękne i urzekające, jak Ogniwicher Oseona.

Lando pośpiesznie dokonał kilku obliczeń. Doszedł do wniosku, że jeżeli szczęście będzie nadal mu sprzyjało, on i Vuffi Raa powinni pojawić się tam w samą porę. Bardzo możliwe, że właśnie ten fakt stanowił swojego rodzaju dodatkową zachętę, do jakiej uciekł się Lob Doluff, żeby ściągnąć go do siebie. Jakie to miłe z jego strony - pomyślał hazardzista. - Dodatkowa atrakcja, którą mogli obaj...

ŁUBU- DU!

„Sokół Milenium”, szarpnięty siłą potężnej eksplozji, zatrzęsł się i zaczął obracać wokół własnej osi.

Widoczne za iluminatorami gwiazdy zadrżały i zawirowały jak w szaleńczym tańcu. Włączyły się sygnały alarmowe, napełniając pomieszczenie rozdzierającym uszy zawodzeniem. W świetlicy pojawiły się smugi dymu, a różne nieumocowane przedmioty - karty- płytki Calrissiana, jego cygara i jakaś para starych skarpet - poderwały się w powietrze. Po chwili przygłnęły do różnych, trudnych do wyobrażenia miejsc, zależnie od tego, gdzie cisnęła je siła prymitywnego sztucznego ciężenia, zmieniona w wyniku wirowania kadłuba statku.

- Vuffi Raa! - krzyknął Lando do mikrofonu interkomu, chwyciwszy najbliższy przyśrubowany przedmiot, jaki wpadł mu w rękę. - Co, na miłość Wiekuistego, miało to oznaczać?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Starając się przezwyciężyć dziwnie skierowaną siłę ciężkości, próbował dotrzeć do sterowni. Powoli, metr po metrze, pokonywał odległość, dzielącą go od mechanicznego towarzysza. Słyszał, jak nad głową wyją syreny i klaksony - tak głośno, że ich jęk odczuwał jak coś namacalnego. Pokonywanie ostatniego odcinka korytarza przypominało wspinaczką po pionowo ustawionej drabinie. Z uwagi na zmieniony środek ciężkości całego statku, chwytanie kolejnych awaryjnych, umieszczonych na ścianie szczebli, a później podciąganie przychodziło mu z ogromnym trudem.

Kiedy wyczerpany Lando znalazł się w sterowni, wdrapał się na fotel pilota. Przypiął się do niego, bezskutecznie próbując wyrównać oddech.

Zauważył, że macki androida, ledwo widoczne i przypominające rozmyte plamy, poruszają się nad pulpitemi kontrolnymi. To musi być coś poważnego - pomyślał - skoro wieloczynnościowy robot drugiej klasy nawet nie ma czasu się odezwać. Przerażony wyciem alarmowych syren, postanowił mu pomóc. Na szczęście nie zapomniał tego, czego nauczył się wcześniej i co zaczynało się stawać jego drugą naturą. Trudząc się obok siebie, obaj zajęli się orientowaniem statku w przestworzach. Trwało to trochę czasu, ale w końcu znów góra stała się górą, a dół dołem.

Później zlokalizowali miejsce eksplozji. Znajdowało się na samym dole, w spodniej części kadłuba, chyba tuż pod płytami poszycia. U uruchomili pojemniki z przeciwpożarową pianką, a następnie wystrzelili w przestworza to, co pozostało. Stopniowo wskazania czujników temperatury wróciły do normy, a kilka mrugających na czerwono lampek zmieniło barwę na zieloną. Alarmowe syreny umilkły i w pomieszczeniach zapanowała znów ogłuszająca cisza.

W końcu, kiedy Vuffi Raa wpisał do pamięci komputera parametry poprzedniego kursu, powrócili na szlak wiodący do systemu Oseona. Lecieli jednak z nieco mniejszą prędkością niż normalna, stosowana podczas lotów międzygwiazdnych.

- Jak rozległe są uszkodzenia? - zainteresował się Lando, odpinając klamry ochronnej sieci. Trzęsącą się dłonią otarł perlące się na czole kropelki potu.

Vuffi Raa popatrzył na wskazania przyrządów kontrolnych, umieszczonych na różnych pulpitych, gdzie niektóre sekcje wciąż jeszcze płonęły rubinowym albo bursztynowym blaskiem.

- Wygląda na to, że tylko powierzchowne, mistrzu - odparł po dłuższej chwili. — Kłopoty zaczęły się, kiedy zamierzałem przyspieszyć do prędkości nadświatłowej. Będziemy musieli obejrzeć to wszystko z bliska. Nie bardzo dowierzam wskazaniom tych czujników.

- Bardzo słusznie - stwierdził Calrissian. - Zejdźmy na dół. Zaraz przebiorę się w próżniowy skafander i...

- Mistrzu, zgodnie ze standardowymi procedurami postępowania w takich sytuacjach, jeden członek załogi powinien pozostawać za sterami, a drugi...

- Niech będzie, jak chcesz - przerwał mu trochę poirytowany Lando. - Ty zostaniesz w sterowni. Ja przebiorę się w skafander i...

- Mistrzu, ja nie muszę wkładać żadnego kombinezonu, żeby móc pracować w absolutnej próżni. Wywołana przez eksplozję dekompresja nie robi na mnie najmniejszego wrażenia. A poza tym, umiem spawać. A ty?

Rzecz jasna, mały android powiedział to wszystko beznamiętnym tonem. Ani jednym gestem nie okazał również, co czuje. Mimo to Lando miał wrażenie, że widzi parę wymaglinowanych ludzkich rąk, zaplecionych na błyszczącym torsie, a także pełen zadowolenia z siebie uśmiech, malujący się na wymaglinowanej twarzy.

- Niech ci będzie! Mimo to i tak się przebiorę. Uważam, że to konieczny środek ostrożności - na wypadek, gdybyś otworzył nie te drzwi, co trzeba. Informuj mnie o wszystkim, co robisz - i przestań nazywać mnie mistrzem!

Po chwili Vuffi Raa także wyplątał się z objęć ochronnej sieci. Zszedł z fotela drugiego pilota i poczłapał do tylnej ściany sterowni.

- Będę cię więcej niż informował, mistrzu - odparł. - Popatrz na ekran monitora, ustawionego najbliżej twojego lewego łokcia.

Lando obrócił głowę i przekonał się, że widzi... siebie. Co prawda, obraz był trochę niewyraźny i zniekształcony, jakby rejestrowany za pomocą umieszczonej zbyt blisko filmowanego obiektu kamery, wyposażonej w obiektyw o zbyt krótkiej ogniskowej. W pierwszej chwili kolory sprawiały wrażenie nienaturalnych i niezwykłych, ale później Lando uświadomił sobie, że jego wizerunek, oprócz normalnego widma barw, zawiera

także to, co obiektyw widział w podczerwieni i nadfiolecie.

- Rozumiem - odparł, zwracając się do małego androida. - Widzę wszystko, na co spogląda twoje „oko”. Wiesz, taka zabawka mogłaby mi się bardzo przydać. Choćby wówczas, kiedy następny raz zasiądę do gry w karty.

- Ależ, mistrzu, to przecież byłoby nieetyczne!

- Och, doprawdy? No, dobrze, porozmawiamy o tym kiedy indziej. A tymczasem zabieramy się do pracy i spróbujemy ustalić rozmiary tego uszkodzenia.

Obaj opuścili sterownię, po czym każdy udał się w inne miejsce.

Dziesięć minut później Lando ponownie rozpiął się na fotelu pilota. Obserwował ekran monitora przez przezroczystą osłonę hełmu. Przez chwilę zastanawiał się, czy go nie zdjąć i nie zapalić cygara, ale oparł się pokusie, kiedy przypomniał sobie magiczne słowa: „wywołana przez eksplozję dekompresja”. Mimo wszystko, nie wiedzieli przecież, jak poważnie został uszkodzony „Sokół Milenium”. Postawienie stopy w niewłaściwym miejscu - choćby nie wiadomo, jak delikatne - mogło wyrwać wielką dziurę w poszyciu kadłuba, a wówczas...

Ekran monitora pokazywał, że Vuffi Raa zdążył dotrzeć na miejsce eksplozji. Zbliżał się do jakiegoś poważnie uszkodzonego urządzenia.

- Ależ to jedno z gniazd dla hydraulicznych siłowników, służących do podnoszenia i opuszczania rampy! - niemal krzyknął oburzony Lando. - Ten element nie ma w sobie niczego łatwopalnego ani wybuchowego... I co może mieć wspólnego z jednostką napędu nadświatelnego?

Przekazywany przez kamerę obraz przedstawiał płyty kadłuba. Po kilku sekundach ukazała się na nim lśniąca macka. Wyciągnęła się po coś, co zaklinowało się między dwiema grubymi sprężynami. Zanim dziwny przedmiot mógł zostać zbliżony do oka robota, musiał być odpiłowany i obrócony.

- Co to, do diabła, jest? - zapytał Lando, zwracając się do mikrofonu komunikatora.

Przedmiot wyglądał jak zwojnica. Zawierał pętlę grubego drutu, zwiniętego w sprężynę i potem wygiętego w taki sposób, że przypominałby obwarzanek, gdyby nie dodatkowy obrót, jakiemu poddano go podczas wyginania. Dzięki temu wyglądał jak precel.

- To jakaś zwojnica Moebiusa, mistrzu - odparł po długiej chwili ciszy Vuffi Raa. - Takie urządzenia są używane do strojenia, ale... słowo daję, to antena! Mistrzu, ktoś umieścił to urządzenie w takim celu, żeby zareagowało, kiedy będziemy dokonywali skoku w nadprzestrzeń. Widzisz, podczas dokonywania takiego skoku dochodzi do zakłócenia...

- Wiem, wiem - przerwał mu zniecierpliwiony Lando. - Ale jakiemu celowi miało to wszystko służyć?

- Bardzo ważnemu, mistrzu - odparł z powagą mały android. - Zwłaszcza jeżeli antena współpracowała ze sterownikiem, a ten został później podłączony do potężnego ładunku wybuchowego.

Młody hazardzista przez dłuższy czas zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy zaopatrywaliśmy się w paliwo na Diloneksie Dwadzieścia Trzy, ktoś podszedł do kadłuba „Sokoła Milenium” i przyczepił bombę? - zapytał. - A kiedy wystartowaliśmy i chcieliśmy przyspieszyć do nadświatlnej, sami doprowadziliśmy do eksplozji?

- Coś w tym rodzaju, mistrzu. Lando się zamyślił.

- Bomba... Czy przypuszczasz, że odkryli, co się stało z tą wintenjadodową galaretką?

ROZDZIAŁ IV

Absolutna próżnia.

Oficjalnie wycofany z czynnej służby imperialny krążownik „Wennis” przedzierał się przez mroki przestworzy niczym głodne, drapieżne zwierzę, które ma ochotę na zabijanie. W tym celu okręt został zresztą zaprojektowany i skonstruowany. Miało to miejsce przed jakimiś siedemdziesięcioma pięcioma laty. Teraz uważano go za przestarzały i zastąpiono nowocześniejszymi, bardziej wydajnymi i śmiertcionośnymi jednostkami.

Mimo to wciąż jeszcze mógł służyć dawnemu celowi.

Na mostku krzżeli się umundurowani członkowie załogi, którzy w milczeniu wykonywali swoje obowiązki. I chociaż wywodzili się z różnych światów, oficjalnie - znów tylko oficjalnie — byli cywilami. Wielu z nich cieszyło się opinią najgorszych spośród najgorszych zbirów, łotrów i wyrzutków z milionów cywilizowanych światów. Pozostali członkowie - najlepsi, jakich udało się zwerbować - stanowili elitę załogi.

I, podobnie jak „Wennis”, służyli określonemu celowi.

Wszyscy byli wojskowymi, w tej chwili bezterminowo pełniącymi służbę na pokładzie wycofanego ze służby gwiazdowego krążownika. W ten sposób również służyli Imperatorowi (aczkolwiek od czasu do czasu pozwalali sobie na bardzo dyskretne okazywanie niezadowolnienia), nie tracąc nadziei na rychły awans albo osiągnięcie innych korzyści.

W rzeczywistości służyli istocie, która - chociaż nie pełniła tak ważnej funkcji jak Jego Imperialna Wysokość - budziła niemal taką samą grozę. W tej chwili owa istota, dumnie stąpając, również przechadzała się po mostku. Była odziana od stóp do głów w ciężki płaszcz, uszyty z ciemnoszarej tkaniny i nieomylnie kojarzący się zwykłym śmiertelnikom ze strojem, noszonym przez tajemniczych i budzących postrach czarowników Tundów.

Rokur Gepta, który ukrywał całą twarz z wyjątkiem pałających oczu pod zwojami czegoś, co przypominało czarny turban, z trudem powstrzymywał wybuch wściekłości.

- Masz czelność mówić, że znów mnie zawiodłeś?

Oficer, do którego się zwrócił, nie wyglądał na uszczęśliwionego wykonywanym zadaniem. Należałoby zacząć od tego, iż jego mundur pozbawiono wszystkich dystynkcji i odznaczeń, w wyniku czego mężczyzna czuł się jak obnażony. Poza tym nie rozumiał, dlaczego gotów do walki krążownik, obsługiwany przez sprawną, wyćwiczoną załogę, uganiania się po przestworzach za niepozornym, samotnie blakającym się frachtowcem.

Usłyszawszy słowa Gepty, oficer przełknął ślinę.

- Chciałem tylko powiedzieć, proszę pana, że zainstalowane przez naszego agenta urządzenie chyba eksplodowało wcześniej, niż się spodziewano. Zgodnie z pańskim rozkazem, miało wybuchnąć, kiedy statek wejdzie w górne warstwy atmosfery, a załoga zacznie przygotowywać się do lądowania.

- Czy wiesz, że to już drugie takie niepowodzenie? - syknął Gepta. - Ty idioto, przecież lecą do systemu Oseona, a tam nie ma czegoś takiego jak górne warstwy atmosfery! Mam już dosyć tego wszystkiego!

Czarownik uniósł rękę i wykonał jakiś ruch dłonią, ukrytą w czarnej rękawicy. Oficer jęknął i osunął się na kolana. Na jego czoło wystąpiły krople potu.

- Sam wiesz, o ile skuteczniejsze jest coś takiego w porównaniu ze zwykłym zadawaniem bólu, nieprawdaż? - ciągnął Gepta. - Każdy ma przecież jakieś wspomnienia. Każdy pamięta o nieprzyjemnych sprawach, o których pragnąłby jak najszybciej zapomnieć: poniżeniach, zakłopotaniach, rozzarowaniach i pomyłkach... czasami nawet tragicznych. Zdarzało się, że zawodziliśmy tych, którzy nas kochali, a kiedy indziej my doznawaliśmy

zawodu z ich strony.

Czarownik uczynił inny gest.

- Nie, nie wolno ci myśleć o niczym innym! Ta niegodziwość krąży teraz i objija się po twoim mózgu. Wzmocniona i wyostzona, zachowuje się, jakby żyła własnym życiem! Twarz oficera poszarzała. Klęczący mężczyzna zachwiał się i pochylił głowę niemal do płyty pokładu. W miejscach, gdzie paznokcie zaciśniętych palców przebiły skórę wewnętrznej strony dłoni, pojawiły się krople krwi. W jednym kącie ust ukazało się trochę piany, a zaraz po niej krew, która wypłynęła z przygryzanych warg i języka. W końcu, kiedy oficer stracił resztę panowania nad sobą, zwałił się bez czucia na płyty pokładu. Leżał tam przez jakiś czas i jęczał, raz po raz wstrząsany konwulsyjnymi drgawkami.

Wreszcie Gepta go uwolnił.

Na mostku pojawiło się dwóch dyżurnych, którzy ujęli oficera pod pachy i wywlekli za drzwi. Gepta już dawno zauważył, że poddawani takim torturom podwładni sprawiają później wrażenie inteligentniejszych, a w każdym razie szybciej, skuteczniej i dokładniej wykonują rozkazy. A zatem, dlaczego nie miałyby ulepszać narzędzi, którymi się posługiwał? Narzędzia nie miały przecież prawa narzekać, kiedy zmuszał je do wykonywania cięższej pracy. Czy słyszano, żeby nóż się poskarżył, kiedy ktoś ostrzył go, by wyglądał i zachowywał się jak brzytwa? A gdyby nawet, kogóż by to obchodziło?

Czując, że ogarnia go ożywienie, czarownik odwrócił się i podszedł do fotela dowódcy, który zazwyczaj zajmował, ilekroć zjawiał się na mostku. Wprawdzie nie był dowódcą „Wennisy”, ale lubił trzymać wszystko w garści.

Usiadł. Na półce obok fotela stały dwie klatki o pojemności mniej więcej pół metra sześciennego każda. W pierwszej Gepta trzymał swojego ulubieńca.

Trudno byłoby go zauważyć, zagrzebanego w warstwie szarozielonej mazi, z której wystawały jedynie trzy czarne, podobne do koślawych badyli odnóża. Zakrzywione i powyginane, promieniowały jakąś chciwą, zachłanną energią, z którą chyba tylko sam Gepta mógłby utożsamiać się i sympatyzować. Czarne kończyny były porośnięte krótkimi, rzadkimi włoskami.

W drugiej klatce czarownik trzymał inne stworzenia. W tej chwili miał ich sześć czy siedem i wiedział, że niedługo będzie musiał postarać się o następne. Zwierzątka miały rozmiary myszy i, prawdę mówiąc, wyglądały jak one, chociaż ich ciała porastała długa, kędzierzawa złocista sierść, a w pyszczkach błyszczwały niewiarygodnie ogromne, błękitne oczy. Każde stworzenie było zwinne i czyste, zdając się promieniować radosnym ciepłem. Każde miało też porośnięty długą, puszystą sierścią ogonek, podobny do tego, jaki mogłaby mieć miniaturowa wiewiórka.

Gepta opanował chęć, by się wzdrygnąć, a później otworzył klatkę zamieszkaną przez pokryte futrem myszy. Sięgnął po wielkie plastikowe szczypce i pochwycił jedną - zapiszczała ze zdumienia i bólu - po czym wyciągnął ją z klatki. Następnie otworzył górną kłapę drugiego pojemnika i zachowując jak najdalej posuniętą ostrożność, wrzucił stworzenie pomiędzy sterzące kosmate odnóża.

Rozległo się młasknięcie, a po nim przeraźliwy pisk - ucięty jak nożem. Po chwili zaś odgłos miażdżenia kruchych kości. Gepta opuścił wieko klatki. Uświadomił sobie, że na widok wieloprzegubowych odnóży, pieczołowicie czyszczących się nawzajem z resztek posoki i strzępków futerka, ogarnia go fala dziwnego ciepła.

Pomyślał, że chyba odczuwa taką radość, wyobrażając sobie, iż małe, puszyste bezbronne stworzenie, które właśnie uśmiercił, jest Landem Calrissianem. Myśl ta wyraźnie poprawiła mu samopoczucie. Niegdyś wielu próbowało pokrzyżować jego plany. Przeżyć udało się tylko jednemu. Nie wiedział tylko, dlaczego spośród wszystkich ludzi właśnie ten nic nie znaczący włóczęga, wędrowny hazardzista, oszust i szarlatan tak często stawał pomiędzy

nim a wytkniętym celem. Fakt jednak, że tak się właśnie działo.

Jedynie kilka istot wiedziało, jak wiele - i jak niewiele - zaufania pokładał czarownik Tundów w magii. Jeszcze mniej liczni byli ci, którzy przeżyli, aby przekazać tę wiedzę innym. Przywołując i wzmacniając nieprzyjemne przeżycia - na przykład kogoś takiego jak kapitan „Wennisa” - a także eliminując wszystkie inne myśli, nie robił niczego, czego nie można byłoby osiągnąć za pomocą sprytnie zaprojektowanych i wykonanych urządzeń elektronicznych.

Czarownicy Tundów dysponowali jednak własną tajemną wiedzą, przekraczającą wszystko, co dotąd udawało się osiągnąć nauce. A Rokur Gepta należał do istot przesadnych. Wiedział, że za nieustanne stawianie Calrissiana na jego drodze odpowiada jakieś perwersyjne szczęście, zły los, karma, kismet czy po prostu przeznaczenie. Czasami odnosił wrażenie, że młody hazardzista nawet nie uświadamia sobie tego, co się dzieje. Czarownik postanowił, że najwyższy czas z tym skończyć.

Przycisnął guzik, umieszczony w oparciu fotela. Natychmiast na mostku pojawił się inny oficer, trochę młodszy od kapitana.

- Jesteś zastępcą dowódcy? - syknął Gepta.

Oficer zasalutował, mimo iż jego ręka wyraźnie drżała. Widocznie widział, jak dwaj rośli dyżurni wywlekają z mostka jego przełożonego.

- Ta... tak, proszę pana. Jestem. Ja... ehm... Czy mamy nadal lecieć do systemu Oseona, proszę pana?

Rokur Gepta odczekał kilka chwil, zanim zdecydował się odpowiedzieć. Wiedział, że przeciągająca się cisza jeszcze bardziej podrażni nerwy młodego oficera. W hierarchii wojskowej zawsze istniało coś, co sprawiało, że podwładni czuli się winni. Zaprojektowano ją zresztą tak, żeby jednostki nie mogły przeżyć jednego dnia, by nie musieć omijać jakiegos zakazu, naginać prawa czy chociażby lekceważyć przepisu. Rzecz jasna, korzystali na tym ci, którzy zajmowali miejsca na samym wierzchołku piramidy.

Okazało się, że i teraz reguła funkcjonuje bez zarzutu.

Dopiero kiedy Gepta zauważył, że na czole młodego oficera pojawiły się pierwsze krople potu, zdecydował się przerwać ciszę.

- Nie, nie. Przez pewien czas będziemy lecieli innym kursem. Już niedługo podam ci jego parametry. Jeszcze przez kilka godzin twój kapitan będzie niedysponowany, a ja chciałbym, żebyśmy pokonali jak największą odległość, zanim... przyjdzie do siebie.

Wiele parseków dalej, w przestworzach równie bezkresnych i mrocznych jak te, które otaczały krążownik „Wennis”, unosił się bardzo dziwny obiekt.

Środkową część stanowił nie obudowany rdzeń jednostki napędu nadświatlnego. Jego rozmiary pozwalały przypuszczać, że został wymontowany z wnętrza jakiegoś pancernika. Jarzący się, opalizujący i pulsujący piekielną energią, odkształcał otaczające go przestworza w sposób, zadający kłam najbardziej podstawowym prawom rzeczywistości. Przyjrzenie się obiektowi z bliska ujawniłoby fakt, że był bardzo, bardzo stary, połatany i niedbale zespawany z wielu mniejszych jednostek napędowych, dawno uznanych za przestarzałe i tak wyeksploatowanych, że grożących awariami.

Rdzeń otaczały co najmniej dwa tuziny archaicznych i wysłużonych gwiazdnych myśliwców, skonstruowanych na dwudziestu różnych światach. Niektóre maszyny, zaprojektowane i zbudowane z myślą o tym, żeby służyły istotom obcych ras, zostały później niezdarnie przerobione. Myśliwce, dołączone były do rdzenia jednostki napędowej za pomocą grubych, elastycznych błyszczących kabli, które jarzyły się, iskrzyły i falowały z częstotliwością, wymuszaną przez centralne źródło zasilania. Postronny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że myśliwce holują monstrualny silnik. W rzeczywistości prawdą było coś wręcz przeciwnego. Małe jednostki nie potrafiły przyspieszać do

prędkości nadświatlnych, wskutek czego ich piloci musieli korzystać z pomocy centralnego urządzenia.

Dowódca milicji Klyn Shanga siedział przed urządzeniami kontrolnymi swojego wysłużonego statku. Głęboko pogrążony we własnych myślach, sprawiał wrażenie człowieka, który patrzy, ale nie widzi i słucha, lecz nie słyszy. W taki sposób przeżył ostatnie jedenaście dni. Dochodził do wniosku, że właśnie bierze udział w najnudniejszej podróży, w jaką kiedykolwiek się wyprawił. Wiedział jednak, że nie mógł jej uniknąć. Nie pozwalał mu na to honor.

Mimo iż wszystkie pulpity kontrolne jego statku raz po raz rozbłyskiwały różnobarwnymi światełkami, właściwie o niczym go nie informowały. Zostały sprzężone z podobnymi urządzeniami, zainstalowanymi na pokładach wszystkich pozostałych myśliwców. Ich pokładowe komputery połączono z centralną maszyną, znajdującą się obok rdzenia jednostki napędowej.

Mimo iż dysponował mnóstwem wolnego czasu, Klyn Shanga nie miał nic do roboty.

Już dawno przestał rozmyślać o domu - niemal zupełnie nieznannej, zacofanej planecie, zasiedlonej wiele pokoleń przed wezbraniem obecnej fali imperialnych osadników, zanim jeszcze swoich zwiadowców zaczęła rozsyłać we wszystkie strony nie istniejąca Republika. Nie pamiętał również, kiedy przestał wspominać członków rodziny. Nie widział w tym większego sensu. Istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, iż nigdy już ich nie zobaczy.

Jeszcze mniej czasu poświęcał na zastanawianie się nad różnymi aspektami obecnej sytuacji. Starał się wykonać zadanie, korzystając z pomocy grupy przypadkowo zebranych członków milicji - zawodowych żołnierzy, emerytowanych policjantów, poszukiwaczy przygód i najzwyklejszych awanturników - równie starych i wysłużonych jak pilotowane przez nich maszyny. Nie zmartwiłby się, gdyby zginęli podczas wykonywania zadania.

A zadanie było dziecinnie łatwe. Polegało na tym, żeby odnaleźć kogoś i zabić. Ich cel, ich wróg, wyrządził kiedyś mieszkańcom planety Shangi niepowetowane straty. Zapewne już nie pamiętał o tym, że zdradził ich kryjówkę w przestworzach i wystawił na pośmiewisko rasy zaawansowanych pod względem technologicznym obcych istot. Klyn Shanga nie przejmował się tym, że istota, która miała przypłacić swój postęp śmiercią, uchodziła za ucieleśnienie zła. Zła czy nie, już niedługo przestanie żyć - o ile wszystko potoczy się zgodnie z planem.

Jeżeli nie, nie chciał nawet myśleć o tym, jaki los spotka wszystkich członków grupy. We wszechświecie pieńło się wiele zła, a zatem jedna zła istota mniej czy więcej nie powinna sprawić większej różnicy. Krzywda została wyrządzona, a on wyruszył po prostu, żeby wyrzucić zemstę, a może również uchronić inne bezradne i bezbronne światy od podobnego losu.

Klyn Shanga popatrzył przez szyby owiewki kabiny swojego myśliwca na pozostałe, skupione wokół silnika wojennego okrętu maszyny. Pomyślał, że tworzą zabawną grupę. Zapewne takim samym musiał jawić się ich rodzinny świat w oczach okrutnego napastnika. Cała formacja przypominała groteskowy, odwodniony chwast - międzygwiazdny szarłat, gnany tam, dokąd cisną go losy. Shanga starał się znaleźć ukojenie w przeświadczeniu, że nic nie mogło być odleglejsze od prawdy. Stanowili skromną, ale śmiertcioną grupę, która już wkrótce zaskoczy i unicestwi przeciwnika.

Nagle konsola komunikatora obudziła się do życia, a mężczyzna ocknął się z zamyślenia.

Nie usłyszał jednak żadnych słów powitania ani pozdrowienia. Sygnał przesłano za pomocą bardzo skupionej, kierunkowej wiązki, która mogła być odebrana tylko przez pilotów jego grupy. Wiazka niosła niewielką energię, tak że raz po raz to słabła, to się

nasilała.

Na ekranie monitora pojawił się młody mężczyzna, odziany w wojskowy szary mundur, na którym próżno by szukać jakichś dystynkcji czy naszywek. Shanga bez trudu rozpoznał drugiego oficera, pełniącego służbę na pokładzie wycofanego z czynnej służby gwiazdowego krążownika „Wennis”.

Zamiast przemówić, młody mężczyzna tylko kiwnął głową.

Shanga pstryknął przełącznikiem komunikatora i zapytał:

- A zatem, leci do nas?

Oficer ponownie kiwnął głową. Płonące oczy dowodziły, że jego serce jest przepełnione trwogą i nienawiścią. Podobne uczucia przepełniały serca ludzi Shang.

- Będzie tam, kiedy przylecimy? - upewnił się dowódca grupy.

Tym razem oficer odpowiedział:

- Istnieje prawdopodobieństwo, że trochę później - możliwe, że polecimy dłuższą trasą - ale przypuszczam, że już niedługo położymy się na poprzedni kurs.

Klyn Shanga zatarł pokryte odciskami dłonie. W ciągu wielu dziesięcioleci, jakie upłynęły od chwili zakończenia ostatniej wojny, toczonej na powierzchni jego świata, trudnił się uprawą roli. Żył spokojnie i dostatnio, otoczony roślinami, zwierzętami i dziećmi. Później jednak, z powodu osoby, o której właśnie rozmawiali, jego sielanka dobiegła końca. Shanga wiedział, że towarzyszący mu ludzie także przysłuchują się tej rozmowie i uświadamiają sobie, że niedługo ofiara znajdzie się w zasięgu strzału. Czekali długo, bardzo długo, by usłyszeć tę radosną nowinę.

- Strasznie ryzykujesz - odezwał się starszy mężczyzna, nadając rysom pomarszczonej twarzy wyraz współczucia.

- Nie ma potrzeby o tym mówić. Uważam, że warto podjąć to ryzyko. Teraz jednak muszę się rozłączyć. Z każdą sekundą rośnie niebezpieczeństwo, że zostanę wykryty.

Shanga kiwnął głową.

- A zatem uważaj na siebie - powiedział. - Życzę powodzenia.

- Ja tobie także.

Wiele parseków dalej Rokur Gepta, przebywający we własnej kabinie na pokładzie gwiazdowego krążownika, wyłączył komunikator, a później usiadł wygodniej, aby zastanowić się nad tym, co usłyszał. Jego pierwszą reakcją była chęć unicestwienia życia - albo jeszcze lepiej, władz umysłowych - młodego szczeniaka, który ośmielił się go zdradzić. Nie po raz pierwszy pogratulował sobie i ucieszył się, że zainstalował w prywatnych pomieszczeniach wszystkich członków załogi dodatkowy, niezależny komplet urządzeń podsłuchowych. Wszystko wskazywało na to, że drugi oficer nie miał najmniejszych kłopotów z unieszkodliwieniem pierwszego, oficjalnego zestawu.

Gepta pomyślał jednak, że uczyni lepiej, jeżeli wyrze zemstę w innej, bardziej odpowiedniej chwili. Teraz powinien jak najszybciej zająć się rozwiązaniem zagadki. Nie znał osobnika, z którym rozmawiał oficer, ale czarownik był tak stary, że uświadomienie jakiegokolwiek osobie tego faktu wprowadziłoby ją w przerażenie. W ciągu wielu stuleci, jakie przeżył, widział i robił mnóstwo rzeczy. Miał licznych wrogów, spośród których olbrzymia większość nie żyła.

Pomyślał, że właśnie tak powinno być zawsze.

Mógł zrobić jedno: przyspieszyć cały proces. Postanowił, że zrezygnuje z dotychczasowych planów. Prawdę mówiąc, i tak miał zastrzeżenia co do ich realizacji. Wcisnął guzik, umieszczony na stoliku obok łóżka stojącego w sypialni.

- Mostek? Tu Gepta. Odwołuję poprzednie rozkazy. Wrócić na kurs, który wam przedtem podałem. Lecimy prosto do systemu Oseona.

ROZDZIAŁ V

Patrzac na Loba Doluffa, można było pomyśleć, że widzi się wielką gruszkę. Mężczyzna oglądany na ekranie monitora sprawiał wrażenie wyższego niż w rzeczywistości. Jego twarz porastało coś, co Lando tylko z trudem mógłby uznać za ciemną brodę, a łysa głowa łśniła, jakby ją wywoskował i wypolerował.

Starszy Administrator systemu Oseona miał bardzo ujmujący styl bycia. Pasjami lubił grywać w sabaka, a co najważniejsze, potrafił z wdziękiem przegrywać. Okazało się, iż często musiał robić użytek z tej umiejętności, ponieważ entuzjazm i talent nie zawsze szły ręką w rękę.

Siedział przy stoliku naprzeciwko Calrissiana i oparłszy łokcie na wydatnym brzuchu, jakimś cudem nie wypuszczał kart-płytek z tłustych palców. W pierwszym rozdaniu los obdarował go szóstką manierek i Panią klepek, co dawało mu w sumie dziewiętnaście punktów. Okazało się jednak, że również entuzjazm i odwaga rzadko chadzają parami. Otyły mężczyzna nie zdecydował się na wzięcie następnej karty. Widocznie zapomniał o konieczności liczenia się z faktem, że im dłużej je trzymał, tym bardziej zwiększało się prawdopodobieństwo, że któraś zmieni walor, a on nic na to nie poradzi.

Lando dostał siódmkę monet i Dzierżawę, której punkty się odejmowało. Potrzebował czegoś lepszego niż minus sześć punktów, żeby wygrać w tym rozdaniu. Jaką trzecią kartę dał sobie asa szabel, dzięki czemu suma wartości wszystkich kart podskoczyła do dziewięciu punktów. Wciąż za mało. Następny gracz także wziął kartę, a Starszy Administrator odmówił już wcześniej. Gracz siedzący na lewo od Calrissiana zawahał się, ale w końcu przyjął kartę, a uczestniczka gry siedząca po prawej ręce również zrezygnowała.

Lando dał sobie czwartą kartę. Po każdym wręczeniu karty gracze podnosili stawkę. Tego wieczora - czwartego od chwili przybycia hazardzisty do systemu Oseona - podbijali ją o tysiąc kredytów, dzięki czemu na stoliku spoczywały naprawdę pokaźne sumy.

Pani monet. Do sabaka brakowało zaledwie punktu. Lando wstrzymał oddech. Uważał, że tego wieczora karty zmieniają walory wyjątkowo powoli, jakby niechętnie rozstawały się z dotychczasowymi wizerunkami. Mimo to odnosił wrażenie, że szczęście mu sprzyja. Przenikało go dziwne ciepło. Czuł się odprężony.

Gracz siedzący po lewej wziął jedną kartę. Lob Doluff ponownie zrezygnował. Uczestniczka gry wzięła kartę i natychmiast rzuciła wszystkie na blat stołu.

- Zero! - mruknęła, nie ukrywając rozczarowania.

Istniały trzy sposoby wypadnięcia z gry: kiedy suma punktów przekraczała dwadzieścia trzy, malała poniżej minus dwudziestu trzech albo osiągała zero. Gracz siedzący po lewej ręce Calrissiana nie zdecydował się na wzięcie jeszcze jednej karty.

Lando zauważył kątem oka jakiś ruch i migotanie. Jedna z jego kart zmieniała walor.

- Sabak! - oznajmił z satysfakcją, kiedy przekonał się, że Dzierżawa przemieniła się w Umiar. Wbrew pozorom, szansa takiej zmiany wartości o jeden punkt była całkiem duża - podobnie jak suma, którą zgarnął młody hazardzista.

Pozostali gracze rzucili swoje karty na blat stołu. Wygrana Calrissiana oznaczała, że to on będzie rozdawał karty w następnej partii.

Tasując je, zastanawiał się nad tym, czego może oczekiwać po innych graczach. Rzecz jasna, nie miał żadnych trudności z rozszyfrowaniem Loba Doluffa. Starszy Administrator systemu Oseona zaliczał się do zbyt konserwatywnych ludzi, żeby mógł liczyć na jakąkolwiek większą wygraną. Nie tylko nie zagrażał młodzieńcowi, ale stanowił stałe

źródło dochodu. Lando pomyślał, że tłuścioch powinien jednak ograniczyć się do wydawania poleceń swoim urzędnikom. Nie nadawał się, żeby być dobrym hazardzistą. Tego wieczora przebywali w posiadłości Doluffa. Każdego dnia grali w innym miejscu. Rezydencja była położona kilka kilometrów od czegoś, co uchodziło za miasto. Przypominała spoczywającą na powierzchni gruntu wielką kopułę, wypełnioną wilgotnym powietrzem i ozdobioną tropikalnymi roślinami. Przez przezroczystą szybę przebiegały gwiazdy - jaśniejsze i wyraźniejsze niż miały prawo być, jeżeli wziąć pod uwagę otaczającą graczy gęstą dżunglę.

Stolik do gry ustawiono na szerokim, wyłożonym płytkami przejściu, biegnącym samym środkiem gigantycznej cieplarni. Słychać było plusk wody, tryskającej z pobliskiej fontanny. Prawdę mówiąc, jedynie to mąciło absolutną ciszę, jako że Starszy Administrator nie uznał za słuszne umieścić w swoim ogrodzie jakichkolwiek ptaków ani zwierząt. Spomiędzy gęsto posadzonych drzew wyłaniał się od czasu do czasu android- służyący, aby zaproponować gościom następną porcję trunku. Tego wieczora Lando pił snillik - gęsty likier z jakiejś planety, znajdującej się niedaleko Jądra galaktyki. Nie znosił go i dlatego sączył kropelka po kropelce.

Przetasował karty po raz piąty i ostatni, a potem podał do przełożenia graczowi siedzącemu po prawej ręce. Tamten przyjął karty i podziękował kiwnięciem głowy, a później podzielił na trzy części i położył przed sobą. Następnie połączył je w całość, ale nie w takiej samej kolejności, jak poprzednio. Hazardzista uważnie go obserwował. Wyczuwał w nim zawodowca, mimo iż w trakcie ceremonii przedstawiania graczy mężczyzna oświadczył, że jest emerytowaną przedsiębiorcą. Możliwe, że był i jednym, i drugim.

Nazywał się Del Cycler. Wyglądał na osobę w średnim wieku, ale był nieprawdopodobnie wysoki jak na istotę ludzką. Miał dobrze ponad dwa metry. Mimo to, a może właśnie dlatego, Lando doszedł do wniosku, że jeszcze nigdy nie widział człowieka tak chudego. Mężczyzna miał na sobie jaskrawozielony kaftan, a palce jego dłoni zdobiło kilkanaście pierścieni, obrączek i sygnetów.

- Mówiono mi, kapitanie Calrissian, że niedawno odwiedził pan system Rafy - odezwał się w pewnej chwili tonem świadczącym o tym, że pragnie nawiązać grzecznościową rozmowę, ale zdradzającym również pewne zainteresowanie. - Czy to prawda, że odnaleziono tam legendarną, rzekomo zaginioną rasę inteligentnych istot, które przez cały czas nigdzie się stamtąd nie ruszały?

Lando sięgnął po talię, a potem wykonując dobrze znane, wyćwiczone ruchy, zaczął rozdawać karty- płytki siedzącym przy stoliku graczom.

- Słuszniej byłoby powiedzieć, że ta zaginiona rasa odnalazła nas - powiedział. - To prawda; byłem tam, kiedy to się wydarzyło. Prastarzy Sharowie upomnieli się o swoje dziedzictwo i wszystko wskazuje na to, że niedługo powrócą do zajmowania się swoimi interesami.

- Jakie to stłasne! - wykrzyknęła istota siedząca po lewej ręce Calrissiana. Wyglądała obrzydliwie. Zamiast nosa miała krótką trąbę, kołyszącą się pomiędzy nabiegłymi krwawymi oczami. Co gorsza, wszystko wskazywało na to, że płynąca w jej żyłach krew ma zieloną barwę, kłócącą się z intensywnym szafirem tęczówek. - Cy to znaczy, że jus nie będzie żadnych więcej zyciokryształów?

Stworzenie miało na grubej pomarszczonej szyi ciężki łańcuch, na którym zawiesiło wielki zyciokryształ, wyhodowany w jednym z życiosadów systemu Rafy. Jeżeli chodzi o to, nie było jedyną istotą, noszącą taki drogocenny klejnot. Lando przekonał się na własnej skórze, że kryształy pobierały rozproszoną energię sił życiowych, emanującą z organizmów wszystkich istot żywych, a potem gromadziły ją i oddawały osobom, które

je nosiły. Młody hazardzista brzydził się życiokryształami, wskutek czego nigdy ich nie nosił. Wydawało mu się, że gdyby to uczynił, poczułby się jak wampir.

- Nie - odparł, wręczając istocie drugą kartę. - Myślę, że nowi właściciele życiokryształowych sądów wcześniej czy później wznowią eksport tych klejnotów. Zapewne ceny będą wówczas o wiele wyższe.

Lob Doluff przyjął drugą kartę, ale nie odezwał się ani słowem. Lando nie miał żadnych wątpliwości, że otyły mężczyzna, ujrzawszy swoje karty, doszedł do przekonania, iż tym razem wygra. Możliwe, że miał rację, ale zachowując się w taki sposób, tracił całą przewagę i pozbawiał się szansy większej wygranej, jaką mógłby mieć, zanim ta gra dobiegnie końca.

Uczestniczka gry, siedząca po lewej ręce Starszego Administratora systemu Oseona, była kobietą chyba jeszcze młodszą niż Lando - jasnowłosa i całkiem powabną. Młodzieniec pamiętał, że przedstawiła mu się jako Bassi Vobah, przy okazji dając do zrozumienia, że pracuje jako ktoś w rodzaju funkcjonariuszki albo urzędniczki. Hazardzista zastanawiał się, skąd dziewczyna może mieć aż tyle pieniędzy. Na razie nie zachwycał się jej stylem gry. Wręcz przeciwnie, nawet trochę zaniepokoił się, kiedy uświadomił sobie, że Bassi Vobah nie przestaje go uważnie obserwować.

W jej spojrzeniach nie wyczuwał ani odrobiny sympatii.

Wręczył jej kartę. Następnie podał Delowi, a kolejną położył przed sobą. Później, nie spoglądając w swoje karty, pociągnął mały łyk snillika.

- Ktoś życzy sobie jeszcze jedną? - zapytał obojętnym tonem. Obdarzona trąbą istota kiwnęła głową, a przy tym ruchu jej narząd oblesnie się zakołysał. Kiedy Lando spełnił jej prośbę, stworzenie prychnęło i rzuciło wszystkie karty- płytki na blat stołu.

- Tyszdzieści siedem! - wykrzyknęło. - To obuzające! Lob Doluff zrezygnował z wzięcia następnej karty.

W przeciwieństwie do niego Bassi Vobah, nie odzywając się ani słowem, przyjęła proponowaną kartę.

Del Cyser także sięgnął po swoją, ale kiedy zobaczył jej wizerunek, spokojnie położył wszystkie na blacie stołu.

- Wypadam z gry - oznajmił. - Mam za dużo.

- Ktoś jeszcze chce? - zapytał Calrissian. Blondynka kiwnęła głową. Dołączyła kartę do pozostałych i ponuro spojrzała na wszystkie, sumując w myślach punkty. Tym razem pula nie była taka wysoka, jak poprzednio. Lando w końcu popatrzył na swoje karty. Miał dwie dziewiątki: klepek i manierek. - Rozdający bierze jedną.

Na błyszczącej łysinie Loba Doluffa utworzyły się pierwsze kropelki potu. Wyglądało na to, że palce mężczyzny lekko drżą. W końcu grubas nie wytrzymał. Rzucił karty na stół w taki sposób, że upadły awersami do góry.

- Dwadzieścia dwa! — krzyknął. — Czy ktoś może to przebić? Lando przeniósł spojrzenie na Bassi Vobah.

- Czternaście - oznajmiła młoda kobieta. - Nawet nie ma o czym marzyć.

Lando dał sobie czwórkę szabel i miał także dwadzieścia dwa punkty. Pokazał swoje karty, po czym sięgnął po pozostałe, by rozdawać następne.

- Na razie remis.

Doluff otrzymał trójkę klepek, co wyeliminowało go z dalszej gry. Lando mógł wówczas przestać rozdawać, ale mimo to odwrócił następną kartę. Idiota, liczony za zero punktów. Znowu wygrał całą pulę.

- Może zrobimy krótką przerwę? - zwrócił się do pozostałych graczy.

Ponieważ od paru rozdań stale wygrywał, mógł sobie pozwolić na zaproponowanie kilku chwil odpoczynku - bez obawy, że usłyszy okrzyki oburzenia. Powód był bardzo

prosty. Nie wierzył, aby okres dobrej passy mógł się ciągnąć bez końca, w związku z czym nie obawiał się go przerwać. Poza tym musiał się zastanowić, czy nie byłoby lepiej, gdyby świadomie przegrał w kilku następnych rozdaniach. Jego życie, dobrobyt i właściwie wszystko, co dotychczas osiągnął, zależały od tego, żeby utrzymywać jak najlepsze stosunki z resztą oskubywanych graczy. Oznaczało to, że powinien przegrywać, kiedy gra toczyła się o niewielkie stawki, i dyskretnie wygrywać, gdy w puli były duże sumy. Uważał taką strategię za coś wręcz nieodzownego, ilekroć siadał do gry z bardzo bogatymi istotami. Dochodził jednak do wniosku, że takie gry nie różniły się właściwie niczym w porównaniu z innymi, w jakich brał udział, kiedy odwiedzał spelunki dla ciężko pracujących górników. Psychika, czy to istot ludzkich, czy jakichkolwiek innych, pozostawała zawsze taka sama.

- Pięć minut do chwili wyskoczenia z nadprzestrzeni, mistrzu.

Lando wciąż jeszcze siedział w świetlicy „Sokoła Milenium”. Bawił się kartami- płytkami i rozmyślał o najróżniejszych sprawach. Korzystając z pomocy Vuffiego Raa, jak najszybciej naprawił uszkodzenia, jakie odniósł frachtowiec w wyniku eksplozji. Na szczęście, na pokładzie statku nie brakowało części zapasowych, a rampa należała do urządzeń, które i tak wymagały bardzo częstych napraw. Po prostu była jedną z ruchomych, a zatem bardziej narażonych na uszkodzenia części statku.

Później, centymetr po centymetrze, Lando i Vuffi Raa przejrzeni całe wnętrze „Sokoła Milenium”. Nauczyli się, że ich los zależy od tego, by niczego nie zostawiać przypadkowi, i pragnęli upewnić się, czy ktoś nie podłożył innej bomby na pokładzie. Nie znaleźli niczego. Mały android chciał nawet wyjść na zewnątrz, żeby obejrzeć w taki sam sposób cały kadłub statku, ale Lando stanowczo się sprzeciwił. Lecieli z prędkością nadświatlną i otaczające statek pola nie tylko stwarzały fizyczne zagrożenie, ale zniekształcały rzeczywistość do tego stopnia, że mogły doprowadzić do szału nawet najbardziej odpornego androida. A poza tym, Lando poświęcił mnóstwo czasu na czytanie instrukcji obsługi i wiedział, że ochronne pola nie tylko osłaniały cały kadłub statku, ale również wnikały na głębokość kilku cząsteczek pod powierzchnię. Eksplozja bomby, przymocowanej w jakimkolwiek miejscu kadłuba, spowodowałaby zatem tylko niewielkie uszkodzenia.

Postanowił, że zaryzykuje. Nie na próżno cieszył się opinią doświadczonego hazardzisty. Ponadto, jak każdy dobry przyjaciel, troszczył się o to, żeby jego mechaniczny towarzysz pozostawał zawsze cały i zdrowy.

Nagle uświadomił sobie, że nie odpowiedział na ostatnią uwagę, jaką usłyszał z głośnika interkomu.

- W porządku, stary otwieraczu do konserw. Za chwilę się tam pojawiaę.

To miało być jego pierwsze lądowanie na powierzchni planety, wykonane pod nadzorem utalentowanego androida. Poprzednie próby, jakie podejmował, jeszcze zanim odebrał Vuffiego Raa z przechowalni, zakończyły się niepowodzeniem. Możliwe, że lądowanie na powierzchni (choćaż może lepiej byłoby powiedzieć: „blisko powierzchni”) asteroidy nie należało do właściwie bardzo trudnych ani uciążliwych, ale musiał od czegoś zacząć, jeżeli pragnął opanować tę sztukę.

Tym razem dotarł do sterowni, zanim doszło do eksplozji.

Spędził później trochę czasu, wyplątując ręce i nogi z kłębowiska srebrzystych, metalowych macek. Nie zdążył się jeszcze przypiąć, a Vuffi Raa właśnie wygrzebał się z objęć ochronnej sieci, aby sprawdzić wskazanie czujnika, usytuowanego w odległym kącie kontrolnego pulpitu. Obaj spadli z foteli i potoczyli się pod konsolety.

Kiedy w końcu się rozdzielili, stwierdzili, że „Sokół Milenium” leniwie wiruje wokół osi.

- Mistrzu, przykro mi to mówić, ale do tej eksplozji doszło na zewnątrz statku, w okolicach reduktora przesuwnika fazowego.

Masując stłuczone miejsca ciała, w których pewnie niedługo pojawią się bolesne sińce, Lando nie przestawał przyglądać się kontrolnym pulpitom.

- Tak, ale wydaje mi się, że to była samoistna eksplozja. Popatrz na wskazania czujników przesuwnika fazowego. Właściwie niczym się nie różnią w porównaniu z tymi, jakie widzieliśmy poprzednio, kiedy doszło do eksplozji tamtej bomby. Nie sądzisz?

Tym razem mały robot pograżył się w zadumie.

- Wydaje mi się, że masz rację - stwierdził w końcu. - Mimo to, gdybyśmy wnikali w zewnętrzne warstwy prawdziwej atmosfery i mieli do czynienia ze znacznie większą siłą ciężenia, ta eksplozja przyczyniłaby się do naszej śmierci. Spójrz na to, co pokazują zewnętrzne kamery. Osłony jednostek napędowych zostały zniszczone i naderwane. W innych okolicznościach oderwałyby się całkowicie, a wówczas zostalibyśmy...

- Uhm, myślę, że wystarczy, mały przyjacielu. Potrafię wyobrazić sobie, jak wówczas, koziołkując, splonęlibyśmy w atmosferze. Ile czasu zajmie ci naprawienie tego uszkodzenia?

- Nie więcej niż kilka godzin, mistrzu - odparł Vuffi Raa. - I nie przeszkodzi ci w podchodzeniu do lądowania.

Lando ponownie rozdał karty - tym razem jednak już nie tak uczciwie, jak poprzednio. Oczywiście, okazało się, że to była druga bomba. Bez względu jednak na to, kto przytwierdził ją do kadłuba, nie wiedział dokładnie, dokąd leć. Nie przypuszczał, że celem ich wyprawy jest pozbawiona atmosfery asteroida - zbyt mała, by ich przyciągnęła i sprawiła, że sploną podczas lądowania. Vuffi Raa odnalazł później fragmenty modułu sterującego - niemal takiego samego, jaki doprowadził do eksplozji pierwszej bomby. Urządzenie zaprojektowano w taki sposób, żeby zareagowało, kiedy statek osiągnie prędkość światła. Różniło się od poprzedniego jedynie tym, że miało wywołać eksplozję, kiedy „Sokół Milenium” zmniejszy prędkość z nadświatłowej do podświatłowej.

Lando pomyślał, że komuś naprawdę zależy na tym, by go zabić.

Przypominał sobie wszystkie wysokie wygrane, jakie zdarzało mu się zgarniać, kiedy siadywał przy karcianych stołach. Czyżby, nie wiedząc o tym, doprowadził do wściekłości byłego gracza, dysponującego takimi sumami, że mógł opłacić najemnego mordercę i w ten sposób dopełnić dzieła zemsty? No cóż, wszystko wskazywało na to, że - przynajmniej przez pewien czas - powinien zachowywać daleko posuniętą ostrożność. I rozdawać karty trochę zręczniejsze.

Stworzeniu, obdarzonemu krótką trąbą, dał dwójkę klepek, a Lobowi Doluffowi dziesiątkę klepek. Bessi Vobah dostała liczoną za minus dwa punkty Królową Powietrza i Ciemności, a Cyser Mistrza monet. Młody hazardzista musiał zadowolić się Dowódcą monet.

W następnej kolejce wręczył obcej istocie Gwiazdę - kartę, której wartość wynosiła minus siedemnaście punktów. Doluff otrzymał dziewiątkę szabel, a Bessi Vobah drugą kartę mającą wartość ujemną. Tym razem był to Szatan, dzięki czemu wartość wszystkich kart dziewczyny zmalała do minus siedemnastu punktów. Lando dał jeszcze jedną kartę Cyserowi, po czym zerknął na swoją. Była nią dziewiątka monet, co dawało mu całkiem przyzwoite dwadzieścia jeden punktów - aczkolwiek nie na tyle przyzwoite, aby miał się tym chwalić. W następnej sekundzie wysoki, chudy emeryt, nie ukrywając podniecenia, krzyknął:

- Sabak!

Rzucił na środek stołu Mistrza, którego otrzymał na początku, i dziewiątkę klepek, którą dostał jako drugą.

Starając się, żeby nikt tego nie zauważył, Lando odetchnął z wielką ulgą, po czym przekazał pozostałą część talii Cyserowi. Czasami wygrywanie wymagało dysponowania wiedzą na temat tego, jak i kiedy przegrywać.

Cycer cieszył się rozdawaniem tylko jedną grę, ponieważ zwyciężył w niej Doluff. Otyły mężczyzna nie posiadał się z radości. Jeszcze później rozdawanie przypadło w udziale obcej istocie. Lando czuł się trochę zakłopotany faktem, że nie zapamiętał jej nazwiska, mimo iż i tak żaden człowiek nie potrafiłby go wymówić. Obdarzone trąbą stworzenie rozdawało dwa razy, po czym musiało zrezygnować z tej czynności na korzyść Dela Cycera.

Wyglądało na to, że najmniej szczęścia miała Bassi Vobah.

Cycer nie skończył rozdawać kart, kiedy spomiędzy drzew wyłonił się kulisty robot. Potoczył się i znieruchomiał obok Loba Doluffa. Gwizdnął rozkazująco, po czym rozdzielił się na dwie półkule.

Starszy Administrator przez chwilę spoglądał na ekran i na umieszczoną pod nim klawiaturę. Stopniowo z twarzy mężczyzny odpłynęła chyba cała krew.

- Kapitanie Calrissian, chyba będzie lepiej, jeżeli pospieszy pan do kosmoportu - wykrztusił po chwili. - Właśnie otrzymałem wiadomość, że pański statek, „Sokół Milenium”, stoi w ogniu.

ROZDZIAŁ VI

Prędkość wirowania asteroidy Oseon Sześć Tysięcy Osiemset Czterdzieści Pięć została sztucznie zwiększona w taki sposób, że skalna bryła wykonywała pełen obrót co dwadzieścia pięć godzin. Cieszyło to jej mieszkańców, ponieważ mieli dni i noce, ale innych, których zadanie polegało na lądowaniu gwiazdowymi statkami, przyprawiało o ból głowy. Osiedlanie na powierzchni, pędzącej z prędkością osiemdziesięciu ośmiu kilometrów na godzinę, mogło sprawiać wrażenie czynności bardzo prostej. Dopóki się samemu tego nie spróbowało.

Kiedy Lando opuścił położoną na równiku i otoczoną tropikalnymi lasami rezydencję Loba Doluffa, wsiadł do wagonika pneumatycznej kolejki i pognął na północny biegun Oseona Sześć Tysięcy Osiemset Czterdzieści Pięć. Mieściło się tam niewielkie i względnie stacjonarne lądowisko, istniejące dzięki temu, że wyrównano powierzchnię litej skały.

Niestety, mknącego rurą wagonika nie wyposażono w komunikator, a Lando nie miał zwyczaju zabierania takiego urządzenia za każdym razem, gdy schodził z pokładu „Sokoła Milenium”. Przez chwilę żałował, że tego nie uczynił, ale później uświadomił sobie, że podróżując wagonikiem, i tak nie dowiedziałby się niczego na temat losów zmodyfikowanego frachtowca. Miał przy sobie jedynie niecałe czterdzieści siedem tysięcy kredytów, które wygrał tego wieczora, a także miniaturowy, nierzucający się w oczy pięciopalcowy paralizator, który ukrył pod opasującą ciało welwoidalną szeroką szarfą. To była jedyna osobista broń, na jaką pozwalał sobie, kiedy wyruszał na podbój mrocznego, najeżonego niebezpieczeństwami wszechświata. Wolał polegać na własnym sprycie i rozumie niż na jakiegokolwiek innej, śmiercionośnej broni.

Wagonik mknął na północ tunelem, wiodącym po cięciuwie krzywizny, jaką stanowiła powierzchnia asteroidy. Miejscami osiągał prędkość kilku tysięcy kilometrów na godzinę. Lando nerwowo się kręcił, niecierpliwie odliczając chyba każdą sekundę i kilometr. Pamiętał, że wysłał Vuffiego Raa do kosmoportu i polecił mu dokończyć naprawiania „Sokoła” i mieć na niego oko.

Co się stało?

Mały robot był pacyfistą, ponieważ tak nakazywały mu najbardziej podstawowe reguły oprogramowania. Czyżby tę jego cechę wykorzystał jakiś sabotażysta? Czyżby obezwładnił androida i wzniecił pożar na pokładzie statku?

Rozległ się głośny świst plastikowych uszczeltek i wagonik zwolnił, a potem całkowicie znieruchomiał. Przezroczyste dwuskrzydłowe drzwi rozsunęły się na boki i wypuściły Calrissiana do labiryntu jaskrawo oświetlonych podziemnych tuneli, wykutych bezpośrednio pod płytą lądowiska. Biegąc głównym, chyba najszerszym z nich, młody hazardzista musiał minąć kilkanaście odchodzących w obie strony węższych korytarzy. W końcu dotarł do tunelu oznaczonego jako 17-W. Holograficzny napis, prowizorycznie wyświetlony w przymocowanych do ściany prostokątnych ramkach, głosił w sześciu najczęściej używanych językach:

„SOKOŁ MILENIUM” KAPITAN I WŁAŚCICIEL: LANDO CALRISSIAN

Kapitan i właściciel gwiazdowego statku popatrzył na umieszczone w sklepieniu tunelu wielkie, okrągłe, odporne na duże ciśnienia drzwi, w tej chwili połączone z podbrzuszem „Sokoła” za pośrednictwem giętkiego, składanego harmonijkowo rękawa. Prowadziła do nich metalowa drabinka, która ciągnęła się także przez całą długość owej elastycznej rury. Młodemu hazardziście wydało się dziwne, że nigdzie nie widzi nikogo, kto zajmowałby się gaszeniem pożaru. Jedynymi dźwiękami, jakie dobiegały jego uszu, były normalne odgłosy pracy najrozmaitszych urządzeń i mechanizmów.

Lando pokręcił głową, po czym zaczął się wspinać po szczeblach drabinki.

Wyłonił się z rękawa przez właz, umieszczony w płytach podłogi biegnącego szerokim hakiem korytarza „Sokoła”. Przekonał się, że wszystkie światła na pokładzie płoną trochę słabszym niż zazwyczaj blaskiem. Po jaskrawo oświetlonych pomieszczeniach wnętrza kosmoportu uznał ten fakt - podobnie jak dobrze znany nieporządek, panujący w pomieszczeniu - za coś kojącego nerwy i normalnego. Stwierdził, że wszędzie panuje niemal idealna cisza. Skradał się korytarzem, dopóki nie natrafił na pierwszą końcówkę interkomu, przymocowaną do płaszczyzny jakiejś grodzi.

Starając się nie okazywać zdenerwowania, wcisnął klawisz.

- Vuffi Raai?

- Tak, mistrzu? - odpowiedział pogodny głos. - Jestem na zewnątrz, na powierzchni kadłuba. Kończę instalować nowy reduktor przesuwnika fazy.

- No cóż, ja jestem na pokładzie i próbuję zorientować się, co się dzieje. Czy przypadkiem dzisiejszego wieczora nie gasiłeś tu jakiegoś pożaru?

- Słucham, mistrzu? Ależ skądże! Chyba że chodzi ci o iskry, jakie sypały się w trakcie spawania... ale to działo się podczas topienia metalu w próżni. Nie mogło być mowy o żadnym płomieniu. Dlaczego pytasz?

W umyśle Calrissiana zaczęły się krystalizować najprzeróżniejsze brzydkie podejrzenia.

- Hmm, może to wyda ci się dziwne, ale skąd mam mieć pewność, że to z tobą rozmawiam?

- Mistrzu, czy stało się coś złego? Oczywiście, że nie rozmawiasz z nikim innym. Proszę, podejdź do sterburtowego bąbla działka, abym mógł ci się pokazać.

Istniało prawdopodobieństwo, że i w tym kryje się coś całkiem innego, niż z początku mogło się wydawać. Z nerwami napiętymi jak postronki, Lando wyciągnął paralizator. Skradając się cicho jak duch, wszedł do krótkiego tunelu wiodącego do stanowiska artylerii. Przycisnął plecy do zaokrąglonej metalowej powierzchni i przesunął się pod ścianą dopóty, dopóki nie ujrzał przezroczystej bańki i zainstalowanego w niej czterolufowego działka.

Zobaczył także odległe nagie skały, zalewane jaskrawym blaskiem promieni słońca Oseona.

Kosmoport był kiedyś dnem naturalnego, mającego wiele kilometrów średnicy krateru. „Sokół” spoczywał prawie dokładnie pośrodku tej płaszczyzny. Tu i ówdzie parkowały inne statki, osadzone nad przydzielonymi ich pilotom otworami luków remontowych albo

towarowych. Widać było kilka luksusowych jachtów, towarowych barek i frachtowców, a także jednostek należących do handlarzy, pośredników czy dostawców artykułów żywnościowych. Mniej więcej w połowie odległości między środkiem krateru a skalną ścianą rozpierał się przestarzały, ale całkiem dobrze utrzymany wojenny okręt, sprawiający wrażenie krążownika. No cóż - pomyślał Lando. - Każdy ma swój gust. Mimo iż świeciło słońce, na niebie widać było także o wiele bledsze punkciki gwiazdek. Zapewne chciały w taki sposób chociaż trochę powiększyć natężenie blasku.

Nagle hazardzista zauważył kątem oka, że coś się poruszyło. Natychmiast przykucnął i - nie wypuszczając z dłoni rękojeści miniaturowego pistoletu - wyciągnął przed siebie obie ręce. Wyglądało to, jakby lufa broni rozglądała się za ofiarą, którą mogłaby ukąsić.

O przezroczystą płytę bańki zachrobotała jakaś chromowana macka. Kiedy robot, uwieszony na jednym manipulatorze, opuścił resztę ciała, Lando przekonał się, że spogląda w jego pojedyncze, jarzące się rubinowym blaskiem szklane oko.

Hazardzista przycisnął guzik interkomu, umieszczonego z boku fotela artylerzysty.

- Przepraszam, stary ścinaczu nitów. Wygląda na to, że tego wieczora zachowuję się jak podejrzliwy paranoik. Jakaś troskliwa dusza przeszkodziła mi w grze - chyba nie muszę dodawać, że przynoszącej całkiem niezły dochód - twierdząc, że frachtowiec się pali. Czy w ogóle coś ciekawego wydarzyło się na twoim krańcu wszechświata?

Mimo iż wisiał, mały android wykonał ruch, który mógł być zinterpretowany jedynie jako wzruszenie ramionami.

- Ja tylko tu sprzątałem, mistrzu. Nie działo się nic ciekawego. Nikt nie starał się komunikować ani ze mną, ani z tobą. Nikt mnie nie odwiedzał. Nie widziałem nikogo, kto zbliżałby się do statku na odległość mniejszą niż sto metrów. Nie licząc oczywiście portowych automatów. Czy chcesz, żebym wrócił na pokład i...

- Nie zawracaj sobie tym głowy - przerwał Lando. - Może jeszcze nie jest za późno, żeby wrócić do gry.

Mały robot pomachał na pożegnanie wolną macką.

- Bardzo dobrze, mistrzu. Zobaczymy się w hotelu.

- Dobranoc, Vuffi Raa.

Coś mignęło, jakby na tle tarczy słońca przeleciał nagle jakiś statek, na ułamek sekundy kryjąc w cieniu kadłub „Sokoła Milenium”.

Lando wyszedł z artyleryjskiego bąbla i podążając łukowato wygiętym korytarzem, skierował się prosto do otworu, przez który wydostał się na pokład. Zaczął schodzić po szczeblach metalowej drabiny. Tym razem czynił to o wiele ostrożniej, żeby nie poplamić smarem półoficjalnego munduru. Kiedy stanął na przedostatnim szczeblu, usłyszał za plecami głośny zgrzyt czyichś butów. Odwrócił głowę, pragnąc przekonać się, kto...

ŁUPI!

Na dolnej części jego pleców wylądowało coś twardego i błyskawicznie się przemieszczającego. Lando jęknął z bólu i przerażenia. Rozluźnił uchwyt i spadł na dół pod dziwnym kątem, ścierając sobie twarz o szczeble drabiny.

Dzięki temu uniknął następnego ciosu, który przeciął powietrze nad jego głową i z dzwięcznym hukiem trafił w metalowy szczebel.

Lando runął na twardą powierzchnię z siłą, która wyparła z jego płuc powietrze. Mimo to przetoczył się, równocześnie sięgając pod szeroką szarfę. Zobaczył, że kieruje się ku niemu para ciężkich butów. Nie miał czasu, by popatrzeć na ich właściciela, gdyż ponownie usłyszał świst czegoś ciężkiego, opadającego prosto na jego głowę.

Skierował lufę w górę i wystrzelił.

Z broni wydobył się głośny świst, całkiem podobny do przenikliwego pisku agonii, jaki wydarł się z piersi trafionego napastnika. Narzędzie niedoszłego mordy — cokolwiek to

było - z donośnym brzękiem potoczyło się po twardej, chropowatej posadzce tunelu. Przeciwnik Calrissiana runął na wznak, a cały przód jego kurtki stanął w płomieniach. Powietrze w korytarzu zaczęło się wypełniać przyprawiającym o mdłości swądem tłącej się sztucznej tkaniny.

Z trudem panując nad mięśniami i przytrzymując się metalowych szczebli, Lando wstał. Oczy łzawiły mu od dymu i bólu. Kiedy w końcu stanął prosto, oparł się o dolną część drabiny i nieporadnie wygiął lewą rękę, żeby dotknąć miejsca na plecach, gdzie został trafiony. Doszedł do przekonania, że zawdzięcza życie chyba tylko faktowi, iż siłę uderzenia złagodziły zwitki wygranych banknotów kredytowych, upchnięte po kieszeniach szerokiej szarfy.

Po kilku chwilach pokuśtykał do mężczyzny, który jeszcze niedawno usiłował go zabić. Nie wypuszczał paralizatora z palców prawej ręki, luźno zwisającej wzdłuż uda. Płomienie - rezultat strzału na bardzo niewielką odległość - zdążyły całkowicie zgasnąć. Napastnik leżał nieruchomo.

Nie żył.

Był to jakiś żołnierz. W każdym razie wszystko na to wskazywało. Lando pochylił się i ściągnął elastyczny skórzany hełm z głowy, która nie stawiała oporu. Stwierdził, że spogląda na przedmiot, zazwyczaj zakładany pod ciężki hełm próżniowego skafandra noszonego przez pilotów, którzy muszą się liczyć z koniecznością przebywania przez dłuższy czas w idealnej próżni. Narzędziem, za pomocą którego napastnik usiłował go zabić, okazał się dwumetrowej długości kawał tytanowej rury. Lando nie zauważył nigdzie żadnej innej broni, chociaż spodnie mężczyzny sprawiały wrażenie szczególnie wytartych i zniszczonych w miejscach, gdzie na ogół nosi się pas z kaburą blastera.

Mundur - o ile takim mianem dałoby się określić strój mężczyzny (mogło to sprawiać pewną trudność, jako że Lando nie miał z czym go porównać) - był spłowiwały i połatany. Pasowało to do wyglądu właściciela. Ten zaś był roslym mężczyzną, starzejącym się i posiwiiałym, o twarzy pokrytej gęstą siecią bruzd i zmarszczek. Lando nie znał naszywek znajdujących się na mundurze. Ponieważ liczba cywilizowanych światów sięgała miliona, istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że nigdy ich nie pozna.

Zastanawiał się, co robić.

Gdyby przebywał w dużym mieście, jednym z wielu na powierzchni jakiegoś cywilizowanego świata - postąpiłby najrozsądniej, porzucając trupa niedoszłego włamywacza albo zabójcy w odludnym miejscu. Dałby w taki sposób miejscowym władzom jeszcze jeden ciężki orzech do zgryzienia. W pierwszej chwili to właśnie zamierzał zrobić. Władze przyzwyczały się do takich sytuacji. To przecież one uznawały akt samoobrony za gorszą zbrodnię niż przestępstwo, które go sprowokowało.

Czy jednak, przebywając na Oseonie, także mógł postąpić w ten sposób? Calrissian nie był tego pewien. Nie mógł po prostu zostawić martwego mężczyzny i odlecieć. Trup leżał u stóp drabiny wiodącej na pokład jego statku, a on sam zostawił zbyt wiele śladów wskazujących na niego jako sprawcę - nie wyłączając częściowo rozłożonego paralizatora, którego cały czas nie wypuszczał z palców - żeby mógł sobie na to pozwolić. Znalazł się w naprawdę kłopotliwej sytuacji.

Tym bardziej że niewiele dalej, na korytarzu, zainstalowano końcówkę publicznego komunikatora.

Mimo to Lando zaczął wspinać się po szczeblach drabinki.

Kiedy dotarł na pokład, zobaczył Vuffiego Raa, który skończył pracować na powierzchni kadłuba. Pojedyncze oko małego androida jarzyło się w kiepsko oświetlonym korytarzu niczym koniec zapalonego cygara.

- Mistrzu, co się stało? Słyszałem jakieś krzyki.

- Właśnie zabiłem człowieka, staruszkę - wyznał hazardzista. - Bądź tak dobry i skontaktuj się z Lobem Doluffem. Możliwe, że mam u niego jakieś względy. Podejrzewam, że bardzo nam się teraz przydadzą.

Po czuł, że robi mu się słabo. Usiadł na podłodze korytarza, opierając się plecami o ścianę. Po chwili osunął się na płyty pokładu.

Zdarzyło mu się przebywać w gorszych więzieniach.

Życie hazardzisty, podobnie jak fortuna, czasami toczyło się kołem. Zdarzało się, że inni gracze czuli do niego urazę, zwłaszcza kiedy przegrywali duże sumy. Czasami mogli — i często z tej z możliwości korzystali - zrobić coś, co wykraczało poza reguły gry, w której tracili pieniądze.

Pomieszczenie wyłożono mało gustownymi różnobarwnymi plastikowymi płytkami. Z zainstalowanego w suficie głośnika bezustannie sączyła się monotonna, niezbyt głośna muzyka. Stanowiąca oddzielne pomieszczenie łazienka dawała odrobinę prywatności, pod warunkiem że nie zwracało się uwagi na zawieszone nad umywalką ogromne lustro, z całą pewnością służące komuś z drugiej strony jako okno. W suficie wykuto świetlik - bardzo głęboko wpuszczony i okratowany. Zapewne miał zapobiegać klaustrofobii. Na szczęście nie zniekształcał widoku gwiazd świecących na odległym niebie. Jedno z ceramicznych urządzeń sanitarnych owinięto plastikową taśmą, świadczącą o tym, że zostało ono starannie zdezynfekowane, aby nie zagrażało zdrowiu Calrissiana.

Mimo to młody hazardzista jakoś nie potrafił wzbudzić w sercu należytej wdzięczności. Zatrószczono się nawet o obrażenia, jakie odniósł w wyniku napaści. Nie było ich bardzo wiele: kilka pękniętych, a może tylko wygiętych żeber, parę otarć skóry i siniaków. Taśma, którą go obandażowano, miała odpaść sama po mniej więcej pięćdziesięciu godzinach. Rzecz jasna, skonfiskowali mu wszystkie dokumenty i ubranie. Podobnie jak szeroką szarfę z ukrytymi w niej czterdziestoma siedmioma tysiącami kredytów i miniaturowym pistoletem. W zamian za to wręczyli mu uszytą byle jak z szaroburego materiału piżamę, zaopatrzoną z przodu i z tyłu w numer, napisany w sześciu językach. Dostał także parę pozbawionych pięt miękkich pantofli, których noszenie groziło złamaniem karku.

W celi znajdowała się tylko jedna pryczka, która nie chciała złożyć się i schować w ścianie, kiedy jej rozkazał. Z technicznego punktu widzenia, pomieszczenie przypominało izolatkę. Lando pomyślał, że wcale mu to nie przeszkadza. Znajomości, jakie zawierał przebywając w rozmaitych celach, rzadko wytrzymywały próbę czasu, a w tej chwili i tak nie zamierzał szukać czyjegokolwiek towarzystwa. Nie miał niczego do czytania, niczego do oglądania i niczego do roboty - oprócz rozmyślania. W tym akurat był całkiem dobry.

Lob Doluff osobiście zareagował na sygnał komunikatora.

Starszy Administrator systemu Oseona wyraził zadowolenie z faktu, że nic na pokładzie frachtowca Calrissiana się nie pali. Nie rozumiał jednak, dlaczego komuś mogło zależeć na podnoszeniu fałszywego alarmu. Takie poważne wykroczenia karano na Oseonie bardzo surowo.

- Jednakże — dodał młody hazardzista, kiedy w końcu postanowił przejść do sedna sprawy — pojawiły się niewielkie komplikacje.

- Komplikacje? - powtórzył Lob Doluff. - Jakie, kapitanie Calrissian?

Z tyłu, za plecami mężczyzny, było widać Bassi Vobah, trzymającą w smukłych palcach szklaneczkę z trunkiem. Oboje przebywali nadal pod kopułą, przez którą dało się dostrzec świecące gwiazdy. Młodzieniec zastanawiał się, czy jeszcze towarzyszą im inni gracze - a jeżeli nie, to co dziwnego mogło się dzieć na najwyższych szczeblach aparatu administracyjnej władzy Oseona.

- No cóż, proszę pana - zaczął. - Wygląda na to, że fałszywy alarm został pomyślany jako pułapka. Kiedy przygotowywałem się, by powrócić do gry w sabaka, zostałem

napadnięty. Przez kogoś, kogo nie znam.

Obawiam się, panie Starszy Administratorze, że chyba pozbawiłem go życia.

Brwi otyłego mężczyzny powędrowały ułamek cala w górę. Lob Doluff zbliżył głowę do obiektywu kamery komunikatora.

- Chyba pan nie żartuje, panie kapitanie? Lando westchnął.

- Nie sądzę, żebym mógł pozwolić sobie na żarty z czegoś tak poważnego - odparł. - Tamten zaskoczył mnie i zaatakował kawałkiem rury. Musiałem go zastrzelić.

Starszy Administrator Oseona otworzył szeroko oczy. Tym razem brwi na czole powędrowały tak wysoko, że znalazły się zdumiewająco blisko skrajy łysiny.

- Zastrzelić? Czy nie powiedział pan...

- Niech pan chwilkę zaczeka, panie kapitanie.

Bassi Vobah zbliżyła usta do głowy Starszego Administratora i przez chwilę coś szeptała mu do ucha. Doluff sprawiał wrażenie zakłopotanego i zaintrygowanego, ale później tylko kiwnął głową.

- Kapitanie Calrissian... Lando, drogi chłopcze. Zostań tam, gdzie przebywasz w tej chwili. Wysłałam do ciebie pannę Vobah. Przypuszczam, że w tej sprawie będzie mogła pomóc nam obu. A tymczasem pozostaw wszystko dokładnie w takim samym stanie. Niczego nie poprawiaj ani nie ruszaj. Wydam rozkaz zamknięcia twojego tunelu remontowego. Postaramy się załatwić całą sprawę tak dyskretnie i szybko, jak tylko możliwe.

Następna szeptana narada.

- Racja. A przy okazji: stanie się lepiej, jeżeli ani pannie Vo- bah, ani mnie, nie powiesz na ten temat ani słowa więcej. Rozumiesz, drogi chłopcze, że wykonywane obowiązki zmuszają nas do ujawnienia w trakcie postępowania sądowego wszystkiego, czego się dowiemy. Oboje jesteśmy przecież pracownikami administracji. Rozumiesz to, prawda?

Lando rozumiał. Kiwnął głową i przerwał połączenie, a później, mimo iż wcale nie poczuł się ani odrobinę lepiej, rozparł się wygodnie w fotelu pilota. Docierające z zewnątrz światło gwiazd wydawało mu się dziwnie ostre - nawet jeżeli uwzględnić fakt, iż przebywał na pozbawionej atmosfery asteroidzie. Od czasu do czasu migotało, jakby nad głową przelatywała cała flota gwiazdnych statków. Wszystkie barwy również sprawiały wrażenie zniekształconych, ale akurat to mogło być uzasadnione ponurym nastrojem, w jakim znajdował się obserwator. W końcu Lando odwrócił się do małego androida.

- Posłuchaj, stara krajalnico jarzyn. Wszystko wskazuje na to, że znów wpadłem po same uszy. Widocznie zaczynam się starzeć.

- Nonsens, mistrzu - odparł Vuffi Raa, delikatnie poklepując hazardzistę końcem macki po ramieniu. - Jestem pewien, że cała ta historia zakończy się jak najlepiej. Nie uczyniłbyś tego, co uczyniłeś, gdybyś nie był do tego zmuszony.

Wyciągnął cygaro spod pulpitu kontrolnej konsoli i obciął koniec, a później podał Calrissianowi zapalił, i używając do tego końca jednej macki.

- Nie wiedziałem, że to potrafisz - odezwał się zdziwiony Lando. - Czy przypuszczasz, że ów gość, którego zastrzeliłem, może być jednym z członków grupy, odpowiedzialnej za podłożenie tamtych bomb?

- Muszę przyznać, mistrzu, że taka myśl powstała w mojej głowie. Niestety, nie wiem.

Na kilka chwil zapadła ponura cisza.

Nagle z panelu kontrolnego wydobył się cichy pisk. Calrissian pstryknął dźwignią przełącznika. - Tak?

- Tu Bassi Vobah, Lando. Jestem na dole, u stóp drabiny. Czy mógłbyś zejść i porozmawiać ze mną?

- Za chwilę tam będę. Czy powinienem zabrać szczoteczkę do zębów?

W głosie młodej kobiety zabrzmiało zakłopotanie.

- To może być dobry pomysł.

Lando udzielił androidowi kilku ostatnich wskazówek, a potem odwrócił się i ruszył korytarzem. Ostrożnie zszedł po drabinie, a kiedy znalazł się w podziemiach kosmoportu, stwierdził, że dziewczyna pochyla się i ogląda nieruchome ciało napastnika, nie okazując przy tym żadnych emocji.

Była ubrana w mundur policjantki systemu Oseona.

Kilka godzin później zamknięty w niewielkiej celi Lando raz po raz zwalczał chęć wstania z pryczy i udania się na krótki spacer po pomieszczeniu. Nigdy dobrze nie znosił ograniczenia swobody. Tu, w innym punkcie równika, gdzie urządzono więzienie - nieco bliżej małego miasta, którego środkiem biegła szeroka esplanada - było już dobrze po północy. Mimo to w celi - wzorem chyba wszystkich innych więziennych cel, w których zdarzyło mu się siedzieć - paliło się światło. Co gorsza, znad głowy nie przestawała się sączyć muzyka - tak słodka, że aż lekka. Czując, że w jego sercu narasta sprzeciw i oburzenie, hazardzista uniósł głowę i skierował spojrzenie w górę...

... i został niemal oślepiony przez jaskrawy błysk, jaki pojawił się na mrocznym niebie. W miarę jak oczy przyzwyczajały się do jasności, dostrzegał przecinające niebo różnobarwne wstęgi. Z każdą sekundą coraz dłuższe i świecące intensywniejszym blaskiem, przypominały zmutowane palce, z wolna wyciągające się aż po najdalsze krańce czaszy nieboskłonu.

Mieniły się szkarłatem. Płonęły żółcią. Zieleń i błękit pulsowały jak żywe, raz po raz ustępując miejsca purpurze i fioletowi.

Zerwał się i zaczął wiać słynny Ogniowicher Oseona.

ROZDZIAŁ VII

Żywoć policjantki nie był łatwy ani lekki.

Czasami jest wręcz paskudny - pomyślała Bassi Vobah. Właśnie sporządzała raport na temat zabójstwa, jakiego dopuścił się kapitan i właściciel „Sokoła Milenium”. Że też nie mogło się wydarzyć w innej chwili.

Zerwał się Ogniowicher, a ona musiała zajmować się pisaniem raportu. Z pewnością będzie tego żałowała - może nawet przez resztę życia.

Urodziła się w systemie Oseona i należała do liczного grona osób służących interesom nielicznej grupy. Jej zajęcie - właściwie niczym specjalnym nie różniące się od obowiązków, wykonywanych przez niezliczone rzesze zatrudnionych na asteroidach robotów — miało na celu oszczędzanie przełożonym wszelkich możliwych kłopotów i niedogodności. Dziewczyna nie zdawała sobie sprawy z faktu, że na tym właśnie polegała praca wszystkich funkcjonariuszy policji w całej galaktyce. Odbyla specjalistyczne przeszkolenie, które przygotowało ją do pełnienia tylko takich obowiązków. Nie znalazło się w nim miejsce na nic, co wymagałoby większego wysiłku umysłowego czy chociaż spoglądania na sprawy pod innym, nieco szerszym kątem.

Jej rodzicom powodziło się chyba jeszcze gorzej. Oboje byli wędrownymi handlarzami. Zanim mogli rozpocząć wykonywanie zawodu, musieli zdać dziesiątki egzaminów, w trakcie których badano ich przeszłość i intencje, a także poglądy i cele. Mimo to nie odnieśli sukcesu. Skończyło się na tym, że dziewczyna, pragnąc pomóc im wybrnąć z trudnej sytuacji finansowej, musiała rozejrzeć się za jakimś zajęciem. Kiedy później przestało to być konieczne, nie umiała wyobrazić sobie życia bez dalszej pracy. Nie mogłaby jednak powiedzieć, że to, czym się zajmowała, sprawiało jej jakąkolwiek satysfakcję.

Jedyną rozrywką Bassi Vobah, na którą cieszyła się i czekała, a zarazem jedynymi

wakacjami, na jakie pozwalała sobie każdego roku, była pora Ogniwichru. Widowiskowa i śmiertelnie niebezpieczna. W idealnej próżni pojawiały się jaskrawe, wielobarwne wstęgi zjonizowanych gazów. Każda ciągnęła się co najmniej tysiąc kilometrów. Łączyły albo dzieliły asteroidy, wskutek czego pomiędzy skalnymi okruchami przekakiwały fantastyczne błyskawice. Wszystkie siedem pasów, tworzących system Oseona, jarzyło się, fluoryzowało i pulsowało oszałamiającym blaskiem.

Nawigacja w przestworzach była zakłócana, a czasami wręcz uniemożliwiana przez promieniowanie, statyczne ładunki elektryczne i wirujące, kłębiące się obłoki różnobarwnych lotnych substancji. Zmieniały się dobrze znane punkty obserwacyjne, co doprowadzało do szału tak ludzi, jak przyrządy. Cały międzyasteroidalny handel zamierał na mocy prawa i pozostawał w takim stanie przez całe trzy tygodnie - głównie po to, by uchronić przed niemal pewną śmiercią wszystkich śmiałków, którzy nie bacząc na niebezpieczeństwa, chcieliby wyruszyć na wyprawę. Ulewa smagających niemal cały system zjonizowanych cząstek była tylko jednym z powodów mogących przyczynić się do wypadku, a nawet katastrofy. Na skutek oddziaływania strug rozpędzonych, zawodzących elektronów, jakakolwiek łączność - czy to pomiędzy wchodzącymi w skład systemu asteroidami, czy też z pozostałą częścią galaktyki - stawała się fizycznie niemożliwa.

Podczas Ogniwichru nikt nigdzie się nie wybierał.

Co więcej, po asteroidach krążyły fantastyczne historie o cudach i dziwach, których nie dałoby się potwierdzić na gruncie nauki. Opowiadania takie słyszało się co roku właśnie w porze Ogniwichru. Dotyczyły zagadkowego zniknięcia takiego czy innego gwiazdowego statku z ludźmi na pokładzie, pojawienia się niesamowitych potworów czy też wystąpienia zjawisk najdziwniejszej, najstraszliwszej i najbardziej podatnej na rodzenie się plotek natury.

Pomimo to - a może właśnie dlatego - tuż przed wszystkimi tymi kataklizmowymi wydarzeniami do systemu Oseona przybywały liczne rzesze turystów. Przylatywały, aby wziąć udział w czymś w rodzaju karnawału, wypełnionego niekończącymi się publicznymi i prywatnymi zabawami, tańcami i rozrywkami. Tysiące najrozmaitszych inteligentnych istot, które przybyły z wielu cywilizowanych światów, bawiły się, weseliły i śpiewały, jakby pragnęły chociaż w takim stopniu urozmaicić nudne, monotonne życie małomiasteczkowej dziewczyny.

Takiej jak Bassi Vobah.

Tak bardzo się cieszyła na myśl o tym, że już wkrótce ponownie przeżyje radosne chwile. A teraz coś takiego. Pomijając sam fakt aresztowania i doprowadzenia podejrzanego do więzienia, musiała wystukać na klawiaturze dziesiątki niezbędnych dokumentów, a następnie powielić wszystkie w nieskończonej - jak jej się wydawało - liczbie egzemplarzy. Tymczasem ów Lando Calrissian, który nawet nie zadał sobie trudu wypełnienia ani złożenia wniosku o przyznanie wizy, a nawet nie kiwnął palcem, żeby zająć się uczciwą pracą, do tej pory wygrał od lepszych od siebie (i od niej) co najmniej sto siedemdziesiąt trzy tysiące kredytów.

Rzecz jasna, wszystkie skonfiskowano. Posłużą teraz na pokrycie administracyjnych kosztów, jakie poniesie system Oseona w związku z aresztowaniem, przesłuchaniem i postępowaniem sądowym. I to bez względu na to, czy młody hazardzista zostanie uznany za winnego, czy też nie.

Tyle pieniędzy wystarczyłoby na wyżywienie i utrzymanie przez cały rok co najmniej pięćdziesięciu rodzin podobnych do tej, z której pochodziła Bassi Vobah. To po prostu nieprzyzwoite, żeby jakiś osobnik zarobił tyle pieniędzy bez najmniejszego trudu. Młoda kobieta pomyślała, że przynajmniej od czasu do czasu sprawiedliwość wyciąga długą rękę, by ukarać tego czy owego złoczyńcę. Uświadamiała sobie, że właśnie ta sytuacja

jest jedną z niewielu, dzięki którym praca przynosi jej trochę satysfakcji.

Bassi Vobah pomyślała także o zniszczonym i pokiereszowanym przemysłowym statku, który ów łajdak miał czelność nazywać frachtowcem. Jednostka miała wartość piętnastu albo dwudziestu tysięcy kredytów. Jeżeli udałoby się wymyślić jakieś inne uzasadnione koszty czy opłaty, można byłoby je pokryć z tego, co uzyska się z licytacji statku. Dochodził do tego jeszcze pilot - naprawczy android. Był wart o wiele więcej niż sam statek i z pewnością wzbudzi większe zainteresowanie pośród kupców i mieszkańców Oseona. Bassi Vobah wyceniła go na pięćdziesiąt tysięcy kredytów.

Przedmioty osobistego użytku i drobiazgi raczej nie miały żadnej wartości. Aha, pozostawała jeszcze broń, czyli narzędzie zbrodni. Nie - pomyślała - nie mogą określać jej takim mianem. Jeszcze nie. A zatem, skonfiskowany paralizator. Stanie się bardzo miłym eksponatem w „muzeum”, istniejącym na terenie jej niewielkiego posterunku. Prawdę mówiąc, w społeczności tak zadowolonych z siebie i pławiących się w luksusie ludzi, jak ci, którym służyła, rzadko miała do czynienia z zabójstwami. Sprawa, jaką zajmowała się teraz, z pewnością stanie się tematem jednej z najciekawszych i długo jeszcze opowydanych historii.

Miała jednak wrażenie, że wszystko to nie kompensuje jej kłopotów przysparzanych przez Calrissiana. Bardzo chciałaby, żeby został uznany za winnego i skazany. To właśnie on był sprawcą - chociaż nie bezpośrednim - wszystkich niedogodności, jakich doznawała. Miała nawet na ten temat niewielką sprzeczkę z przełożonym, Lobem Doluffem. Starszy Administrator Oseona przekonał ją jednak twierdząc, że ktoś wywiera na niego bliżej nie określony nacisk. Kobieta odnosiła wrażenie, że jakaś część tego nacisku przenosi się na jej barki. Pomyślała, że Calrissian zapłaci jej i za to.

Zerwał się Ogniowicher Oseona. Wiał, a ona musiała zajmować się takimi głupstwami. Będzie tego żałowała.

Vuffi Raa spacerował zataczającym łagodny łuk głównym korytarzem „Sokoła Milenium”. Sprawił wrażenie okropnie nieszczęśliwego. Widniejący w podłodze otwór, przez który schodziło się do podziemnego tunelu 17-W, zastał nie tylko zamknięty, ale nawet opieczętowany. Napis na ogromnej pieczęci głosił, że frachtowiec został zarekwirowany przez miejscowe władze. Mały robot tylko z najwyższym trudem zdołał przekonać funkcjonariusza, by nie wypisywał na jego pięciobocznym torsie informacji, że Vuffi Raa również ma nowego właściciela. Nie pozwolił także, by go zabrano i zamknięto w jakimś magazynie.

Kiedy rozmawiał z policjantem, dyskretnie przemilczał fakt, że może się poszczycić wieloma innymi dodatkowymi umiejętnościami. Uświadomił mu natomiast, że jest pilotem, nawigatorem i automatem naprawczym, w związku z czym powinien być traktowany jak bardzo ważna część samego statku. W rezultacie musiał się zgodzić na przymocowanie do torsu sworznia ogranicznika - niewielkiego, figlarnego elektronicznego urządzenia, które miało zadawać systemowi nerwowemu straszliwy ból, gdyby mały android usiłował opuścić pokład „Sokoła”.

Na unieszkodliwienie owego urządzenia poświęcił całe trzydzieści sekund, ale uczynił to dopiero po odejściu funkcjonariusza. Rozwaga nakazywała mu jednak podporządkowanie się zakazowi - przynajmniej do czasu, aż wymyśli coś, co mogłoby przynieść korzyść i jemu, i jego właścicielowi.

Na niebie zwijały się i skręcały ogromne płachty różnobarwnych gazów, co kilka minut przecinane sztychami krzaczastych oślepiających błyskawic. Ogniowicher wiał zaledwie od kilku godzin, a mimo to większość widzów była zachwycona i oszołomiona.

Vuffi Raa nawet nie zwrócił uwagi na to, co działo się na niebie.

Przypominał sobie, iż Lando proponował mu co najmniej sto razy, że załatwi wszystkie

formalności, aby obdarzyć go wolnością. Z jakiegoś dziwnego powodu młody hazardzista czuł się zakłopotany i skrępowany faktem posiadania na własność innej inteligentnej istoty, choćby miał to być automat. Nie chcąc rozstawać się ze swoim żądnym przygód właścicielem, Vuffi Raa zawsze odrzucał te propozycje. Teraz zastanawiał się - przez bardzo krótką chwilę- czy nie zrobiłby lepiej, gdyby z nich skorzystał. Może będąc wolnym miałby większe szanse poradzenia sobie w takiej sytuacji.

Pozostawało jednakże wielką niewiadomą, co uczyniłby, gdyby mógł uważać się za wyzwolenca.

Jako przedmiot stanowiący czyjaś własność, android nie był informowany o tym, jaki los czeka Landa, „Sokoła” i jego samego. Mimo to, mając bardzo długie doświadczenie w kontaktach z istotami ludzkimi, robot mógł trafnie przewidzieć ów los. Doszedł do przekonania, że powinien zrobić coś, co zapobiegłoby dalszemu rozwojowi sytuacji. Liczył na to, że dojdzie do zawarcia jakiegoś układu, który pozwoli im odlecieć przynajmniej w takim stanie, w jakim przylecieli.

Vuffi Raa nie miał jednak dużego doświadczenia w zawieraniu układów.

Niebo wysoko nad kadłubem statku mieniło się nie tylko siedmioma barwami tęczy, ale także wszystkimi innymi, wynikającymi z ich połączenia. Vuffi Raa potrafił rozróżniać ponad sto kolorów podstawowych, od najgłębszej podczerwieni do najdalszego nadfioletu. Nie trzeba dodawać, że liczba możliwych permutacji i kombinacji rosła w iście astronomicznym, wykładniczym tempie.

Mimo to nie zwracał uwagi na urok scen rozgrywających się nad jego głową. I to bynajmniej nie z powodu braku wrażliwości na piękno.

Vuffi Raa musiał przyznać przed samym sobą, że lubi Landa Calrissiana. Mały android miał zwodniczy wygląd. Zawsze sprawiał wrażenie fabrycznie nowego, a ponieważ był zaledwie metrowego wzrostu, ludzie zazwyczaj nie mieli o nim wysokiego mniemania. Tymczasem konstruktorzy obdarzyli go błyskotliwą inteligencją. Miało to miejsce przed wieloma setkami lat - tak dawno, że nawet sobie tego nie przypominał.

Wydawało mu się, że tę lukę w pamięci spowodował atak piratów na frachtowiec, którym leciał, zamknięty w pudle i umieszczony w jakimś okratowanym pojemniku. Z tamtego okresu pamiętał tylko krzyki, wrzaski i drażniące słuch zgrzyty. I jęki rozdzieranych płyt poszycia napadniętego statku. Nie powinien zostać aktywowany przed przybyciem na miejsce przeznaczenia. Przedwczesne przebudzenie, które zawdzięczał mechanizmowi samoobrony, nie pozostało bez wpływu na jego dalsze życie. Vuffi Raa nie pamiętał niczego, co wiązało się z najwcześniejszym okresem istnienia. Żywił tylko niejasne i niczym nie uzasadnione podejrzenie, że istoty inteligentnej rasy, która go skonstruowała, wyglądały w przybliżeniu tak samo jak on.

Od tamtego czasu, mimo iż setki razy zmieniał właścicieli, poznał tysiące innych inteligentnych istot i odwiedził setki tysięcy gwiazdnych systemów, nigdy nie polubił ludzi. Nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego dopiero Lando Calrissian wywarł na nim wrażenie; faktem było, że wywarł. Mały android najbardziej cenił sobie to, że obaj śmiali się i żartowali z tych samych rzeczy. Umiejętność odłączania macek (z którą Vuffi Raa zdradził się stosunkowo niedawno) stała się dla Landa tematem niezbyt częstych, ale wyrafinowanych i niewinnych żartów. Obaj związali się z sobą na dobre i złe, co dotyczyło także spraw finansowych. Kiedy powodziło im się nieźle, Lando zazwyczaj dzielił niewielkie wygrane w taki sposób, aby wystarczyło i na jedzenie dla niego, i na elektroniczne drobiazgi, niezbędne do prawidłowego funkcjonowania androida.

Teraz zaś przygnębiony Vuffi Raa nie mógł zrobić nic, żeby pomóc swojemu panu.

Na niebie splotały się i rozplatały warkocze czerwone jak maliny, żółte jak cytryny i pomarańczowe jak pomarańcze. Przesłaniały gwiazdozbiór, który mieszkańcy Oseona

Sześć Tysięcy Osiemset Czterdzieści Pięć przyzwyczaili się nazywać Głupim Królikiem. Chyba nie mogła istnieć żadna inteligentna istota, którą obchodziłoby to mniej niż Vuffiego Raa.

Rokur Gepta unosił się w absolutnych ciemnościach, które nawet w połowie nie dorównywały mrokom podstępnych planów, jakie knuł w głębi duszy.

Przebywał głęboko pod powierzchnią asteroidy, gdzie niknęły nawet ostatnie ślady mizernej siły ciężenia. Wisiał nieruchomo w powietrzu, pośrodku sztucznie wydrążonej pieczary, pozbawiony wszelkich doznań zmysłowych i irytacji, wywoływanych koniecznością liczenia się z niekompetencją albo ignorancją podwładnych. Po prostu istniał, uwolniony od nieustannego zgiełku codziennego życia.

Na szczęście wszystko toczyło się zgodnie z uprzednio ułożonymi planami. „Wennis” unosił się w przestworzach w pewnej odległości od asteroidy, a załoga zajmowała się wykonywaniem niekończących się ćwiczeń i manewrów. Owe ćwiczenia nie miały na celu osiągnięcia większej gotowości czy sprawności, gdyż mimo wszystko, członkowie załogi należeli do najlepszych spośród najlepszych. Chodziło o to, żeby uniemożliwić im wpadnięcie w tarapaty, w jakich z pewnością by się znaleźli, ponieważ nie umieli zapanować nad emocjami i odruchami. Uśmiechając się do własnych myśli, Gepta doszedł do przekonania, że przypadek ma zwyczaj sprzyjać tym, którzy są odpowiednio przygotowani. Oto szczęśliwy zbieg okoliczności rzucił jego wroga, Landa Calrissiana, w ręce oseńskiego wymiaru sprawiedliwości. Ponieważ o tym wymiarze decydowały władze, a on był tym, kim był, Calrissian pokonał trzy czwarte drogi wiodącej prosto w ręce czarownika.

Ręce te staną się złe i okrutne, kiedy wpadnie w nie dawno oczekiwana ofiara.

Zasłużył na to. Kto uniemożliwił czarownikowi zdobycie i posłużenie się Myśloharfą Sharów - przyrządem, zapewniającym całkowitą kontrolę nad umysłami innych istot inteligentnych? Lando Calrissian. Kto był właśnie w tej chwili właścicielem przastarego, tajemniczego robota, stanowiącego klucz do rozwiązania setek innych dręczących tajemnic, i będącego źródłem nieograniczonej władzy? Lando Calrissian. Kto unikał wpadania w pułapkę za pułapką, nie wyłączając tej, jaką zastawił na Diloneksie Dwadzieścia Trzy, a także ładunków wybuchowych, przytwardzonych do kadłuba „Sokoła Milenium”? Lando Calrissian.

Jakże nienawidził dźwięku tego imienia i nazwiska! Kiedy dostanie hazardzistę w swoje ręce, będzie go męczył i dręczył, i zadawał ból, aż ofiara wyjawí mu źródło nieprawdopodobnego szczęścia albo innych tajemnych mocy, którymi się posługiwała! Jakże pragnąłby zdusić, zgnieść to życie — powoli, bardzo powoli - aż wycieknie do ostatniej kropli z wątłego ciała Calrissiana. Najpierw jednak udręczy jego umysł (ale nie na tyle, żeby jego właściciel nie mógł należycie nacieszyć się ostatnimi chwilami).

Gepta zaczął rozmyślać o wcześniejszych, szczęśliwych chwilach swojego życia - o pierwszych latach, jakie spędził jako uczeń pośród przastarych czarowników Tundów. Pamiętał, jak okłamywał i trzęsących się ze starości głupców, zarazem kradnąc ich ezoteryczną tajemną wiedzę. Robił wszystko, co mógł, żeby odnosił wrażenie, iż jest tylko młodym praktykantem. W rzeczywistości był - nawet przed tymi wieloma tysiącami lat, kiedy to się działo - znacznie starszy niż najbardziej sędziwi spośród wszystkich czarowników. A przecież jego dawni mistrzowie doskonale wiedzieli, co robić, by przedłużyć życie!

A, tak. Cała galaktyka wciąż jeszcze łudziła się i wierzyła, że gdzieś w przestworzach kryje się planeta Tundów, kolebka tajemniczego zakonu czarowników. Jedynie Gepta wiedział, że w rzeczywistości ów dawno zaginiony, tajemniczy świat przypomina sterylną kulę. Po czarownikach nie pozostała ani jedna kostka, ani chrząstka. Te myśli — wspomnienia

tego, co uczynił owego ostatniego dnia - napełniały go niekłamanym zachwytem i satysfakcją.

Kiedys tak samo postąpi z całym wszechświatem!

Na razie jednak wszechświat nie był dosyć duży dla Rokura Gepty i Landa Calrissiana. Lando Calrissian bardzo szybko się o tym przekona.

Powoli, bardzo ostrożnie, czarownik przenicował własne ciało. Wywrócił je na drugą stronę wzdłuż osi, jaką stanowił układ trawienny. Często tak postępował, ilekroć oddawał się odprężającym medytacjom. Po chwili znów miał tylko trochę mniej odrażającą postać niż ta, jaką przyjmował jeszcze przed kilkoma sekundami. W tej poprzedniej żadna istota ludzka jeszcze nigdy go nie widziała i nigdy nie zobaczy. Nikt nie dowie się, jak straszny jest to widok. Gepta odprężył niezliczone wypustki. Rozprostował je na całą długość, a później pozwolił, by się skurczyły i przybrały na nowo kształt odzianego w ciemnoszary strój czarownika. Czarownika, obdarzonego ludzkim ciałem; w każdym razie wszyscy tak sądzili.

Wzywając na pomoc siły, o których wszechświat nic nie wiedział, zaczął opadać powoli, jakby z namysłem, w kierunku dna jaskini. Miał do wykonania pewną pracę i pragnął zabrać się do niej jak najszybciej.

Ach, tak... Przedtem musiał jeszcze nakarmić ulubieńca.

Klyn Shanga dobrze wiedział, jak ukrywać smutek. Pomyślał, że każdy następny rok sprawia wrażenie trudniejszego i smutniejszego niż poprzedni. A teraz dowiedział się, że pułkownik Kenow, stary i wierny przyjaciel, nie żył. Został zabity i zniknął z jego życia. Na wieki.

Kiedy obaj byli jeszcze dziećmi, walczyli ramię w ramię w czasie bitwy o Rood. Ktoś inny mógłby uznać ją za nic nie znaczącą potyczkę - jedną z wielu, toczonych podczas straszliwej wojny - ale dla Shangi i Kenowa było to przełomowe wydarzenie, które skierowało obu na nową ścieżkę życia. Przeżyli, zmęźnieli i okrzepli, a zdobyte doświadczenie sprawiło, że przemienili się ze smarkatych wieśniaków w prawdziwych żołnierzy.

I stali się przyjaciółmi.

A teraz pułkownik Kenow nie żył.

Najgorsza ze wszystkiego była świadomość, iż zginął bezsensowną śmiercią. Zawdzięczał ją własnej zapalczywości i popędliwości, o jakie Shanga nigdy nie podejrzewałby człowieka tak doświadczonego i mądrego jak Kenow. Surowe prawa, ustanowione przez zamieszkujących system Oseona bogaczy, zmusiły weterana wielu bitew do rezygnacji z ulubionej broni, którą tak zręcznie umiał i lubił się posługiwać, i posłużenia się toporną metalową rurą.

W wyniku tego został zastrzelony nie przez mieszkańca asteroidy, ale przez obcego. Co prawda, ów nieznajomy miał jakieś porachunki z wrogiem, a zatem nie mógł być uznany za osobę, nie mającą związku z całą sprawą. Jaka szkoda, że Kenow nie posłuchał...

Przestworza przecięła następna ognista błyskawica, wskutek czego dziwaczny syk, zachowywany dotąd przez myśliwce, uległ nieznaczącej zmianie. Pozostawanie w takiej samej odległości od najbliższej asteroidy stawało się z każdą minutą coraz trudniejsze. Klyn Shanga nie widział niemal niczego, mimo iż od najdalszego myśliwca nielicznej floty oddalała go odległość kilkuset metrów. W przestworzach wiły się niczym pasma dymu i kłębiły chmury świecących gazów. Wskazówki czujników natężenia promieniowania sunęły nieubłaganie w stronę krańców podziałek... i to pomimo faktu, że wisieli w przestworzach, osłaniani przez miliony ton tworzących asteroidę litej skały. Nikt nie wiedział, ile jeszcze czasu zdolają przeżyć w takiej sytuacji...

No cóż, w końcu to i tak nie miało znaczenia. Jak zawsze, gigantyczna jednostka napędowa rytmicznie i spokojnie pulsowała, a kable łączące ją z myśliwcami sprawiały

wrażenie niezawodnych. Klyn Shanga pomyślał, że teraz, kiedy pośród nich nie było już Kenowa, będzie musiał dokonać korekty szyku... ale z tym nie będzie najmniejszych kłopotów. Ważne, aby wszyscy wytrzymali tak długo, aż wyprawa zakończy się całkowitym powodzeniem. Kogóż obejdzie, jeżeli później ulegną niszczycielskiej sile Ogniowichru? Komu sprawi różnicę, jeżeli jego skóra odpadnie płatami od ciała, a pozostali członkowie grupy stracą włosy i wymiotując, skonają w straszliwych męczarniach? Będzie się liczyło tylko to, co zrobili i co osiągnęli, a strata życia zostanie uznana za usprawiedliwiony środek, wiodący do chlubnego celu.

Klyn Shanga, podobnie jak pozostali członkowie jego grupy, potrafił ukrywać żal i cierpliwie czekać, aż nadarzy się okazja. Strumienie zjonizowanych cząstek wokół nich uniemożliwiały nawet porozumiewanie się za pomocą systemu sieci przewodowych, łączących maszyny z jednostką napędową. Grube kable zachowywały się jak anteny. Zbierały nieprawdopodobnie bogactwo szumów, trzasków, jęków i zakłóceń - szarpających nerwy i drażniących słuch, a także osłabiających zdecydowanie i wolę walki. Wszystko razem sprawiało wrażenie, jak gdyby raz do roku zlatywały do systemu Oseona duchy zmarłych z całego wszechświata, żeby złączyć swoje głosy w piekielnym, mrozącym krew w żyłach zawodzeniu.

A teraz do chóru przyłączył się głos jeszcze jednej osoby... starego i wypróbowanego przyjaciela Klyna Shang, pułkownika Kenowa.

No cóż - pomyślał Shanga. - Już niedługo dołączą do niego inne głosy. Podejrzał, że nawet on stanie się jednym z upiornych śpiewaków.

Chyba nie istniał człowiek bardziej nieszczęśliwy i niezadowolony z trwającego karnawału niż Lob Doluff. Towarzyszące Ogniowichrowi festyny, zabawy i bankiety przyprawiały go o potworny, niepotrzebny ból głowy. Starszy Administrator systemu Oseona nigdy nie polubił pory Ogniowichru. Nigdy też nie potrafił zrozumieć, dlaczego inni tak się nią zachwycaли.

Lob Doluff był daltonistą.

A ponadto - w tej chwili - człowiekiem śmiertelnie przerażonym. Odziany w przewiewny nieformalny strój bez nakrycia głowy, stał pośrodku działki, będącej odosobnioną częścią ogrodu. Mimo iż zajmując pół hektara powierzchni przestrzeń pokrywała gruba warstwa śniegu, a otyły mężczyzna miał odsłonięte ręce, czuł wyraźnie, iż dłonie są mokre od potu.

Wada wzroku Starszego Administratora nie umożliwiała mu odczuwania radości z widoku rozwijających się i kwitnących roślin - chociaż możliwe, że powody, dla których je posadził i pielęgnował, różniły się trochę od tych, jakimi mogli kierować się inni ludzie. Mężczyzna uwielbiał aromat, jaki wydzielaly. Podziwiał ich upór i wytrwałość. Każdy, chociażby najmniejszy chwast, który przebił ferrobetonową nawierzchnię, traktował jak zjawisko graniczące z cudem. W tej części ogrodu, gdzie maleńkie, niemal mikroskopijne kwiatki wynurzały odważne główki spod warstwy śniegu i lodu, mógł obcować z czymś niepojętym, niemal nadprzyrodzonym.

Mimo to nie odczuwał ani odrobiny radości. Przyszedł tu, ponieważ stanął przed pewnym dylematem.

W przeciwieństwie do swojej podwładnej Bassi Vobah, należał do nielicznego grona osób, służących interesom małej grupy. Mimo to - co było czymś niezwykłym - starał się, jak mógł równie sumiennie wypełniać obowiązki także względem całej reszty. Jak niemal wszyscy inni mieszkańcy systemu Oseona, był człowiekiem zamożnym, a został Starszym Administratorem, ponieważ pragnął służyć interesom całej społeczności. Możliwe też, że usiłując rządzić niezliczonymi milionami tworzących system skalnych brył, okruchów i asteroid, którymi - prawdę mówiąc - władać się nie dawało, odczuwał

coś w rodzaju dумы. Dbał o to, żeby w systemie panował pokój. Zapewniał mieszkańcom bezpieczeństwo i porządek. Starał się zaspokajać ich najbardziej elementarne potrzeby życiowe. Co więcej, pełnił funkcję bufora, oddzielającego mieszkańców Oseona od reszty galaktyki, która próbowała ich niepokoić z powodu nieprzebranych skarbów, legendarnej sławy czy wreszcie opinii przestępców, jaką się cieszyli.

Ze wszystkich obowiązków wywiązywał się dotąd bez zarzutu. Fakt zaś, iż należał do grupy osób bardzo zamożnych, pozwalał mu na zachowanie pewnej niezależności i swobody, na jakie nie mogli pozwolić sobie przeciętni funkcjonariusze. Zapewne nie odważyłby się oświadczyć swoim zwierzchnikom, żeby wynieśli się do samego Jądra galaktyki, ale myślał o tym częściej niż jakikolwiek inny urzędnik państwowy. Prawdę mówiąc, niejednokrotnie wysyłał tam najróżniejszych przedstawicieli owych zwierzchników, kiedy zbyt często go niepokoił.

Niestety, tym razem nie mógł pozwolić sobie na takie wyjście z sytuacji. Wywierano na niego nacisk — o wiele, wiele większy niż mógłby sobie wyobrazić - aby zdradził wiele spośród ideałów, jakimi zawsze kierował się w postępowaniu. Gdyby się ugiął, istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że nikt o niczym się nie dowie. Lob Doluff uważał jednak, iż fakt, że on sam będzie o tym wiedział, pozbawi go prawie całej satysfakcji, jaką dawały mu praca i życie.

Z drugiej strony, gdyby nie przyjął przedstawionej propozycji, istniało równie duże prawdopodobieństwo, że straci pracę, majątek i dobre imię, a w przypadku gdyby postanowił podjąć walkę i opierał się do samego końca - nawet życie. Co więcej, ucierpiałoby przy tym wielu innych ludzi. To, czego się od niego domagano, było czymś nieetycznym i ohydny. Lob Doluff nigdy nie sądził, że coś takiego może się wydarzyć w cywilizowanym wszechświecie.

Teraz musiał zmienić zdanie.

Odwrocił się i przestał spoglądać na przebijające warstwę śniegu rośliny, sprowadzone z setek najróżniejszych światów. Nawet nie uświadamiał sobie faktu, że przez cały czas nie odrywał spojrzenia od mikroskopijnych, różnobarwnych kwiatów. Przeszedł przez niewidoczną powietrzną barierę do tej części kopuły, gdzie panował klimat subtropikalny. Niemal podbiegł do kikuta pnia drzewa, po czym uniósł górną część, pod którą krył się komunikator. Sięgnął do urządzenia, włączył i uniósł mikrofon.

- Mówi Starszy Administrator - zaczął, kiedy uzyskał połączenie z żądanym numerem wewnętrznym. - Za godzinę proszę przyprowadzić do mojego gabinetu tego więźnia, Landa Calrissiana.

Czuł, że jego dłonie na nowo pokrywają się warstewką potu. Jeszcze nigdy nie posyłał nikogo na pewną śmierć.

ROZDZIAŁ VIII

Miał dwa i pół metra wzrostu, pomarańczowy dziób i pokryte łuskami trójpalczaste stopy. Był porośnięty jaskrawożółtymi piórami i mówił piskliwym, kobiecym falsetem, mimo iż wszystkie szczegóły anatomicznej budowy ciała niezbicie dowodziły, że jest osobnikiem płci męskiej. Aha, i reagował, kiedy mówiło się do niego Waywa Fybot.

Poza tym pełnił obowiązki agenta, zwalczającego handel narkotykami.

Lando nie miał o tym wszystkim pojęcia, kiedy para policyjnych robotów, polakierowanych na taki sam kolor, jaki miał mundur Bassi Vobah, wyciągała go z przytulnej celi i wlokła więziennym korytarzem, żeby postawić przed obliczem Starszego Administratora.

- Kapitanie Calrissian, cięży na tobie zarzut posiadania śmiercionośnej broni - odezwał

się Lob Doluff, kiedy Lando w końcu trafił do jego gabinetu. - A zwyczajową karą za takie przestępstwo, o ile zostaniesz uznany za winnego, jest śmierć przez wystawienie.

Mówiąc to, otyły mężczyzna nie przestawał spacerować przed ogromnym oknem, zajmującym całą wysokość ściany, od podłogi do sufitu. Za przezroczystą płytą szalał, malując nieboskłon jaskrawymi kolorami, Ogniwicher Oseona. Większości efektów wizualnych nie dało się zauważyć, głównie z uwagi na wiszące rośliny, które przekształcały gigantyczną taflę w napowietrzny ogród botaniczny, mieniający się wszystkimi odcieniami zieleni. Pozostałe rośliny, jakimi upiękuszono gabinet Starszego Administratora, zasadzono w donicach, ustawionych w różnych miejscach pokoju, a także w wąskich skrzynkach i akwariach. Niektóre, utrzymując się za pomocą ażurowych półprzezroczystych skrzydeł, unosiły się w powietrzu. W pewnej chwili, kiedy jedna taka fruująca roślina przeleciała tuż obok jego głowy, hazardzista poczuł delikatny podmuch powietrza. Miał wrażenie, że o jego policzek otarł się jakiś listek.

Lob Doluff nie miał w gabinecie ani jednego biurka. Po prostu ich nie potrzebował. Miał natomiast ustawiony w jakiejś niszy komunikator, wyposażony w przepisowy monitor i klawiaturę, a w przylegającej do gabinetu poczekalni czekała para gotowych wejść na każde zawołanie sekretarek. Miał także kilka wygodnych krzeseł, ale żadnego nie podsunął Calrissianowi ani nie poprosił go, żeby usiadł. Oprócz mężczyzny w gabinecie przebywała gigantyczna, podobna do ptaka istota, w pobliżu której nawet nie śmiała zapuścić się żadna z latających roślin.

I Bassi Vobah, stojąca z ponurym wyrazem twarzy - sztywno, jakby kij połknęła. Nie trzeba chyba dodawać, że uzbrojona po zęby.

Lando opuścił ręce i przesuwając je wzdłuż nogawek, usiłował ukryć dłonie w kieszeniach. Kiedy przekonał się, że w spodniach żadnych nie zrobiono, zaplótł ręce na torsie. Popatrzył na Bassi, a potem na Starszego Administratora. Następnie spoglądał przez chwilę na tkwiące w kącie gabinetu dziwne stworzenie, a jeszcze później znów przeniósł spojrzenie na oboje ludzi.

- Rozumiem — odezwał się po dłuższej chwili. - A zatem nie oskarżacie mnie o popełnienie morderstwa.

Bassi Vobah kiwnęła głową.

- To i tak nie miałyby żadnego znaczenia. Po pierwsze, istnieje mnóstwo dowodów na to, że zabiłeś go, działając w obronie własnej. Po drugie, nie dysponujemy żadnymi dokumentami, które dowodziłyby, że zabity osobnik dostał się legalnie na naszą asteroidę. Oznacza to, przynajmniej z prawnego punktu widzenia, że nie istnieje i nigdy nie istniał.

Lando pokręcił głową.

- Ładne macie tu porządki - zauważył. - Dlaczego uważacie samo posiadanie broni za przestępstwo, zagrożone karą śmierci? Co mam zrobić, aby uznano mnie za niewinnego? Domyślam się, że nie Wezwalibyście mnie tu, gdybyście nie chcieli zaproponować mi innego paskudnego rozwiązania zamiast wypchnięcia ze służby.

Młody hazardzista znajdował się w podobnej sytuacji już niejednokrotnie. Pomyślał, że to dziwne, jak często ludzie związani z takim czy innym rządem musieli uciekać się do pomocy innych osób, nie mających z tą władzą nic wspólnego, i prosić o wykonanie całej brudnej roboty. Domyślał się, że to, o co zostanie poproszony, nie znajdzie się na liście oficjalnych zajęć.

Usłyszawszy odpowiedź Calrissiana, Bassi Vobah zeszytniała. Chyba tylko stalowym nerwom i rygorystycznemu szkoleniu zawdzięczała, że jej dłoń nie powędrowała do gigantycznego wojskowego blastera, częściowo ukrytego w wiszącej na biodrze kaburze.

W przeciwieństwie do niej Lob Doluff sprawiał wrażenie wyraźnie odprężonego. Zwrócił się do ogromnego ptaka i kiwnął głową, a później przedstawił istotę Calrissianowi. Waywa Fybot zamachał krótkimi rękami, jakby właśnie w ten sposób pragnął się przywitać, ale potem nastroszył pióra i nie odezwał się ani słowem.

- W pewnym sensie, kapitanie Calrissian, jest pan w błędzie. Został pan aresztowany za popełnienie tego czynu, a niedługo będzie pan sprawiedliwie osądzony i skazany.

Starszy Administrator wykonał jakiś gest i roboty, stojące dotąd po obu stronach hazardzisty, odstały krok do tyłu. Następnym gestem Lando został poproszony o zajęcie miejsca na krześle, ustawionym naprzeciwko tego, na którym chwilę wcześniej usiadł Lob Doluff. Bassi Vobah stanęła za jego plecami jako ktoś w rodzaju honorowej straży.

- Jak wspominałem, przewidzianą przez prawo karą za popełnienie tego czynu jest wystawienie na działanie gorąca, zimna i próżni międzygwiazdnych przestworzy. Nie istnieją jednakże dokładne przepisy, określające sposób wymierzania tej kary. W związku z tym chciałbym, drogi chłopcze, zaproponować ci coś, co pozwoliłoby nam dostosować się do wymogów prawa, a zarazem oszczędziłoby ci niemiłych przeżyć.

- Rozumiem - zauważył hazardzista. — Zastrzelicie mnie przed wypchnięciem ze służby. Przy okazji, panie Starszy Administratorze, czy kiedykolwiek widział pan osobę wyrzuconą w przestworza? - Lando wprawdzie także nigdy nie oglądał takiego widoku, ale miał bujną wyobraźnię i liczył na to, że Lob Doluff również potrafi sobie to wyobrazić. - To coś okropnego.

Skrzywił się, wydał policzki i wybałuszył oczy, a po chwili wywalił język na całą długość i zaczął przesuwając z boku na bok.

Lob Doluff także się skrzywił, jakby nagle rozboleły go zęby. Przełknął ślinę, po czym obronnym gestem położył pulchną dłoń na wydatnym brzuchu.

- Właśnie tego chcielibyśmy ci oszczędzić, drogi chłopcze.

o ile mi wiadomo, w systemie Oseona nie dokonano jeszcze ani jednej oficjalnej egzekucji, a ja nie zamierzam być pierwszym...

- Ja także nie - zgodził się z nim Lando. - Domyślam się, że właśnie w tym miejscu pojawia się nasz opierzony przyjaciel?

Wskazał Waywę Fybotą, nadając zajmującego sporo wolnej przestrzeni w samym kącie gabinetu.

Usłyszawszy te słowa, gigantyczny ptak ocknął się z zadumy i postąpił kilka kroków w stronę Calrissiana.

- Powiedz mi, kapitanie - zapiszczał dziwaczynym i śmiesznie brzmiącym (zważywszy na wzrost, płęć i rozmiary) fałsetem. - Czy kiedykolwiek słyszałeś o kimś, kto nazywa się Bohhuah Mutdah?

- Brzmi jak ktoś, kto nakrzyczał na swoją mamusię.

Lando miał serdecznie dosyć ciągłego traktowania go jak naiwniaka. Do tej pory zdążył zrozumieć, że do czegoś jest im potrzebny, i postanowił, iż uczyni wszystko, co w jego mocy, żeby jak najbardziej utrudnić ich zadanie.

Cały dowcip, jaki mógł się kryć w jego odpowiedzi - mimo iż nie było go zbyt wiele - nie wywarł na rozmówcach najmniejszego wrażenia. Calrissianowi wydało się nawet, że Lob Doluff się wzdrygnął. Starszy Administrator zamknął oczy i otarł spocone dłonie o wymięty materiał spodni.

Ogromny ptak postąpił jeszcze jeden krok dalej. Znieruchomiał obok Calrissiana, jakby chciał przerazić go swoim ogromem.

- Bohhuah Mutdah jest emerytowanym przedsiębiorcą i wielokrotnym bilionerem. Tu, na Oseonie, dysponuje majątkiem, który uchodzi za największy w całym systemie. Większym nie może się poszczycić żaden inny mieszkaniec. Można byłoby powiedzieć,

że Mutdah jest najbogatszą osobą w cywilizowanej części galaktyki.

Jest również beznadziejnie uzależniony od lesaju.

Lesaj. Na chwilę Lando usunął z mózgu wszystkie myśli o inteligentnym ptaku. Pragnął przypomnieć sobie wszystko, co wiedział na temat owego rzadkiego, nielegalnego i uchodzącego za wyjątkowo niebezpieczny narkotyku.

Lesaj wytwarzano z pleśni, które porastały grzbiety bardzo rzadko spotykanych jaszczurek, żyjących w systemie Zebitropy. Specyfik wykazywał wiele pożądanych właściwości. Po pierwsze, eliminował potrzebę snu, wskutek czego wydłużał okres aktywnego życia istot ludzkich o mniej więcej jedną trzecią. Po drugie, w przeciwieństwie do rozmaitych innych środków pobudzających, które pobierały z ludzkich mózgów coś ważnego, narkotyk wzbogacał je o to coś istotnego. Dzięki temu mógł być zażywany praktycznie w nieskończoność bez obawy o utratę życia albo zdrowia.

Osoba zażywająca lesaj ponosiła jednak pewne koszty. Przemieniała się w pozbawioną wszelkich uczuć, amoralną, nieczułą maszynę. W wyniku tego miała za nic rodzinę i przyjaciół, a nawet życie tysięcy czy milionów istnień innych istot, które mogły stanąć na jej drodze. Wszystko to nie liczyło się w porównaniu z celami, jakie stawiał sobie umysł uzależnionego osobnika. Przynajmniej tak twierdziły władze. Do takich rzeczy należało jednak podchodzić z dużą dozą ostrożności. Jeżeli chodziło o skutki zażywania narkotyków, osoby obdarzone władzą bardzo często nie mówiły prawdy, i nawet Lando, który z całego serca sprzeciwiał się zatrutowaniu umysłów za pomocą takich specyfików, nie wierzył we wszystko, co twierdzili przedstawiciele tego czy owego rządu.

Niemniej część z tego, co usłyszał, miała trochę sensu. Potrafił zrozumieć, co może mieć wspólnego lesaj z najzamożniejszym osobnikiem w całym znanym wszechświecie. Zdobycie takiego majątku nie było czymś niezwykle trudnym - pod warunkiem, że podporządkowało się całe życie właśnie temu celowi i nie dbało o nic innego. Lando nie potrafił postępować w taki sposób gdyż zdobywanie pieniędzy traktował jedynie jako środek, pozwalający na osiągnięcie określonego celu. Uważał, że nie miałoby sensu, gdyby stało się celem samym w sobie.

Mimo to był pewien, iż nie wszyscy żywili takie same zapatrywania. Może Bohhuah Mutdah zaliczał się do grona takich osób?

- No, dobrze - przerwał opierzonemu stworzeniu. - Mamy więc nieprawdopodobnie bogatego nałogowca, a ty jesteś gliną od zwalczania handlu prochami. O co chodzi, czy nie zapłacił ci na czas, żebyś nadal zapewniał mu ochronę?

Oburzony Waywa Fybot wyprostował się chyba jeszcze bardziej niż poprzednio, a jego nastroszone pióra, jakby przerażone, zjeżyły się i zadrżały.

- Kapitanie Calrissian, chyba się pan zapomina! Mimo wszystko, jestem...

- Agentem rządowym, tak samo skorumpowanym jak wszyscy inni agenci, pracujący dla jakichkolwiek rządów. Nie kpij ze mnie, robalojadzie. Prawa, wymierzone przeciwko najróżniejszym złoczyńcom, układa się w taki sposób, żeby można było korzystać z nich wybiórczo i tym sposobem osiągać inne nieczne cele. A może po prostu nie podobają się wam rozmiary jego konta w banku?

Ptakostworzenie zamrugało i zatrzęsło się z wściekłości. Otworzyło dziób, jakby chciało coś powiedzieć, ale po chwili go zamknęło. Następnie znów go otworzyło, ale nie potrafiąc wymówić choćby słowa, wycofało się do kąta gabinetu. Szczercząc zęby w szerokim uśmiechu, Lando odwrócił się w stronę Starszego Administratora, Opiekuna Ładu i Porządku Systemu Oseona. Rozłożył ręce i wykonał gest, do złudzenia przypominający wrzucenie ramionami.

Bassi Vobah sprawiała wrażenie równie oburzonej i zgorszonej jak jej pierzasty kolega po fachu.

W przeciwieństwie do niej Starszy Administrator zachichotał. Po raz pierwszy, odkąd wprowadzono Calrissiana, sprawiał wrażenie rzeczywiście odprężonego. On także wyszczerzył zęby, jakby zamierzał pod tym względem rywalizować z hazardzistą, a później nawet wybuchnął serdecznym śmiechem. Z poczuciem winy popatrzył na upierzonego dostojnika. Pokręcił głową, a potem znów, tym razem już bez żadnych skrupułów, zaniósł się od śmiechu.

- Na Jądro, kapitanie Calrissian... Lando, jeżeli można... muszę przyznać, że naprawdę cię podziwiam. Jesteś hazardzistą do szpiku kości, nie tylko przy karcianym stoliku. Czy mógłbym zrobić coś, co przyniosłoby ci chociaż trochę ulgi w niemiłej sytuacji, w jakiej się znajdujesz? Jadłeś coś, kiedy przebywałeś w celi?

Lando kiwnął głową.

- Najlepsze jedzenie, jakie kiedykolwiek podano mi w więzieniu. Prawdę mówiąc, do pełni szczęścia brakowało mi tylko filiżanki kafeiny. Aha, i cygara.

- Na Jądro, Obrzeża i Dysk, dostaniesz wszystko, o co prosisz! Bassi, dopilnuj, żeby natychmiast przyniesiono i jedno, i drugie!

Funkcjonariuszka policji spiorunowała spojrzeniem przełożonego, ale kiedy uświadomiła sobie, że otyły mężczyzna nie żartuje, pospieszenie opuściła gabinet, by zatroszczyć się o wykonanie polecenia. Tymczasem jej rozmówca odwrócił się w stronę jednego z robotów-strażników, który wycofał się w kąt pokoju znajdującego się za plecami Calrissiana. Lob Doluff pstryknął palcami.

- Proszę zwrócić temu czcigodnemu mężczyźnie ubranie. Natychmiast! Na Wiekuistego, jeżeli już muszę przechodzić przez to wszystko, uczynię to, ale tak, jak sam uznam za stosowne!

Lando siedział i nie mówił ani słowa. Kiedy ujrzał, że wyraźnie odprężony Starszy Administrator sadowi się wygodniej na krześle, uczynił to samo. Po chwili do gabinetu powróciła Bassi Vobah, która przyniosła kafeinę i cygaro. Policyjny robot oddał młodzieńcowi ubranie i wszystkie drobiazgi osobistego użytku. Hazardzista postanowił na razie fakt ten zignorować. Jego uwagę zaprzętały ważniejsze sprawy.

- A teraz... - zaczął Lob Doluff, kiedy wszyscy wrócili na poprzednie miejsca.

Przerwał jednak widząc, że do gabinetu weszły dwa roboty. Postawiły całkiem spory stojak - mający wygląd i rozmiary kozła do rżnięcia drewna - który dostojnik nakazał przynieść dla pierzastego pracownika urzędu do zwalczania handlu narkotykami. Starszy Administrator zachęcił Waywę Fybota, żeby spoczął na stojaku jak na grzędzie. Wielki ptak przez chwilę udawał, że się ociaga, ale później przystał na zaproponowane rozwiązanie. Usiadł na grubej poprzeczce, po czym przybrał rozmarzony wyraz twarzy. Przyglądał się nastrożone pióra, ale nie odezwał się ani słowem.

- A teraz, drogi chłopcze - podjął Doluff, zwracając się znów do Calrissiana - opowiemy ci wszystko po kolei. Poznasz prawdę, całą prawdę i tylko prawdę — a przynajmniej to, co ja uważam za prawdę. Mam nadzieję, że wtedy wszystko zrozumiesz. Rzecz jasna, masz całkowitą rację. Wrogowie i konkurenci Bohhuaha Mutdaha przygotowują się do obalenia jego gospodarczego imperium. Musisz jednak wiedzieć, że panicznie się go obawiają. Ja także czułbym to samo, gdybym znalazł się na ich miejscu, więc wcale im się nie dziwię. Zrobią wszystko, byle tylko usunąć go z drogi, tak pod względem zawodowym, jak i fizycznym.

Jak przypuszczam, wrogowie ci żywią całkiem uzasadnioną nadzieję, iż miliardier będzie się opierał aresztowaniu. Dałoby im to pretekst do wyeliminowania go raz na zawsze. Kłopot w tym, Lando, że muszę prosić cię o pomoc, żeby mogli przystąpić do akcji. Ja także zostałem o to poproszony i w żaden sposób nie mogłem odmówić. Musisz wiedzieć, że nie tylko wydaję rozkazy, ale często bywam zmuszany do ich wykonywania. Do licha,

jak to dobrze móc wyjawić całą prawdę!

Gdyby chodziło tylko o stanowisko, jakie zajmuję, nie spełniłbym tej prośby. Jednakże zgłosiłem się na ochotnika - szczerze mówiąc, zupełnie niepotrzebnie. Przyznaję, że lubię swoją pracę, ale nie do takiego stopnia, żeby zdradzać innego entuzjastę sabaka, dżentelmena i poszukiwacza przygód, którego cenię i podziwiam.

Bassi Vobah zaczęła się nerwowo wiercić na krześle, które musiała zająć na rozkaz Doluffa.

- A zatem, stary biurokrato, dlaczego nie mogę pozbyć się wrażenia, że zamierzasz znaleźć inny sposób, aby mnie zdradzić? - zapytał Lando. - Bo właśnie do tego zmierzałeś, prawda?

Starszy Administrator ciężko westchnął.

- Obawiam się, że tak, drogi kolego. Nie mogę tego ukrywać przed tobą, mimo iż nie mam niczego na usprawiedliwienie. Znalezione sposób, żeby wyrzucić na mnie nacisk, którego nie mogło znieść moje sumienie. Nie proszę nawet, żebyś zechciał mnie zrozumieć ani wczuć się w moje położenie. Staram się załatwić wszystko w taki sposób, żeby rozwiązanie sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, przyniosło jak najmniej szkód wszystkim zainteresowanym. Dziękuję ci, że zechciałeś uwierzyć w to, co powiedziałem do tej pory.

Lando nieobowiązująco wzruszył ramionami.

- Jak myślisz, Starszy Administratorze, ile warte są przeprosiny kata?

Doluff skrzywił się, jakby połknął coś kwaśnego, po czym kiwnął głową.

- Masz rację, chłopcze - przyznał. - Chcę ci jednak powiedzieć, w jaki sposób zamierzam wywiązać się ze swojej części umowy.

Odwrócił się do Waywy Fyбота.

- Posłuchaj, dziwaczna karykaturo ptaka - zaczął. - I postaraj się nie uronić ani jednego słowa z tego, co chcę ci powiedzieć...

- Panie Admini... - przerwała mu wstrząśnięta, przerażona i rozgniewana Bassi Vobah.

- Siedź cicho, drogie dziecko, za chwilę zwrócę się i do ciebie. Czy słuchasz mnie, absurdalna zbieranina beużytecznych piór i lotek?

Imperialny agent zrobił głupią minę i zamrugał, jakby nie wiedział, co się dzieje. Widocznie pozycja na grzędzie, jaką musiał zająć na rozkaz Doluffa, wyzwoliła w nim chęć uciecia drzemki. Wielki ptak potrząsnął głową i wbił spojrzenie w Starszego Administratora, ale nawet wówczas nie powiedział ani słowa.

- Bardzo dobrze - ciągnął tymczasem otyły dostojnik. - Możesz zatem poinformować swoich chciwych zysku mocodawców, że otrzymałeś ode mnie wyraźne rozkazy. Pozwalam ci zaaresztować Bohhuaha Mutdaha, ponieważ nie mogę zrobić nic, aby w tym przeszkodzić. Masz go jednak oddać w moje ręce - żywego i na tyle przytomnego, żeby mógł stanąć przed oseńskim trybunałem. W przeciwnym razie oskubię cię do gołej skóry, przyprowadzę, upiekę na rożnie i podam jako główne danie w Dzień Założycieli. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Obca istota kiwnęła głową, ale w jej ogromnych błękitnych oczach błysnęły ogniki skrywanej nienawiści.

Doluff odwrócił się do Bassi Vobah.

- Jeżeli chodzi o ciebie, moja droga, muszę ci przypomnieć, komu służysz. Masz dopilnować, żeby wszystkie moje rozkazy zostały wykonane. Możesz posługiwać się tym ręcznym działkiem - dodał, wskazując gigantyczny wojskowy blaster - ilekroć uznasz za konieczne i wobec kogokolwiek uznasz za celowe.

Skinął znacząco głową, wskazując policjantce Waywę Fyбота.

- A teraz, kapitanie Calrissian... Lando... Oto czego się spodziewam po tobie. Jak

prawdopodobnie dobrze wiesz, podróżowanie między asteroidami systemu Oseona w czasie trwania Ogniowichru jest nie tylko śmiertelnie niebezpieczne, ale również sprzeczne z prawem.

Jakby na potwierdzenie jego słów, przestworza za oknem gabinetu przecięła na ułamek sekundy oślepiająca błyskawica. Płonęła przez chwilę, pozbawiając barw wszystkie przedmioty w pomieszczeniu, a później zgasła.

- Mimo to muszę wydać ci polecenie zabrania na pokład tych dwojga funkcjonariuszy i przetransportowania ich na Oseona Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa. To właśnie na tej asteroidzie mieści się posiadłość i dom Bohhuaha Mutdaha, a oni muszą się tam znaleźć, by go aresztować.

Lando pokręcił głową.

- Chyba czegoś tu tym nie rozumiem - powiedział. - Dlaczego nie mogą po prostu...

- Ponieważ, drogi kapitanie - wpadł mu w słowo Lob Doluff- wygląda na to, że przestępca musi zostać przyłapany na gorącym uczynku. Jego przeciwnicy nie dysponują w tej chwili wystarczająco przekonującymi dowodami, a dopóki ich nie zdobędą, nie odważą się go niepokoić. Właśnie ty pomożesz im je zdobyć. Nadajesz się do tego wręcz doskonale, z uwagi na to, że jesteś kapitanem gwiazdowego frachtowca. Musisz zachowywać się w taki sposób, jakbyś dostarczał następny transport lesaju. Wiele wskazuje na to, że Bohhuah Mutdah otrzymuje takie transporty regularnie raz do roku i to właśnie w porze trwania Ogniowichru, który pozwala na zatarcie wszelkich śladów. W związku z tym... Lando nagle wstał z krzesła.

- Nie tak szybko, panie Star...

Dostojnik grzmotnął ciężkimi łapskami o podłokietniki krzesła.

- A właśnie, że tak szybko, kapitanie! Nie mogę na to nic poradzić! Ja także otrzymałem rozkazy - wyraźne, szczegółowe i surowe. Już niedługo dostarczymy na pokład twojego statku duże ilości lesaju, zarekwirowanego z ładowni transportowca, którego pilot regularnie dostarczał towar Mutdahowi. Polecisz do następnego wewnętrznego pasa asteroid i wylądujesz na skale stanowiącej własność bilionera. Oświadczysz, że jesteś nowym dostawcą i nie stawiając żadnych pytań, wszystko sprzedasz. A kiedy będziesz dobijał targu, zostaniesz przyłapany na gorącym uczynku przez imperialnego agenta Waywę Fyбота i strażniczkę oseońskiego ładu i prawa Bassi Vobah. Oboje zarekwirowują transport lesaju i zapłatę, a potem osadzą Mutdaha w areszcie. Tak zostało postanowione i tak się stanie.

Doluff znów rozparł się na krześle i nabrał dwa lub trzy głębokie hausty powietrza.

Lando przez kilka chwil siedział w milczeniu, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Później powiedział:

- No, dobrze. Jeżeli mam wierzyć twoim słowom, obaj siedzimy w tym po same uszy. Ale... no cóż, w ciągu ostatnich kilku dni swojego pobytu tu, na Oseonie, wygrałem całkiem sporo kredytów. Coś około dwustu tysięcy, które mi skonfiskowano. Mam prawo podejrzewać, że komuś bardzo by się opłaciło, gdybym ja także został aresztowany w trakcie zawierania owej nielegalnej transakcji. A może się mylę?

W oczach Bassi Vobah zaślnęły drapieżne błyski. W przeciwieństwie do niej Lob Doluff uśmiechnął się z przymusem.

- Nie zapominaj Lando, że postawiliśmy ci zarzut posiadania śmiercionośnej broni. Pamiętaj o tym, że grozi ci kara śmierci. Ci, których interesom służę, nie życzą sobie, by ktokolwiek oprócz nich posługiwał się taką bronią - nawet w obronie własnej. Pragnęliby, żeby prawo było jak najściślej przestrzegane, a każde przestępstwo karane z całą surowością. Spodziewają się, że właśnie ja będę stał na straży tego prawa.

To prawda, że siedząc przy karcianym stoliku, miałeś wiele szczęścia... nie, powiedzmy

to wyraźnie, wykazałeś się sprytem, znajomością ludzkich charakterów i odwagą. Mimo to musisz wiedzieć, że nikt spośród tych, z którymi grałeś w sabaka, nie będzie żałował ani jednego przegranego mikrokredytu. Jesteśmy ludźmi bardzo bogatymi. No, może z wyjątkiem panny Bassi Vobah, ale ją, chociaż może dotąd tego nie wiedziałeś, wspomogliśmy finansowo, nim zasiadła do stolika.

Jednakże - mając nadzieję, że dzięki temu poczujesz się pewniej i bezpieczniej - pragnę dać ci jeszcze jeden dowód mojej dobrej woli. Przetransportujesz tych oto dwoje funkcjonariuszy i pomożesz im ująć i zaaresztować przestępcę, ja natomiast dopilnuję, żebyś zabrał całą wygraną. Wydam rozkaz, żeby zwrócono ci wszystko, co stanowi twoją własność. Co więcej, będziesz mógł odlecieć bezpośrednio z posiadłości Bohhuaha Mutdaha i opuścić system Oseona. Liczę na to, że Bassi i funkcjonariusz Fybot zdobędą dowody i dokonają aresztowania, a w tym czasie Ogniowicher osłabnie albo nawet ucichnie, co pozwoli im powrócić bez niczyjej pomocy. A ponieważ bilioner dysponuje sporą flotą małych międzyasteroidalnych statków, nie powinno być z tym żadnych kłopotów. Czy uważasz, że to sprawiedliwe rozwiązanie?

Lando znów dłuższą chwilę się zastanawiał. Później niechętnie kiwnął głową.

- A do ciebie, moje dziecko, mam pytanie - ciągnął Lob Do- luff, zwracając się do młodej policjantki. - Czy wyraziłem się dostatecznie jasno? Jeżeli sprzeciwisz się mojej woli i sprawisz kapitanowi Calrissianowi choćby najmniejszy kłopot, nie masz tu po co wracać. Spodziewam się, że w takim przypadku wystartujesz z posiadłości Mutdaha i na zawsze opuścisz system Oseona.

Funkcjonariuszka z najwyższym wysiłkiem przełknęła ślinę, po czym także kiwnęła głową- równie niechętnie, jak chwilę wcześniej uczynił to młody hazardzista.

Lob Doluff zmarszczył brwi i zwrócił się do Waywy Fyбота:

— Jeżeli chodzi o ciebie, bezużyteczny żurawiu z nadczynnością tarczycy, to gdybyś osmielił się pokrzyżować plany, jakie powziąłem w stosunku do zacnego kapitana Calrissiana, oskubię cię i upiekę na rożnie. A z twoich piór każę zrobić poduszkę, na której będę kładł głowę do końca życia. Czy mnie zrozumiałeś?

Wielki ptak kiwnął głową, dodając trzecią porcję do atmosfery ogólnej niechęci i przymusu, panującej w gabinecie Loba Doluffa.

Starszy Administrator złączył dłonie na wielkim brzuchu, a na jego twarzy pojawił się wyraz satysfakcji.

- A zatem, doskonale. Zgodziliśmy się i omówiliśmy wszystkie szczegóły. Na Jądro, jak to miło załatwiać interesy z grupą szczerych, bezpośrednich i wyrozumiałych osobników, jakich mam w tej chwili przed sobą. Muszę przyznać, że jestem z was trojga bardzo dumny. Czy nie powinniśmy pomyśleć teraz o obiedzie?

ROZDZIAŁ IX

Pora Ogniowichru w systemie Oseona oznaczała, że zarówno mieszkańcy, jak i przybysze, nie mieli do roboty właściwie nic poza bawieniem się i przyglądaniem fajerwerkom. Mimo to po upływie dostatecznie długiego czasu, każde niezwykle zjawisko w znanym wszechświecie, choćby nawet najbardziej spektakularne, zaczyna się nudzić, a uczestniczenie w zabawach ma swoje granice i, rzecz jasna, pociąga za sobą nie zawsze miłe konsekwencje.

Pora Ogniowichru pozwalała także na zaobserwowanie ciekawego zjawiska natury demograficznej. Z uwagi na wysokie stanowisko, zajmowane w ogólnej hierarchii społeczeństwa galaktyki, większość Oseńczyków dawno przekroczyła wiek, w którym

myśli się o wychowywaniu dzieci. Może więc wydać się dziwne, ale po dziewięciu miesiącach od zakończenia tego okresu dawało się zauważyć wyraźny skok przyrostu naturalnego.

Z pewnością jednym z powodów takiej sytuacji był fakt, iż podróżowanie stawało się wówczas o wiele niebezpieczniejsze. Towarzysząca widowiskowym zjawiskom ulewa zjonizowanych śmiertelnych cząstek wywoływała awarie elektronicznych systemów i podzespołów. Do najbardziej wrażliwych należały urządzenia odpowiedzialne za nawigację, przerabianie odpadów oraz uzdatnianie powietrza i wody.

Za niebezpieczne uchodziło nawet podróżowanie po powierzchni asteroidy.

Mimo to Lando Calrissian się niecierpliwił. Odkąd oswoił się z myślą, że nie uniknie podróży, chciał wyruszyć jak najszybciej.

Uświadamiał sobie, że chociaż znów może cieszyć się wolnością, przebywanie w systemie Oseona straciło cały urok. Z wielu powodów nie mógł już liczyć na to, że kiedykolwiek zasiądzie do sabaka z innymi bogatymi mieszkańcami. Po pierwsze, jego talent dał się już poznać miejscowym entuzjastom. I chociaż Lando nie pozbawił ich przeznaczonych na hazard środków materialnych, to z pewnością przekonał, że mierzenie się z nim w grze jest bezcelowe. Po drugie, popełnił błąd - nie tyle przez nieostrożność, ile przez zbyt entuzjastyczne podejście do gry. Nigdy nie pozwoliłby sobie na to, gdyby grał w towarzystwie osób mniej zamożnych. Po prostu nie w pełni zdawał sobie sprawę z tego, jak niechętnie bogacze rozstają się ze swoją własnością.

Wiedzieliby o tym, gdyby pracował jako kelner albo boy hotelowy. Nikt nie musiałby mu wówczas mówić, że wysokość dawanych napiwków jest odwrotnie proporcjonalna do stanu konta w banku.

Jego sytuację pogarszał wysoki standard życia Oseńczyków. Ponieważ asteroidy zamieszkiwali ludzie bardzo bogaci, koszty utrzymania były chyba najwyższe w całej znanej części galaktyki. Lando z przerażeniem obserwował, jak wygrane pieniądze topnieją, odpływają i znikają. Wszystko wydawało się potwornie drogie, poczynawszy od najskromniejszego posiłku w najtańszej jadalni, a skończywszy na zapasach żywności i najniezbędniejszym sprzęcie, jaki musiał kupić, żeby wyruszyć na wyprawę.

Jak zawsze, nie mógł narzekać ani na nadmiar, ani na brak szczęścia.

Po konferencji w gabinecie Starszego Administratora spędził dzień na pokładzie „Sokoła Milenium”. Korzystając z pomocy Vuffiego Raa, mocował do płyt pokładu dziwny stojak, przysłany z myślą o bezpieczeństwie i wygodzie Waywy Fybota.

- Jeszcze jeden obrót i powinno wystarczyć - mruknął, zajęty przykręcaniem ostatniej śruby. - Jak szkoda, że nie mam miejsca na posługiwanie się autokluczem... uch!

Łeb śruby ukręcił się i oderwał od nagwintowanego zakończenia. Oznaczało to, że trzeba odkręcić wszystkie pozostałe śruby, które pewnie tkwiły w swoich otworach, i przesunąć stojak w inne miejsce, a następnie wywiercić w pokładzie nowe otwory. W tym czasie małego androida czeka usuwanie ułamanej części z grubej metalowej płyty.

- Mistrzu, dlaczego musimy instalować ten dziwny stojak? - zapytał Vuffi Raa. - Moglibyśmy zlikwidować siłę ciężenia w jakimś pomieszczeniu statku i umieścić tam funkcjonariusza Fybota. Przez cały czas trwania podróży unosiłby się w powietrzu. Z pewnością byłoby to dla niego o wiele wygodniejsze i korzystniejsze.

Mówiąc to, przewiercił w stosunkowo miękkim metalu otwór o niewielkiej średnicy, po czym umieścił w nim i unieruchomił urządzenie do usuwania ściętych sworzni. Przyrząd miał na powierzchni nacięte zwoje lewoskrętnego gwintu, dzięki którym usunięcie z pokładu uszkodzonej części stawało się dziecinnie łatwe. - Co takiego? - przeraził się Calrissian. - Mam pozwolić, żeby siemię fruwało po całej ładowni? Nie ma mowy. A poza tym, ten ptak ma układ fizjologiczny delikatny jak kanarek. I nie pytaj mnie, dlaczego

mianowali kogoś takiego policjantem. Udzielenie odpowiedzi na to pytanie wymagałoby przyjęcia założenia, że wyższe władze znają pojęcie logiki.

Kiedy dziwaczna grzęda została odkręcona, Lando i Vuffi Raa przesunęli ją w inne miejsce, gdzie wywiercili nowy komplet otworów w metalowych płytach. Hazardzista pomyślał, że wszyscy odpowiedzialni za sytuację, w jakiej się znalazł - a zwłaszcza za ostatni gwóźdź do trumny, czyli bałagan na pokładzie frachtowca - jeszcze kiedyś mu zapłacą.

Z przykręceniem trzech pierwszych śrub nie było najmniejszych kłopotów. Podobnie jak poprzednio. Zrezygowany Lando popatrzył na Vuffiego Raa. Mały android odwzajemnił mu się takim samym spojrzeniem. Mimo iż nie miał głowy, a w torsie płonęło tylko jedno oko, jego właściciel wiedział, co czuje mechaniczny przyjaciel. Znał go na tyle dobrze, że potrafił się w tym zorientować, jedynie obserwując ruchy macek. Obaj umieścili czwartą śrubę w otworze, a następnie Calrissian przyłożył klucz do sześciokątnego łba.

- Jeżeli tym razem się nie uda, stara obrabiarko, będziemy musieli sprowadzić ogromną drucianą klatkę!

W przypominających plaster miodu głębinach Oseona Sześć Tysięcy Osiemset Czterdzieści Pięć biegły grube rury, w niektórych miejscach mające nawet dwa metry średnicy. Wykorzystując energię atomowego stosu, przesyłały powietrze, wodę i inne ważne substancje do hoteli, biur, sklepów i wielu miejsc, odwiedzanych przez istoty ludzkie. Tak głęboko nie zapuszczał się chyba nikt oprócz naprawczych androidów. Te zaś pojawiały się co jakiś czas i jakby od niechcenia dokonywały inspekcji albo usuwały awarie. Właśnie tu wyznaczono miejsce spotkania.

- A jednak przyszedłeś - szepnęła postać, odziana w szare ubranie. Strój przypominał mundur, pozbawiony wszelkich oznak i naszywek, które umożliwiałyby identyfikację stopnia czy rodzaju jednostki. Widoczna między stojącym sztywnym kołnierzykiem a wojskową czapką twarz zdradzała, że rozmówca jest osobą młodą. Był to pierwszy oficer z gwiazdnego krążownika „Wennis”. Ukryty w cieniu transformatora mającego rozmiary sporego gwiazdnego statku, mówił tak cicho, że nie dałoby się usłyszeć ani słowa w odległości dwóch albo trzech kroków od basowo pomrukującego urządzenia.

Druga osoba, rzucająca się w oczy mniej niż pierwsza, stała w jeszcze intensywniejszym cieniu, osłonięta od stóp do głów zwojami fałdzistej tkaniny. Była wyższa niż zastępca dowódcy „Wennisa”, ale nie odzywała się ani słowem. W odpowiedzi na powitanie tylko kiwnęła głową.

- To dobrze - syknął oficer, zapewne przyzwyczajony do takiego stylu prowadzenia rozmowy. - Czy rozumiesz, co masz zrobić, kiedy dotrzesz na Oseon Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa? Nie możesz się zawahać ani popełnić jakiegokolwiek błędu. Starszy Administrator wymyślił legalny sposób, za pomocą którego będzie chciał nas przechytrzyć, a zatem musimy pokrzyżować jego plany! Otrzymaliśmy wyraźne rozkazy, które najprawdopodobniej wydano na samej górze.

Całkowicie osłonięty wysoki rozmówca znów tylko skinął głową.

- W takim razie wszystko ustalone. Jeżeli nie zawiedziesz, otrzymasz hojne wynagrodzenie. Nasz... ehm... przełożony umie się odwdziżyć. Potrafi także okazać niezadowolenie, jeżeli zdradzisz jego zaufanie.

Zamaskowana postać lekko się wzdrygnęła, ale powodem było zapewne zimno. Chociaż w sąsiedztwie pracowało wiele urządzeń, panował chłód, a przy każdym oddechu pojawiały się ledwo widoczne chmurki pary.

Istota wzdrygnęła się po raz drugi. Może więc jednak powodem nie było zimno?

Nie mówiąc więcej ani słowa, odziany w szary mundur oficer odwrócił się i wyszedł. Bardzo mu się spieszyło. Wiedział, że zanim wróci na pokład „Wennisa”, musi się z kimś spotkać. Na samą myśl o tym czuł przerażenie, tym bardziej że miejsce spotkania

wyznaczono jeszcze głębiej we wnętrzu asteroidy.

Wysoka, osłonięta fałdzystym materiałem istota, z którą rozmawiał, także odwróciła się i zniknęła. Pozostało po niej samotne, puchate, żółte piórko. Poddając się prądowi chłodnego powietrza, przez chwilę unosiło się nad posadzką. Później delikatnie spoczęło na szorstkiej powierzchni i znieruchomiło.

Lando miał mieszane uczucia, co w jego sytuacji było całkiem zrozumiałe. Właśnie wsunął naładowany paralizator pod szeroką szarfę, opasującą lotniczy kombinezon, który zwykle wkładał przebywając na pokładzie „Sokoła Milenium”. Pamiętał, że samo posiadanie takiej broni uchodziło w systemie Oseona za ciężkie przestępstwo, zagrożone karą śmierci. W dodatku egzekucja tej kary była tak potworna, że powieszenie, zagazowanie, a może nawet tortury nerwów, wydawały się lekkimi sposobami zejścia z tego świata.

Pewną pociechę stanowił fakt, że Calrissian działał z bezpośredniego rozkazu wydanego - co prawda tylko ustnie - przez Loba Doluffa. Wyglądało na to, że Starszy Administrator rzeczywiście jest gotów zrobić wiele, aby hazardzista nie stracił życia. Możliwe, iż bardziej pragnął tylko tego, żeby Bassi Vobah i Waywa Fybot wykonali wszystko dokładnie tak, jak im rozkazał.

Pistolet, na którego zwrot Lando tak nalegał, miał stanowić dodatkową - chociaż niezbyt pewną- gwarancję, że wszystko potoczy się zgodnie z planem.

Młodzieniec popatrzył na Vuffiego Raa, którego ruchliwe macki przestawiały dźwignie przełączników, obracały pokręta i wykonywały całe mnóstwo innych czynności, przewidzianych przez procedury przedstartowe. Uświadomił sobie, że Starszy Administrator stanowczo odmówił wydania dokumentu, który potwierdzałby prawo młodego hazardzisty do posługiwania się bronią. Zapewne Lob Doluff się obawiał, że gdyby wystawił podobne zaświadczenie, nie miałby później czym szantażować Calrissiana.

No cóż - pomyślał Lando. - Miejmy nadzieję, że nie będzie żadnych niespodzianek. Mimo to nie bardzo wierzył, że tak się stanie. Z natury rzeczy był cynikiem, który żył na tyle długo, aby wiedzieć, że obawy, podejrzenia i przeczucia znacznie częściej się spełniały, niż okazywały bepodstawne. Gdyby jednak jego wyprawa zakończyła się powodzeniem, za kilka dni odleci z tego zwariowanego systemu, a wówczas cały problem przestanie mieć znaczenie.

Przedsięwziął pewne kroki, aby upewnić się, że właśnie tak się stanie.

Miał zamiar podjąć następne.

Lando i jego mechaniczny przyjaciel siedzieli w sterowni „Sokoła Milenium”. Oświetleni widocznymi przez dziobowy iluminator różnobarwnymi, raz po raz rozbłyskującymi płachtami i wstęgami, sprawdzali kolejne obwody i podzespoły. W tym czasie pasażerowie przebywali w świetlicy i pogrążeni we własnych myślach, starali się opanować drżenie, wywołane obawą przed czekającą ich wyprawą. Bassi Vobah niechętnie zrezygnowała z psychologicznego poczucia bezpieczeństwa, jakie dawało jej noszenie policyjnego munduru. Ubrana w umiślny strój, siedziała wewnątrz pomieszczenia przypominającego półokrągłą budkę z cywilizowanym pośrodku elektronicznym stolikiem. Nie zmieniając ponurego wyrazu twarzy, oglądała taśmę z programem rozrywkowym - jednym z kilku, jakie można było znaleźć w bardzo skromnie zaopatrzonej biblioteczce „Sokoła Milenium”. Taśma opowiadała historię jednej z pierwszych grup gwiazdnych podróżników. Ich statek przeleciał przez obszar, w którym szalały magnetyczne burze, wskutek czego uległ uszkodzeniu. Zmusiło to podróżników do lądowania na niegościnnej, jałowej planecie, oddalonej wiele lat świetlnych od najbliższych uczęszczanych gwiazdnych szlaków. Właśnie w tej chwili nieszczęśnicy ciągnęli losy, aby ustalić, w jakiej kolejności zwycięzcy będą spożywali pokonanych.

Oglądanie programu rozrywkowego nie wpływało jednak na poprawę samopoczucia

policjantki.

Pod względem budowy anatomicznej i fizjologii, Waywa Fybot zaliczał się do ptaków. Mimo to nie czuł się ograniczony przez charakterystyczne cechy swojego gatunku, w każdym razie nie bardziej niż ludzie mogliby czuć się ograniczeni przez cechy swoich prapraprzodków. I chociaż tylko z trudem ukrywał zdenerwowanie, raz po raz przypominał sobie, że poświęca się dla dobra służby. Czyż nie tego oczekiwało Imperium i Imperator? Czyż nie od tego zależał awans i podwyżka uposażenia? Waywa Fybot żywił w głębi serca nienawiść do miejscowego administratora za to, że dostojnik go znieważył. Istoty jego rasy znały wiele złośliwych, ciętych uwag, jakimi mogły odpowiedzieć osobnikom ludzkim w ogólności, a takim grubym małpom w szczególności, ale gabinet Loba Doluffa nie był chyba najodpowiedniejszym miejscem, by się nimi popisywać. Funkcjonariusz pocieszał się tylko tym, że jeśli wyprawa zakończy się powodzeniem, nie będzie musiał się martwić o swoją przyszłość. Przyglądał się pióra.

Do licha! Tym razem sprawił ból samemu sobie.

Poczuł go pod grubą, krótką lewą ręką, porośniętą długimi, miękkimi piórami. Kończyna wyglądała jak szczątkowe skrzydło, które nie nadawało się do latania na długo przedtem, zanim istoty jego ludu zaczęły ciosać pierwsze kamienne narzędzia. Fybot ukrył pod kończyną mały promiennik energii, stanowiący coś w rodzaju odpowiedzi na jawnie noszony przez Bassi Vobah wojskowy blaster. Mimo iż broń miała dwukrotnie mniejsze rozmiary, dysponowała sześć razy większą mocą. Stawiało ją to - przynajmniej w teorii - na równi z pojedynczym modułem czterolufowego działka, zainstalowanego na pokładzie statku Calrissiana. Promiennik był ulubioną bronią, używaną przez agentów tajnej służby, i stanowił tajemnicę, ściśle strzeżoną nawet przed wojskowymi odbywającymi czynną służbę.

Nie musiał być wyciągany z ukrycia, żeby mógł zostać użyty. Stanowiło to prawdziwe błogosławieństwo, jako że natura nie obdarzyła Fyboty - ani innych istot jego rasy - najręczniejszymi czy najzwinniejszymi kończynami.

Tajny agent urzędu do spraw walki z handlem narkotykami popatrzył na Bassi Vobah, która starała się skupiać całą uwagę na programie rozrywkowym. Nie przychodziło jej to bez trudu. Calrissian i jego robot poddawali silniki „Sokoła” niezliczonym testom, wskutek czego cały statek trząsł się w nieregularnych odstępach czasu niczym listek. W przerwach między próbami panowała natomiast głucha, drażniąca nerwy cisza. Przezorność i uwaga, jaką obaj przywiązywali do tego, aby wszystkie urządzenia funkcjonowały bez zarzutu, stanowiły ponure świadectwo ryzyka, które wszyscy mieli wkrótce podjąć.

Uświadomienie sobie tego faktu sprawiło, że Waywę Fybotę ogarnęło jeszcze większe zdenerwowanie. Wielki ptak rozsiadł się na grzędzie i zapadł w drzemkę, jaką zawsze wywoływało sadowienie się na stojaku. Żałował, że ciała istot jego rasy nie są na tyle giętkie, aby mógł wsunąć głowę pod jedno ze skrzydeł.

Z drugiej strony, mógłby wówczas zranić ją o promiennik energii, który właśnie tam umieścił.

Po chwili z widocznych w dziobie funkcjonariusza niewielkich okrągłych otworów nosowych zaczęło się wydobywać ciche chrapanie.

- Punkt sto dziewięćdziesiąty szósty - obwieścił Lando Calrissian, zaglądając do instrukcji obsługi. - Odbiornik komunikatora przygotowany do pracy. No cóż, stary otwieracz do konserw, myślę, że możemy ten punkt zlekceważyć. Chyba że powiesz mi, jak w takich warunkach działałby twój program zliczający?

Vuffi Raa zamarł w pół ruchu, a koniec jego wyciągniętej macki zawisł nieruchomo nad pulpitem z przyrządami kontrolnymi.

- Chciałbym, mistrzu, żebyś przestał stroić żarty z tak poważnych spraw - powiedział.

- Musisz przyznać, że ten ostatni zabrzmiał niezbyt śmiesznie, prawda?

Pstryknął dźwigienką przełącznika i przez chwilę przyglądał się, jak wskazówki przyrządów tańczą jak szalone, a światełka raz po raz zapalają się i gasną. Właśnie w taki sposób reagowały czujniki i mierniki na atakujące je cząsteczki oseońskiego Ogniowichru.

Później popchnął dźwigienkę w przeciwną stronę i wyłączył urządzenie. Obaj współnicy poculi wyraźną ulgę.

- Punkt sto dziewięćdziesiąty siódmy - oznajmił Lando, nie reagując na retoryczną nadwrażliwość androida. - Zawiera sekwencję trzynastu szczegółowych podpunktów, którą musimy wykonać, zanim przejdziemy do sto dziewięćdziesiątego ósmego. Podpunkt pierwszy. Sprawdzić temperaturę rdzenia głównego reaktora, która do tej pory powinna była osiągnąć wartość nominalną. Sprawdzone. Podpunkt drugi. Upewnić się, że płyn w obwodzie spowalniacza krąży bez przeszkód i dociera do wymiennika ciepła. Sprawdzone - a przynajmniej tak pokazują przyrządy. Podpunkt trzeci...

Starszy Administrator Lob Doluff ze stoickim spokojem zareagował na zniewagę, jaką stanowiło przeniesienie komunikatora. Urządzenie to było zazwyczaj dyskretnie ukryte we wnęce i zasłonięte przez zwieszające się liście paproci. Teraz zostało przeniesione na sam środek pomieszczenia, które służyło jako gabinet, a w rzeczywistości było miniaturą wyglądającego jak ciepłarnia domu.

Korzystając z sieci łączności powierzchniowej, Doluff odbierał obraz tego, co działo się na lądowisku usytuowanego na biegunie północnym kosmoportu. Oglądał sam środek płyty, na której spoczywał przygotowujący się do startu „Sokół Milenium”.

Możliwe, że nie mam odpowiednich predyspozycji, żeby być dobrym administratorem - pomyślał mężczyzna. Z wielkimi oporami wydał rozkaz tym istotom: kapitanowi Calrissianowi i jego dzielnemu małemu robotowi klasy drugiej. Poleciał im, żeby zapuścili się w płomieniste piekło Ogniowichru - i to w porze, kiedy zjawisko uchodziło za najbardziej widowiskowe, a zarazem najniebezpieczniejsze. Wiedział, że jego serce będzie towarzyszyło im w tej podróży... i może już nigdy z niej nie powróci.

Życzył im wiele szczęścia.

Mimo to westchnął, uzmysłowivszy sobie, że nie zna lekarstwa na niepokój i wyrzuty sumienia, jakie go dręczyły. W innej wnęce, wykutej w ścianie przeciwległej do miejsca, gdzie zazwyczaj stał komunikator, trzymał niewielkie terrarium. Na samym dnie spoczywały gąbczaste narośle - pochodzące z planety odległej

o jedną czwartą galaktyki. Doluff uważał się za miłośnika zieleni

i wszystkiego, co żywe, ale na widok narośli nie potrafił ukryć obrzydzenia. Hodował je, ponieważ stanowiły pokarm i ukrycie dla żyjącej z nimi w symbiozie o wiele bardziej odrażającej jaszczurki, pochodzącej z Zebitropy Cztery.

Na grzbiecie jaszczurki wegetował jeszcze jeden symbiont, mający postać wyjątkowo ohydnej purpurowej pleśni.

Lob Doluff starannie zamknął drzwi gabinetu, po czym wyciągnął spod komunikatora małą plastikową szpatułkę. Podreptał do terrarium, wyjął jaszczurkę i zdrapał z jej grzbietu odrobinę pleśni. Posługując się kciukiem i palcem wskazującym, wtarł substancję w zagłębienie w dolnej części szyi, a powstała plama - wyglądająca jak okazały siniak - zasmarował specjalnie trzymanym w tym celu pudrem o kolorze identycznym jak barwa skóry.

Później ciężko opadł na krzesło.

Nie mieli racji „eksperci” - pomyślał ponuro. Obserwował, jak kadłub „Sokoła Milenium” odłącza się od składanego jak miech akordeonu rękawa, a widoczny w spodzie statku otwór zostaje zamknięty i uszczelniony. Lesaj nie pozbawiał go ludzkich uczuć.

Lob Doluff niemal żałował, że narkotyk nie oddziaływał na niego w taki sposób.

Kilka tysięcy kilometrów dalej jakiś pocisk przeleciał obok dziwacznej zbieraniny przestarzałych, pokiereszowanych myśliciów, połączonych z rdzeniem jednostki napędowej pancernika za pomocą grubych, giętkich i pulsujących jaskrawym blaskiem kabli.

Wystrzelenie pocisku było z góry umówionym sygnałem, a zarazem i jedynym sposobem przekazywania informacji podczas trwania Ogniowichru. Klyn Shanga obserwował, jak pocisk ze świstem przelatuje nad owiewką jego kabiny. Później, zamierzając skorzystać z łączności przewodowej, by połączyć się ze swymi podwładnymi, zaczął przyciskać różne guziki.

- To jest to, chłopcy - zaczął ponuro, kiedy uzyskał połączenie. - Zaczyna się... i nie skończy, dopóki m y nie zakończymy. Zgłaszajcie gotowość, kiedy wywołam każdego po imieniu i nazwisku. Musimy to zsynchronizować, gdyż w przeciwnym razie roztrzaskamy się jak nie o tę, to o inną skałę.

- Den Sait Glass!

- Co do sekundy! - usłyszał w odpowiedzi.

- Glec Jun!

- Cały i zdrowy!

- Stec Eddis!

- Dokładnie w celu!

- Mors Eth!

- Punkt dwieście dwudziesty trzeci! - odczytał Lando. - Nareszcie koniec. Włączyć lądownicze repulsory i przygotować się do startu.

- Lądownicze repulsory włączone - meldował Vuffi Raa. - Zerowe obciążenie lądowniczych łąp, ujemne obciążenie, odrywamy się od płyty! Przepustnica lekko naprzód, silniki napędu podświetlnego pracują na trzy procent mocy. Wysokość - jeżeli tak nazywa się to, czego nabieramy - dwanaście tysięcy metrów i wciąż rośnie.

- Doskonale - odparł hazardzista- kapitan gwiezdnej statku. Wcisnął jakiś guzik, a potem zwrócił się w stronę umieszczonego w oparciu fotela pilota niewielkiego okratowanego otworu.

- Mówi kapitan Calrissian. Mam nadzieję, że oboje czujecie się tak paskudnie, jak tylko możliwe. Wystartowaliśmy z asteroidy i kierujemy się w stronę Pasa Piątego. Jeżeli dolecimy w jednym kawałku, nie będzie w tym ani trochę waszej winy!

ROZDZIAŁ X

Kadłub „Sokoła Milenium” muskały fioletowe frędzle. Obok grubych płyt poszycia przelatywały purpurowe płomienie, a niebo, które przybrało fiołkoworóżową barwę, raz po raz przecinały niebieskofioletowe błyskawice.

- Vuffi Raa, jeżeli wierzyć wskazaniom tych przyrządów, wirujemy jak bąk i lecimy kursem przypominającym gigantyczną ósemkę! - stwierdził Lando.

Nie mogąc uwierzyć własnym oczom, pokręcił głową. Sącząca się przez dziobowy iluminator śliwkowa poświata przyprawiała jego żołądek o przedziwne skurcze. Przesztorza, które powinny być niezdolną do przenoszenia fal dźwiękowych absolutną próżnią, co kilka chwil rozbrzmiewały piekielnym śmiechem złośliwych demonów.

Prawie nie usłyszał odpowiedzi małego androida.

— Przykro mi, mistrzu, ale nic na to nie zdołamy poradzić. Musimy zaufać programowi, który steruje pracą silników i urządzeń utrzymujących nas na kursie. Ja także nie widzę na pulpicie ani jednego miernika, który zachowywałby się normalnie.

Czyżby w głosie robota zabrzmiały pierwsze nutki hysterii? A może odezwały się tylko w uszach Calrissiana, nieustannie bombardowanych przez wrzaski i piski rozdzierającego się na strzępy wszechświata?

Siedzący w świetlicy Waywa Fybot ocknął się ze snu - wyjątkowo głębokiego, nawet jak na istotę rasy, dobrze znanej ze skłonności do zapadania w długie, głębokie drzemki. Poruszył się niespokojnie, ponieważ wydało mu się, że pióra na długiej szyi jeżą się wbrew jego woli. Na chwilę otworzył oczy, ale potem znów je zamknął. Mimo to jego uwagę przykuło coś, co zauważył pod przeciwległą ścianą niewielkiego pomieszczenia. Ponownie otworzył oczy i na poły świadomie skierował spojrzenie w tamto miejsce. Natychmiast poczuł, że wszystkie pióra - jedno po drugim - poruszają się, stają dęba i nieruchomieją prostopadle do ciała.

Ujrzał Bassi Vobah, zasłaniającą dłońmi oczy.

Gdyby młoda kobieta zachowała zdolność trzeźwego myślenia, żałowałaby, że nie ma drugiej pary rąk, aby zakryć także uszy. Odsiła wrażenie, jakby samo Jądro galaktyki skrzeczało na nią za to, że popełniła jakiś straszliwy czyn, o którym później zapomniała. Szlochając, osunęła się na wykoślawiony tapczan i podciągnąwszy kolana pod brodę, skuliła się, żeby zajmować jak najmniej miejsca. Zamknęła oczy tak mocno, że zaciśnięte powieki zaczęły z wolna przybierać barwę fioletową, a potem czarną.

Funkcjonariuszka przesunęła dłonie na uszy, ale przekonała się, że wciąż słyszy potworne dźwięki. Niesamowite ryki i wrzaski, wydawane przez oszalałe słońce i krążących wokół niego skalistych towarzyszy, przedostawały się do jej mózgu za pośrednictwem kości.

Obicie tapczanu w miejscu, nad którym znajdowały się oczy, zwilgotniało od łez.

Kiedy to wszystko się zakończy?

Siedzący w sterowni Vuffi Raa wyciągnął mackę i wyłączył kolejną grupę bezużytecznych przyrządów. Rozpraszały jego uwagę, wskutek czego stwarzały większe zagrożenie niż gdyby pozostawały cały czas wyłączone. Kierując się równie zgrzyliwym humorem i mniej więcej takimi samymi przesłankami, pozbawił się słuchu. Stwierdził jednak, że tym razem nie poprawił swojej sytuacji. Ludzie dysponowali tylko kilkoma zmysłami - siedmioma, najwyżej ośmioma - ale on miał do dyspozycji coś około setki. W tej chwili każdy zachowywał się, jakby był jego zagorzałym wrogiem.

W przeciwieństwie do Calrissiana, którego ciało nie wyczuwało miliardów świdrujących je w każdej chwili zjonizowanych cząstek, część korpusu Vuffiego Raa działała jak skomplikowany miernik natężenia promieniowania. Mały android doświadczał na samym sobie gęstości i częstotliwości, z jakimi kilkanaście różnych rodzajów cząstek przenikało jego najczulsze podzespoły. Po raz pierwszy w swojej długiej egzystencji szczerze żałował, że nie potrafi narzucić swojej świadomości ograniczeń, jakimi cechował się organizm jego właściciela. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna zaczynał nabierać przekonania, że nie może mu zaszkodzić tylko to, o czym nie ma pojęcia albo czego nie czuje.

Lando właśnie skończył wymiotować, a przynajmniej zachowywać się tak, jakby zbierało mu się na wymioty. Na szczęście nie odmówiły posłuszeństwa zainstalowane w sterowni urządzenia sanitarne. Rzecz jasna, nie zawierały obwodów elektronicznych ani wielu ruchomych części, które mogły ulec uszkodzeniu. Młody hazardzista, życząc sobie - jak wszyscy inni - aby zdarzył się jakiś cud, żałował, że sam nie ma ruchomych części. Za każdym razem, kiedy poruszał jakąś częścią ciała, odczuwał napływające fale mdłości. Fale skupiały się w słonecznym splocie, a potem obijały po ciele dopóty, dopóki znów nie zmusiły go do zapoznania się z urządzeniem sanitarnym.

Z bardzo bliska.

Lando nie sądził, żeby kiedykolwiek w życiu chciał oglądać coś purpurowego. I to bez

względem na to, jak długo będzie żył. Albo pragnął pozostawać przy życiu. Niebieskawa poświata, która była czymś więcej niż błękitem, sączyła się ze wszystkich iluminatorów, okien, przezroczystych osłon, baniek czy ekranów monitorów. Jedynymi funkcjonującymi bez zarzutu urządzeniami na pokładzie statku okazały się zainstalowane na zewnątrz optyczne kamery i przekazujące ich obrazy, umieszczone we wnętrzu elektroniczne monitory. Ich działanie było najlepszym wyrazem złośliwości rzeczy martwych, jaka cechuje chyba wszystkie przedmioty w przewrotnym wszechświecie.

Ciemnoniebieskie, granatowe, błękitne (błękitem milionów nieboskłonów, widocznych z powierzchni takiej samej liczby różnych planet, zmieszanych ze sobą w dowolnych proporcjach i tworzących agatowe wiry), a także modre, szafirowe, niebieskoszare, lazurkowe i... po prostu niebieskie.

Lando wysiakał nos.

Wszystko przemawiało za tym, że jego żołądek trochę się uspokoił. Hazardzista spojrzął na Vuffiego Raa, który sprawiał wrażenie wyjątkowo ożywionego. Przebijając mackami po kontrolnych pulpitych, nie spuszczał wielkiego czerwonego oka ze zjawisk, widocznych przez iluminator sterowni.

- Jak się czujesz, mistrzu? Lepiej?

- Nie nazywaj mnie mistrzem. Owszem, czuję się odrobinę lepiej. A jak ty się czujesz, stary zginiaczku śmieci?

Lando pomyślał, że czuje się na tyle dobrze, iż mógłby się pokusić o zapalenie cygara... i w tej samej sekundzie, kiedy owa myśl powstała w jego głowie, musiał znów pochylić się nad urządzeniem sanitarnym. Na szczęście, alarm okazał się fałszywy, ale hazardzista pomyślał, że nie weźmie do ust żadnego cygara do końca życia.

- Nie wiem tego, mistrzu. Obawiam się, że musiałem wyłączyć obwody odpowiedzialne za uczucia, aby móc funkcjonować prawidłowo. Proszę, zechciej mi wybaczyć, jeżeli do końca tej wyprawy nie całkiem będę sobą.

Lando wybuchnął głośnym śmiechem.

- Ja już nigdy nie będę sobą! Czy mogę zrobić coś, by ci pomóc? Wygląda na to, że masz macki pełne roboty.

- Żaden z nas nie może nic na to poradzić, mistrzu. Współrzędne kursu zostały wpisane do pamięci nawigacyjnego komputera, który - jak sądzę - wykonuje wszystkie polecenia. Staram się nadzorować działanie najważniejszych urządzeń i systemów umożliwiających przeżycie, a poza tym próbuję utrzymywać pozostałe w stanie sprawności. I zastanawiam się, na ile mogę ufać wskazaniom mierników, których dotąd nie wyłączyłem.

- Zawsze któryś z nas może wyjść na zewnątrz i to sprawdzić - odparł Lando. - Ty albo ja, co uznasz za lepsze.

Zacisnął pasy ochronnej sieci i wyprostował się na fotelu. Zawsze był ciekaw, dlaczego smutek i przygnębienie kojarzyły mu się z barwą niebieską. Teraz wiedział. Pomyślał, że jeszcze trochę zalewania wnętrza sterowni takim blaskiem i zacznie się rozglądać za czymś ostrym, aby podciąć sobie żyły.

Nigdy nie wyobrażał sobie, że może istnieć aż tyle różnych odcieni niebieskiego i błękitnego. A jeden paskudniejszy od drugiego.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł, mistrzu - odparł mały android. - Jeżeli tu, w środku, wydarzy się coś złego, będziemy musieli się tym zająć obaj, żeby wszystko wróciło do normy. Możesz jednak spróbować porozumieć się z naszymi pasażerami. Po- Proś kogoś, by powiedział ci, jak wygląda sytuacja w innych miejscach statku.

- To doskonały pomysł - ucieszył się hazardzista, wciskając guzik interkomu. - Hej, czy jest tam kto? Czy mnie słyszycie? Chcemy się tylko dowiedzieć, czy wciąż jeszcze macie powietrze, oświetlenie i ogrzewanie. Hej? Czy ktoś mnie słyszy? Bassi? Fybocie?

Szumy i trzaski zakłóceń, jakie wydobywały się z głośnika urządzenia, nie pozwalały usłyszeć żadnego słowa. Lando popatrzył na Vuffiego Raa i wzruszył ramionami. Przyrządy wskazywały, że j w świetlicy nie dzieje się nic złego, podobnie jak w pozostałych pomieszczeniach frachtowca. Inne czujniki dowodziły jednak, że w tej chwili statek leci po spirali. Wirując, pogrąża się w bezdenną czeluść, jakby pokonywał kolejne poziomy kosmicznego korkociągu.

Wszystko w sterowni wyglądało jak pomalowane niebieską farbą. Lando poczuł, że po jego policzku spływa łza. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna pomyślał o psie, który był kiedyś jego wiernym towarzyszem. Został przejechany przez jakiś rozpędzony poduszkowiec.

Bassi Vobah odnosiła wrażenie, że wszystkie wnętrzości jej ciała są zielone albo przynajmniej zielonkawe.

Tak naprawdę wydawało się jej, że zielone jest także całe ciało. Mające barwę wiosennych liści światło, nie przestając bombardować iluminatorów „Sokoła”, przenikało ją do szpiku kości. Barwiło go i chyba wszystkie wytwarzane krwinki także na zielono.

To przecież nie miało sensu. N i c nie miało sensu i to niepokoiło młodą policjantkę bardziej niż dziwne światło czy promieniowanie. Uważała się za osobę zrównoważoną. Zawsze przestrzegała reguł i norm postępowania. Starła się kierować rozumem i postępować uczciwie. Służyła społeczeństwu, a jej zadanie polegało na pilnowaniu, by obywatele zachowywali porządek i szanowali prawo.

A teraz, co się z nią dzieło? Przenikliwe zielone promieniowanie wyprawiało z jej mózgiem dziwne harce. Bassi Vobah widziała, jak bije jej zielone serce. Obserwowała, jak - we wnętrzu jej ciała - zielone mięśnie włączają zieloną krew do jaskrawozielonych żył i organów. Później szarozielona krew powracała, żeby utlenić się w przypominających gąbczastą masę zielonych płucach.

Wykorzystując w tym celu mikroskopijne, przezroczyste, ale zdecydowanie jasnozielone pęcherzyki tlenu.

Vuffi Raa zbadał, jedną po drugiej, wszystkie macki. Odbijały jaskrawożółte światło, padające z umieszczonego nad głowami pilotów baldachimu, dzięki czemu sprawiały wrażenie sporządzonych ze szczerzego złota. Android wiedział, że od samego początku miały srebrzystą barwę. Teraz jednak był złocistym androidem. Wszystkie przeguby lśniły jak prawdziwe złoto. Musiał przyznać, że mu się to podobało.

Przerywany sygnał, jaki wydobył się z kontrolnego pulpitu, bez wątpienia oznaczał, że oszalała następna grupa czujników i mierników. Nie kryjąc rozdrażnienia, Vuffi Raa wszystkie wyłączył, a później powrócił do sprawiającego mu wielką radość podziwiania wypolerowanego na wysoki połysk metalowego ciała. Pomyślał, że kiedy to wszystko się zakończy, może pozwoli pokryć je złotymi łuskami. Rzecz jasna, gustownymi i absolutnie nie rzucającymi się w oczy. Ciekawe, jak też będzie wyglądała taka powłoka w porównaniu z ogromnym rubinowym okiem? Doszedł do wniosku, że bardzo ładnie.

Na pulpicie konsolety zaczęła mrugać jakaś bursztynowa lampka. Jej barwa nie pasowała jednak do wpadającego przez szyby iluminatora złocistego blasku, a więc android machnął kończyną i ją wyłączył. Rozległ się cichy trzask i syk... niech to licha, na samym końcu giętkiej macki pojawiła się sadza! Vuffi Raa rozejrzał się, szukając czegoś, czym mógłby ją usunąć z lśniącej powierzchni. Znalazł chusteczkę, poręcznie wsuniętą pod płytę kontrolnego pulpitu. Wyciągnął ją i zaczął wycierać łagodnie zaokrąglony szpic kończyny. Musiała być idealnie czysta, gdyż w przeciwnym razie plama mogłaby rozprzestrzenić się na całą powierzchnię, a to byłoby coś potwornego!

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, wyciągnął inną mackę i pochylił się nad pulpitem, aby wyłączyć kilka następnych urządzeń i wskaźników. Nagle uświadomił sobie, że z

błyszczącej płyty spogląda na niego inna żółtawo- różowawa istota, wyglądająca jak rozgwiazda i mająca także tylko jedno oko! Paskudne szkaradzieństwo! Jakim cudem, u licha...

- Vuffi Raa! Jak ci się wydaje, co właściwie robisz, stary cybernauto?

- Jak mnie nazwałeś, ty...

- Vuffi Raa, posłuchaj! Przed chwilą zniszczyłeś mikrofon interkomu i zamierzałeś wyłączyć urządzenia, sterujące pracą systemów uzdatniania powietrza i wody. Weź się w garść, androidzie! Co ci się stało?

Z widocznym wysiłkiem, Vuffi Raa powrócił do stanu, który można było uznać za normalny.

- Daję słowo, mistrzu, że jest mi strasznie przykro! Zapewne to promieniowanie tak działa na moje podzespoły! Nie wiem, jak temu zaradzić. Z trudem mogę zebrać myśli. Czy nie lubiłbyś mnie bardziej, gdybym kazał się pokryć złotymi łuskami? A może jesteś zdania, że coś takiego za bardzo rzucałoby się w oczy?

Zdumiony Lando nie wiedział, co odpowiedzieć. Przez chwilę tylko spoglądał na przyjaciela.

- Może mógłbyś na jakiś czas się wyłączyć? - zapytał, kiedy w końcu przyszedł do siebie.

- Gdybyś odłączył macki, zamknąłbym cię w sejfie... wiesz, tym zainstalowanym pod pulpitem, gdzie chowam cygara. Jak ci się wydaje, czy to by coś pomogło?

- Ehm.. .Co takiego? Co właściwie mi proponujesz, ty organiczny ślimaku, ty ślepa, błędząca po omacku gąsienico, ty zasmarkany, wiecznie biadolący, naszpikowany węglowodorami... jauć!

Jednym gwałtownym ruchem Lando zrzucił androida z fotela pilota i nie zwracając uwagi na wijące się macki, wepchnął pięcioboczny tors do wnętrza sejfu.

- Mam nadzieję, stary liczniku Geigera, że później docenisz to, co dla ciebie robię - powiedział. - Zniszczyłem cały zapas doskonałych cygar. Rozgniotłem je na... Vuffi Raa, nic ci się nie stało?

Zamroczony, ale przytomniejący robot przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

- Chyba nie, mistrzu. Czyżbym naprawdę obrzucił cię tymi wszystkimi wyzwiskami?

Ciężki, zabytkowy sejf- wykonany z najprawdziwszej hartowanej stali i pozostawiony w sterowni przez poprzedniego właściciela „Sokoła” - otaczał metalowe ciało małego androida ze wszystkich stron z wyjątkiem jednej, dzięki czemu skutecznie chronił go przed niebezpiecznym promieniowaniem. Lando zamknął drzwiczki na tyle, na ile mógł i na ile pozwalały mu wystające końcówki macek. Kiedy uświadomił sobie, co zrobił, dyskretnie zachichotał.

- Chyba to pierwszy bunt, jakiego się dopuściłeś, odkąd się znamy - powiedział. - Muszę przyznać, że byłem zaskoczony, ale nie twierdzę, że mi się to nie podobało... tylko niech ci to nie wejdzie w nawyk. I nie nazywaj mnie mistrzem!

- Mistrzu, wciąż jeszcze odczuwam skutki tego promieniowania. Czy przez jakiś czas nie dałbyś sobie rady bez mojego towarzystwa? Zamierzam odłączyć manipulatory i poprosić cię, żebyś zamknął drzwi do końca. Jest mi niewymownie przykro, ale...

- Nie przejmuj się tym i niech cię o nic głowa nie boli. Jasne, zatroszczę się o twoje macki. Zamykam drzwi. Śpij spokojnie. Kolorowych snów. Obudzę cię, kiedy to wszystko się zakończy.

Zatrzasnął drzwiczki sejfu i nagle poczuł się samotny. Ostrożnie umieścił kończyny małego androida na siedzeniu fotela pilota, a później nawet przypiął je, aby nie spadły. Popatrzył na mierniki i przyrządy, ale doszedł do wniosku, że nic nie może poradzić na to, jak się zachowują. Usiadł wygodnie na swoim fotelu. Przez chwilę żałował, że jednak nie zapalił cygara.

Waywa Fybot nagle drgnął i obudził się. Odnosił przedziwne wrażenie, że jest w domu. Skądś padało znajome pomarańczowe światło. Cały świat sprawiał wrażenie lepszego i wyglądał lepiej niż wówczas, kiedy przed kilkoma dziesiątkami lat opuszczał rodzimą planetę, żeby wstąpić do policji.

Ależ tak! To było miasto, w którym się urodził. Urocze miejsce - nie za duże, ale i nie na tyle małe, żeby nie miało wszystkich wygod, jakich może zapragnąć cywilizowana istota. Widział je coraz lepiej, jakby chwiało się na samym horyzoncie, oświetlone jaskrawym blaskiem promieni słońca. Nie przestawał się zbliżać...

Tyle czasu spędził, samotny jak piórko pośród tych dziwacznych obcych istot, obdarzonych zupełnie inną budową ciała. Dokądkolwiek się udawał, słyszał dowcipy albo złośliwe uwagi, których tematem bywały z reguły ptaki. Cóż miał poradzić na to, że prapraprzodkami istot jego rasy były ptaki? Mógł być tylko z tego dumny.

Załował tylko, że gdzieś po drodze, na jakimś etapie rozwoju, jego przodkowie stracili umiejętność...

... A to co takiego? Leciał! Zerknął w prawo i w lewo, co upewniło go, że naprawdę jego ręce wydłużyły się, pogrubily i wzmocniły. No cóż, mimo wszystko, umiejętność latania została zapisana w genach... a przynajmniej taką miał nadzieję. Pomyślał, że potrzebne było tylko przypomnienie. Obróciwszy ciało w locie, ostro skrzył w prawo. Bardzo mu się to spodobało. Pragnąc lecieć w poprzednim kierunku, skrzył równie ostro w lewo. Już wkrótce szybował nad dachami pierwszych domów miasta. Kierował się ku miejscu, gdzie się wykuł - zwieńczonemu strzechą sporemu budynkowi o betonowych ścianach, wzmocnionych stalowymi belkami. Z daleka zauważył, że dach pokryto na nowo, używając w tym celu najprawdziwszej słomy. Widocznie jego najbliższym na niczym nie zbywało. Nie na próżno posyłał im czeeki przez te wszystkie lata. Wiedzieli, jak zrobić z nich użytek!

Przeleciał nad płotem i wylądował na trawniku. Silne skrzydła wzbudziły podmuch powietrza, który zakołysał żdźbłami trawy i wystraszył żyjące pośród nich insekty. Protestując, stworzenia zaczęły wydawać piskliwe jęki. Rzecz jasna, na trawniku żyło ich tysiące. Szeleszcząc odnóżami, biegały we wszystkie strony pomiędzy gęsto rosnącymi karmazynowymi łodygami.

Waywa Fybot otworzył drzwi i wszedł do domu.

„Sokół Milenium” raz po raz zmieniał kierunek lotu o dziewięćdziesiąt stopni, miotany kolejnymi falami Ogniwichru, które zmieniały barwę z pomarańczowej na czerwoną. Tym razem Lando zauważył, kiedy to się stało. Miał wrażenie, że przyłapał Ogniwicher na gorącym uczynku. Mrugał, ilekroć obok kadłuba statku przelatowały oślepiające, krzaczaste błękitnobiałe błyskawice.

Dochodził do przekonania, że trajektoria lotu frachtowca przypomina nie kończący się ciąg trójkątów. Walczył z chęcią przejęcia kontroli nad sterami. Wyglądało na to, że kolejna zmiana kolorów wirujących gazów spowodowała następną zmianę kształtu trajektorii lotu - z trójkątów na coś trudnego do opisu, co przypomniałoby o ból głowy nawet najbardziej doświadczonemu wypiekaczowi precli. Niech mnie licho - pomyślał hazardzista.

- Lecimy po wewnętrznej płaszczyźnie butelki Kleina.

W każdym razie tak mu się wydawało.

Upewnił się jednak, że statek leci prawidłowym kursem - a może postanowił w końcu zaufać pokładowemu komputerowi. W pewnej chwili pochylił się i zbliżył głowę do drzwiček sejfu.

- Vuffi Raa?

- Słucham, mistrzu? - odparł pokornie mały robot. Jego cichy głos, stłumiony przez grubą metalową płytę, tylko z trudem przebijął się przez nieustanne wycie Ogniwichru.

- Jak się czujesz?

- Dobrze - odparła metalowa skrzynia. - A ty? Jak dajesz sobie radę?

- Bawię się doskonale. Żałuję, że nie mogę mieć cię u swojego boku. Ja... na miłość całej galaktyki! Zaczekaj! Odezwę się do ciebie, jeżeli przeżyjemy!

W przestworzach, prosto przed dziobem „Sokoła”, unosiło się coś, co wyglądało jak senny koszmar. W przeciwieństwie do niego, istniało naprawdę. Miało jakieś pół kilometra średnicy i wyłoniło się z niesamowitej, jarzącej się złowieszczym czerwonym blaskiem mgiełki, niczym niesamowity pająk, poruszający zbyt wieloma odnóżami.

Przypominało silnik gwiazdnego statku, połączony z wieloma przestarzałymi jednomiejscowymi myśliwcami. Lando z przerażeniem obserwował, jak niewielkie maszyny, jedna po drugiej, odłączają się i kierują ku jego statkowi. Zauważył, że z luf działek tryskają smugi śmiertelnych strzałów.

To nie były automaty, zdalnie sterowane z pokładu pirackiego statku. Za sterami tych maszyn siedziały żywe istoty.

Rwały się do walki. Zamierzały go zabić.

ROZDZIAŁ XI

Powoli, ale nieubłaganie, przypadkowa, pstrokata zbieranina myśliwców zbliżała się do „Sokoła Milenium”. Niewielki, zmodyfikowany frachtowiec, którego czujniki i wskaźniki oszalały, leciał z góry określonym kursem, wskutek czego był całkowicie bezbronny. Nie wahając się ani chwili, Lando wyciągnął rękę w stronę kontrolnych pulpity. Pchnął dźwignie kilkunastu przełączników i wyłączył sztuczne ciężenie oraz inercyjne strefy tłumiące. Kiedy wcisnął główny klawisz, aby wyłączyć komputer i samemu przejąć kontrolę nad sterami, nie zamocowane drobiazgi uniosły się w powietrze i zawirowały jak w szaleńczym tańcu.

Niczego nie widział - zwłaszcza że wskazania mierników i kontrolne lampki zachowywały się w taki, a nie inny sposób — ale wszystko odczuwał. Mógł pilotować statek, kierując się informacjami przekazywanymi przez mięśnie. Przestało liczyć się to, czy dotrą do celu. W tej chwili ważne było tylko jedno: jak przeżyć.

Para myśliwców, plując ognistymi smugami laserowych strzałów, śmignęła nad kadłubem frachtowca. Energetyczne osłony statku rozjarzyły się i zamigotały, a później pochłonęły energię strzałów i przekazały do reaktora. Rzecz jasna, tylko pewna określona ilość energii mogła zostać pochłonięta w taki sposób. Przekroczenie tej granicy zapewne wywołałoby eksplozję reaktora, która rozpyliłaby na atomy nie tylko statek, ale i wszystko w promieniu tysiąca kilometrów. Na razie jednak każdy nieskuteczny strzał powiększał zasoby energetyczne silników „Sokoła Milenium”.

Powiększyła też zasoby jego działek.

Pragnąc uniknąć trafienia przez błyskawice, jakie wyskoczyły z luf działek następnych maszyn, Lando obrócił statek wokół osi. Trzasnął otwartą dłoń w przycisk interkomu.

- Bassi Vobah, postaraj się dotrzeć do stanowiska sterburtowych działek! Chciałbym, żeby ktoś zajął się strzelaniem!

Odpowiedziała mu głucha cisza.

Lando wprowadził statek w lot nurkowy i przez jakiś czas nie zmieniał kursu, ale później wyrównał - tak niespodziewanie, że cztery inne myśliwce, których piloci nie przewidzieli tego manewru, bezradnie poszybowały w przestworza. Dopiero wówczas hazardzista przypomniał sobie, że Vuffi Raa, poddając się przez jakiś czas frustracji, uszkodził, a może nawet zniszczył mikrofon interkomu. Młodzieniec był zatem zdany tylko na własne

siły - po raz pierwszy, odkąd stał się właścicielem małego robota.

Pomyślał, że nie bardzo mu się to podoba.

Na szczęście mógł, nie opuszczając sterowni, kierować ogniem dwóch mniejszych działek, zainstalowanych w górnej części kadłuba. Zaczął gorączkowo wystukiwać odpowiednie polecenia, aż uzyskał możliwość celowania i kierowania ogniem za pomocą dwóch pomocniczych pedałów umieszczonych pod kontrolną konsolę. Zmienił kurs tak raptownie, że po raz pierwszy odczuł skutki zwiększonego przyspieszenia, które wypchnęło chyba całą krew do najdalszych zakątków ciała. Po chwili zaczął przyciskać pedały, mierząc do trzech nieprzyjacielskich maszyn, przelatujących w pobliżu kadłuba. Nie wyrządził im żadnej krzywdy. Albo chybił, zajęty pilotowaniem statku, albo nie dysponował wystarczającą mocą, żeby jego strzały odniosły skutek. Miał wrażenie, że przeżywa jakiś koszmar, w którym strzela do złoćnicy, a ten nie zamierza się poddawać.

Pięć czy sześć myśliwców zaatakowało „Sokoła Milenium” z góry i od strony rufy. Laserowe błyskawice raz po raz lądowały na górnej części kadłuba. Statek trząsł się i drżał jak w febrze. Lando tylko z trudem panował nad sterami. Zaczekał, aż myśliwce przelecą i frachtowiec się uspokoi, po czym posłał w ślad za odlatującymi maszynami kilka serii strzałów. Bez skutku. Czując, że zaczyna tracić cierpliwość, zatoczył ciasny łuk, ale kiedy wyrównał lot, stwierdził, że widzi co najmniej kilkanaście kierujących się ku niemu szybkich i zwrotnych nieprzyjacielskich maszyn.

Odnalazł dowódcę, po czym nakierował na jego maszynę krzyż celowniczy, a kiedy cel znieruchomiał, przycisnął równocześnie oba pedały. Mimo iż pilot maszyny wykonywał uniki, Lando zmieniał położenie luf działek i nie przestawał przyciskać pedałów. Nagle dziobowa osłona myśliwca przeciwnika zniknęła, jakby nigdy nie istniała. Maszyna stanęła w ogniu i eksplodowała, a tysiące ognistych szczątków trafiło w deflektory „Sokoła” i myśliwce innych napastników. Jedną z niewielkich maszyn zboczyła z kursu i ciągnąc warkocz szybko rozpraszającego się dymu, odleciała. Z jej silnika co chwila sypały się iskry. Dwa myśliwce za jednym strzałem - pomyślał hazardzista. - Całkiem nieźle, mimo iż dokonanie tej sztuki zajęło mi sporo czasu.

Nagle „Sokół” zakołysał się, jakby pchnięty od dołu dłonią niewidzialnego olbrzyma. Chwilę później, kiedy Lando zmniejszył siłę ciągu, statek uspokoił się i wyrównał lot. Widocznie coś potężnego trafiło w okolice rampy - miejsce, od dawna stanowiące jeden z najwrażliwszych punktów. Hazardzista zatoczył łagodny łuk, a później obrócił kadłub wokół osi i włączył kamerę. Bez trudu zorientował się, o co chodzi. W spód frachtowca wbił się jakiś myśliwiec. Jego kadłub, wyglądający teraz jak złożony miech harmonii, właśnie się odrywał. Ze zniszczonego silnika strzelały płomienie.

Taranowanie? W tym stuleciu?

Nieprzyjacielscy piloci musieli być doprowadzeni do rozpacz.

I z pewnością nie byli piratami - pomyślał Calrissian, nabierając większej wysokości, by mieć szersze pole manewru i lepszą pozycję do strzelania. Taranowanie już dawno przestało odnosić pożądane skutki. Czyżby zatem nieprzyjacielska maszyna była bombowcem? Mężczyzna, którego zabił na Oseonie Sześć Tysięcy Osiemset Czterdzieści Pięć, wyglądał jak pilot. Czyżby właśnie dlatego musiał teraz toczyć walkę z całą eskadrą jego towarzyszy?

„Sokół” znów się szarpnął. Tym razem przyrzady - przynajmniej te, którym można było zaufać - wskazywały, że lawina nieprzyjacielskich strzałów skupia się w okolicach miejsca kadłuba, w które wbił się myśliwiec. Lando obrócił statek wokół osi, ale w następnej chwili poczuł, że jest atakowany przez inną grupę napastników. Pomyślał, że jego sytuacja staje się poważna.

No cóż, nie miał nikogo, kto mógłby mu pomóc, a podjęcie walki z tak licznym i ruchliwym przeciwnikiem skazywało statek na pewną zagładę. Nie dysponował innym, na którego pokład mógłby się przesiąść. Spróbował ocenić sytuację. Maszyny przeciwników były szybkie i zwinniejsze - z pewnością bardziej zwrotne niż frachtowiec. Ale zapewne nie tak szybkie - zwłaszcza kiedy chodziło o lot po linii prostej. Licząc na to, że nie stracił orientacji w przestworzach, hazardzista wyprowadził statek z pętli i obrócił o dwieście siedemdziesiąt stopni w taki sposób, żeby lecieć równolegle do ekliptyki Oseona, a potem przesunął dźwignie przepust- nic do oporu. Już dalej się nie dało.

Z dysz silników napędu podświetlnego strzelił blask, który na chwilę zaćmił nawet fajerwerki Ogniwichru. Odległość dzieląca, frachtowiec od napastników zaczęła szybko się powiększać. Po kilkunastu sekundach statek - przynajmniej z punktu widzenia nieprzyjacielskich pilotów - rozplynął się w różnobarwnej mgiełce.

Lando wiedział, że jego wrogowie - bez względu na to, kim są, niech ich licha! - natychmiast rzucą się w pościg. Dysponowali przecież gigantyczną jednostką napędową, wymontowaną z kadłuba jakiegoś zabytkowego okrętu, i posługiwali się nią jak wspólnym urządzeniem pomocniczym. Musiał wymyślić coś mądrego. I to szybko.

Zwrócił uwagę na to, że intensywność Ogniwichru na chwilę osłabła. Wyleciał z Szóstego Pasa, gdzie rozpoczął wyprawę, i pokonywał odległość dzielącą go od Piątego, którego stanowił cel podróży.

A może kierował się nie do Piątego, a do Siódmego? Nigdy nie ufał swojemu talentowi nawigatora, nawet w normalnych sytuacjach. Cóż więc miał powiedzieć teraz, kiedy musiał pilotować statek w takich warunkach?

Nie, jednak kierował się w stronę kapryśnego słońca systemu Oseona. Wyciągnął rękę i włączył zestaw mierników. Na ekranach widział ciągle coś, co przypominało sieczkę albo kaszę, ale niemal na kursie, chociaż trochę po stronie sterburty, ukazała się cała gromada asteroid. Miały nieregularne kształty i chociaż stanowiły część pasa, można było się zorientować, że lecą w przestworzach indywidualnym kursem. Lando natychmiast skierował dziób statku w ich stronę.

Zanim wyłączył przyrządy, dostrzegł na jednym z ekranów całą flotę goniących „Sokoła” małych maszyn.

Główny ekran pokazywał gromadę ponad pięćdziesięciu asteroid. Gołym okiem było widać pięćdziesiąt innych - niewielkich, mających na ogół nie więcej niż kilka kilometrów średnicy i lecących w przestworzach bardzo blisko siebie. Lando postanowił zaryzykować. Obrął kurs na najliczniejszą grupę i leciał dopóty, dopóki nie ujrzał czegoś w rodzaju cudu.

Bez względu na to, czy była nim jedna skalna bryła, trafiona przez coś i nie do końca rozszczepiona na dwie części, czy też dwa mniejsze skalne okruchy, które połączyły się, ale nie całkiem stopiły - pośrodku jednej z asteroid widniała głęboka rozpadlina. Długa na siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt kilometrów, za to w najszerszym miejscu miała najwyższy dwadzieścia metrów.

Wykorzystując wszystkie środki, jakie pozostawały mu do dyspozycji, Lando obrócił statek w taki sposób, że „Sokół Milenium” leciał pionowo. Jego pilot nie przejmował się tym, że mając wyłączone inercyjne strefy tłumiące, może rozsmarować pasażerów po ścianach niczym marmoladę. Skierował dziób frachtowca ku szczelinie tak, by wlecieć pod kątem prostym do powierzchni podwójnej asteroidy. W ostatniej sekundzie wyłączył wszystko, co miał na pokładzie. „Sokół Milenium” znieruchomiał, ukryty głęboko w czeluści rozpadliny.

Lando dostrzegł przez bakburtowe iluminatory sylwetki kilkunastu nieprzyjacielskich myśliwców. Maszyny przeleciały obok szczeliny, jakby piloci nie zauważyli jego kryjówki.

Przesyłając do silników manewrowych niewielkie, starannie odmierzone ilości energii, hazardzista osadził „Sokoła” lekko jak piórko. Lufy działek, którymi mógł manewrować, wymierzył w wycinek nieba. Do jaskini wpadała ponura, trupioblada poświata Ogniwichru, podobna do blasku upiornych, odległych fajerwerków.

Właśnie wtedy Lando zwrócił uwagę na przyrządy i mierniki.

Sprawdził ich wskazania, jednego po drugim, i stwierdził, że znów prawie wszystkie pokazują wiarygodne wartości. Domyślił się, że asteroida, wewnątrz której się ukrywał, zawierała głównie związki żelaza i niklu. Dzięki temu stanowiła coś w rodzaju ekranu i chroniła przed skutkami promieniowania. Ochrona nie była wprawdzie idealna, ale z jej niedoskonałościami umiały poradzić sobie elektroniczne urządzenia pokładowe „Sokoła”.

Lando zanurkował pod kontrolną konsolę, zbliżył głowę do drzwiczek sejfu i powiedział tak głośno i wyraźnie, jak potrafił:

- Vuffi Raa, możesz stamtąd wychodzić! Przerwa na kofeinę się skończyła!

Z uwagi na okoliczności, ponowne dołączenie macek do pięciobocznego torsu robota okazało się niełatwe. Giętkie metalowe węże były bardzo skomplikowanymi mechanizmami. Pod względem funkcjonalnym dorównywały wyspecjalizowanym androidom, które na wielu innych światach kierowały pojazdami albo pisały artykuły do miejscowych gazet. Mimo iż unieruchomione, otrzymały sporą dawkę promieniowania, a więc po ponownym dołączeniu do torsu właściciela musiały poświęcić kilka godzin na osiągnięcie stanu całkowitej sprawności.

Lando pozostawił Vuffiego Raa w sterowni i polecił, żeby mały android wypatrywał zabłąkanych myśliwców nieprzyjaciela, a sam udał się korytarzem do świetlicy.

Kiedy tam dotarł, przekonał się, że panuje w niej całkowity chaos.

Pomieszczenie wyglądało, jakby przebiegło przez nie spłoszone stado ogromnych dzikich zwierząt. Kiedy Lando zlikwidował sztuczne ciężenie, wszystkie przedmioty, które nie zostały zamocowane, uniosły się w powietrze. Wyłączenie inercyjnych stref tłumiących sprawiło, że przy każdej nagłej zmianie kierunku lotu przynajmniej raz obily się o przedmioty przymocowane na stałe. Możliwe nawet, że kilka razy.

Stwierdzenie to dotyczyło również Bassi Vobah i Waywy Fybota.

Z sufitu i ścian zwieszały się końce wyrwanych kabli. Niewielkie meble wylądowały w najmniej prawdopodobnych miejscach. Leżąca na płytach pokładu młoda policjantka właśnie zaczynała się poruszać. Głośno jęknęła, po czym wsparła się na łokciu i pokręciła głową.

- Co się stało? - zapytała. - Gdzie jesteśmy?

- Dwa bardzo dobre pytania - odrzekł kapitan statku. - Zostaliśmy zaatakowani - nie mam pojęcia, przez kogo ani dlaczego — ale uciekliśmy. Nie wiem, dokąd. Czy nic ci się nie stało?

Podszedł do kobiety, pochylił się i pomógł jej usiąść. Funkcjonariuszka, z trudem oddychając, pobieżnie zbadała, czy nie odniosła poważniejszych obrażeń.

- Chyba nic nie jest złamane - oznajmiła niepewnie po kilku chwilach. - To prawdziwy cud, zważywszy na stan, w jakim znajduje się to pomieszczenie. Och, moja głowa!

- Nie martw się, w najbliższym czasie nie wybierasz się z wizytą do nikogo. To ja, Lando Calrissian, czyniący cuda na zamówienie. Zostań tu, a ja zobaczę, jak się miewa nasz upierzony przyjaciel.

Wyprostował się i przeskakując nad szczątkami urządzeń i mebli, podszedł do Waywy Fybota. Stwierdził jednak, że podobna do ptaka istota nie miała tyle szczęścia. Kości obu nóg zostały złamane, dokładnie w tych samym miejscach, co pozwalało się domyślać, że zetknęły się z metalową poprzeczką stojaka. Widocznie projektanci urządzenia

nie przewidzieli, że użytkownik zostanie poddany działaniu dużych przyspieszeń w pomieszczeniu o zerowej sile ciężenia.

Mimo to na obliczu gigantycznego ptaka malowała się błogość - rzecz jasna, o ile Lando mógł polegać na własnej interpretacji wyrazów twarzy istot jego rasy. Nagle hazardzista wyczuł, że ktoś stanął u jego boku. Stwierdził, że Bassi Vobah pozbierała się z podłogi i także przeszła w przeciwną stronę pomieszczenia. Stała trochę niepewnie, ale nie opierała ciężaru ciała na niczym ani na nikim.

Lando pomyślał, że darzy ją za to większą sympatią niż do tej pory. Ale tylko trochę większą.

- Co się stało funkcjonariuszowi Fybotowi? - zapytała. - I dlaczego, na miłość Wiekuistego, tak idiotycznie się uśmiecha?

- Zapewne wstrząs - wyjaśnił Calrissian. - Twój partner połamał sobie nogi - a raczej, to ja mu je połamałem. Mimo to, zważywszy na okoliczności, nie mógłbym powiedzieć, że odczuwam wyrzuty sumienia. Szkoda tylko, że nie mam pojęcia, co robić, aby przekonać się, czy nie odniósł innych obrażeń. Nie wiem, w których miejscach powinno się zginać jego ciało, nie mówiąc już o tych, w których nie powinno.

Niespodziewanie Bassi Vobah dostała ataku hysterii i Lando musiał odjąć kilka punktów z tych, które przedtem jej przydzielił.

- Zrób coś! - wrzasnęła. - Nie możemy dopuścić, żeby tak leżał!

Calrissian pokręcił głową.

- Właśnie to uczynimy - oznajmił rzeczowo. - Zaraz po tym, jak unieruchomię jego połamane nogi. Uważam, że nie powinniśmy go nigdzie przenosić.

Podobna do ptaka istota nagle usiadła i otworzyła ogromne błękitne oczy. Nie kryjąc zachwyty, powiedziała:

- Z przyjemnością poczęstuję się jeszcze jedną stonogą, mamó. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

ROZDZIAŁ XII

- A ta jest warta minus osiemnaście punktów. Czy na razie wszystko rozumiesz? - zapytał mały android.

O wiele wyższy od niego Waywa Fybot kiwnął głową. Wielki ptak siedział w świetlicy przy stole, ale starając się przyjąć jak naj- wygodniejszą pozycję, nieustannie wiercił się i kręcił.

Lando uniósł głowę znad osłoniętej tacy, umożliwiającej spożywanie posiłków w pomieszczeniach o zerowej sile ciężenia. Zachichotał, zastanawiając się, kto kogo oskubie, kiedy w końcu Waywa Fybot i Vuffi Raa skończą wyjaśniać sobie wszystkie zawiłości gry w sabaka. Dosłowność, z jaką traktował wszystko mały robot, stawiała go w nieco gorszej sytuacji. Z drugiej strony, Waywę Fyбота wciąż jeszcze zaprzątały myśli o odniesionych obrażeniach i o tym, co przeżył w ulewie promieniowania Ogniowichru.

Unieruchomienie złamanych kości nóg funkcjonariusza urzędu do spraw walki z handlem narkotykami okazało się łatwiejsze, niż początkowo przypuszczano. Lando wykorzystał do tego celu sporządzone z dzwoniącego drewna wędki, które w końcu do czegoś się przydały. Nie sprzedał wszystkich, kiedy przebywał w systemie Diloneksy. Nadal miał kilka wiązek, złożonych w kącie jednej z prowizorycznych ładowni.

No cóż, ich przygoda mogła zakończyć się o wiele gorzej.

Mogli stracić życie.

Lando znów uniósł głowę znad swojej tacy. Uśmiechnął się do Bassi Vobah, a widząc,

że i ona się uśmiecha, odpowiedział jej Porozumiewawczym mrugnięciem. Policjantka także pożywiała się tym, co miała na osłoniętej tacy. Mimo iż w pomieszczeniu nie odczuwało się ciężenia, oboje spędzili prawie godzinę, zanim zdołali ułożyć ciało ptaka w taki sposób, żeby opatrzyć połamane nogi. Później zaś - całkiem niespodziewanie - okazało się, że muszą zrobić milion innych rzeczy, wskutek czego dopiero przed kilkoma chwilami mogli pomyśleć o zjedzeniu jakiegokolwiek posiłku.

Przed wszystkim musieli zająć się samym „Sokołem”.

Rozpaczliwa ucieczka przez obszar objęty oddziaływaniem Ogniowichru nie pozostała bez wpływu na stan kadłuba - podobnie jak walka z zabłąkanymi myśliwcami. Lando do tej pory nie wiedział, kim, na galaktyczne Jądro, byli napastnicy ani dlaczego go zaatakowali. Budowa zmodyfikowanego frachtowca nie przewidywała wykonywania skomplikowanych akrobacji z wyłączonymi strefami tłumiącymi. Kadłub i szkielet konstrukcji musiały być poddawane gigantycznym napięciom.

W dodatku statek został trafiony, a nawet staranowany. Co prawda, sprawił to niewielki jednoosobowy myśliwiec, którego masa nie była na tyle duża, by wyrządzić statkowi szkody poważniejsze niż chwilowe przeciążenie dynamicznych pól siłowych. Rzecz jasna, wrogowi właśnie o to chodziło. Z uwagi na to, że frachtowiec przypominał stos sworzni i nitów, utrzymywanych w całości jedynie za pomocą elektromagnetyczno grawitacyjnych tandetnych sztuczek, ochronne pola w trudnych sytuacjach nie pozwalały „Sokołowi” się rozlecieć.

A jednak Lando czuł do statku sympatię, podobną do tej, jaką darzył swoją przyjaciółkę, córkę przemysłowca alkoholu.

- Mistrzu, wydaje mi się, że to powinno być jeszcze centymetr dalej w kierunku sterburty.

Vuffi Raa przebywał po wewnętrznej stronie kadłuba i oceniał skutki wyczerpującej pracy Calrissiana, mozolącego się po stronie przeciwnej. W powierzchni kadłuba, tuż pod rampą, w miejscu, gdzie wbił się nieprzyjacielski myśliwiec, widniało potężne wgłębienie - ale nic więcej. Lando roześmiał się do siebie. Jaka szkoda, że nie mógł widzieć twarzy tamtego pilota! Usunięcie uszkodzenia wymagałoby dokonania zabiegów natury mechanicznej. W tej chwili Lando nie mógł na to nic poradzić. Na szczęście nity nie puściły i żadne pomieszczenie nie uległo rozhermetyzowaniu. Rampa także funkcjonowała bez zarzutu, chociaż przy opuszczaniu pokładu statku trzeba było pamiętać o tym, by nie potknąć się o niewielkie wyrzuszenie. Najważniejsze było jednak ochronne pole. Lando przemieścił mikrobiegun o centymetr w prawo. Zaczekał, aż Vuffi Raa potwierdzi, że emiter znalazł się we właściwym miejscu, a później przynitował go do płyty poszycia. Nie rozumiał, dlaczego już dawno nie uczynili tego poprzedni właściciele „Sokoła”. Nie mogli przecież narzekać na brak części. Mieli ich pod dostatkiem w pokładowych magazynach. Możliwe, że po prostu im się nie chciało. Lando wiedział, że kiedy skończy pracę, skuteczna gęstość siłowego pola wzrośnie dwukrotnie, podobnie jak ilość mocy, pobieranej z silowni przez generatory. Może więc właśnie tu należało szukać odpowiedzi na to pytanie?

Lando pocił się, zamknięty we wnętrzu próżniowego skafandra. Stopniowo odczuwał coraz większy głód. Co gorsza, przebywanie w bardzo ciasnej zamkniętej przestrzeni, jaka utworzyła się między spodem kadłuba a ścianą rozpadliny asteroidy, zaczynało przyprawiać go o klaustrofobię. No cóż, nie mógł winić za to nikogo oprócz siebie. Wciskając statek w wąską szczelinę, ściał sześć czy siedem anten i czujników, które mogły funkcjonować jedynie wystając nad powierzchnię kadłuba.

Podejmując decyzję o lądowaniu, uwzględniał fakt, że i tak wszystkie te urządzenia nie działały z powodu szalejącego Ogniowichru. Pod uwagę brał także i to, że ścigało go dwadzieścia kilka nieprzyjacielskich myśliwców, których piloci chyba sprzyśnęli się, by

rozerwać „Sokoła” na strzępy.

Powoli zaczął wycofywać się z ciasnego miejsca.

- Przekonajmy się, jak wyglądają te wrażliwe miejsca w górnej części kadłuba — powiedział do mikrofonu komunikatora. - Wcześniej jednak wróć na pokład, by odpocząć. Obawiam się, że jestem trochę zmęczony.

Kiedy mały android odpowiedział, w jego głosie dało się wyczuć nutę współczucia.

- Mistrzu, gdyby to było możliwe, z przyjemnością znalazłbym się tam zamiast ciebie. Ja...

- Vuffi Raa, chociaż raz siedź cicho i pozwól, żeby ktoś inny odwalił całą czarną robotę. Jeżeli wyjdiesz na zewnątrz, to piekielne słońce znów zacznie smażyć twoje obwody mózgowe. Nie grozi ci to, dopóki pozostajesz w sterowni. Na szczęście jesteśmy chronieni przez asteroidę, ale nie całkowicie. Jeżeli chodzi o ciebie, powinienes mieć dodatkową osłonę, a tę zapewnia ci kadłub statku.

- To prawda, mistrzu. Mamy szczęście, że ta szczelina biegnie prostopadle do kierunku rozprzestrzeniania się Ogniwichru. Gdyby znalazła się pod chociaż trochę innym kątem, mogłaby stać się czymś w rodzaju dyszy albo falowodu, skupiającego energię...

- Tak, tak - przerwał mu Lando, który nie mógł powstrzymać się od wzdrygnięcia. - Mówisz, jakbym tego nie wiedział.

Musiał przyznać, że kiedy wlatywał „Sokołem Milenium” w głąb rozpadliny, nawet o tym nie pomyślał. Po prostu starał się znaleźć jak najdalej od ścigających go myśliwców. Lecił i strzelał, ale czynił to niemal instynktownie. Nawet teraz, gdy zastanawiał się nad tym, co zrobił, czuł wyraźnie, że po plecach przechodzą mu ciarki.

- No dobrze, właśnie się wygrzebałem - powiedział po chwili. - Możesz zaczynać kręcić kołem zamka śluzu. Odpocznę pięć minut, a potem znów wyjdę, żeby sprawdzić, co słychać na górze kadłuba.

Lando pomyślał, że czeka go niełatwe zadanie. Pocieszał się jednak, że kiedy skończy, cały statek i powierzchni jego pieczy pasażerowie - a także on sam — będą o wiele lepiej chronieni przed skutkami Ogniwichru niż do tej pory. I to bez ukrywania się we wnętrzu skalnej bryły i leczenia tam, dokąd zechce się skierować.

- Sabak! - krzyknął radośnie Vuffi Raa, pokazując karty przerażonemu i zdezorientowanemu ptakowi. — Widzisz, w tym przypadku obowiązuje szczególna reguła. Ilekroć będziesz miał Idiotę - już wiesz, że liczy się za zero punktów - a oprócz niego jakąkolwiek dwójkę i jakąkolwiek trójkę, automatycznie uzyskasz dwadzieścia trzy punkty.

Nie kryjąc rezygnacji, Waywa Fybot rzucił na blat stolika kilka żetonów kredytowych.

- Przecież to śmieszne - odparł nie mniej śmiesznym tonem. - To bez sensu. Dwójka i trójka dają w sumie pięć punktów, a nie dwadzieścia trzy. Tym bardziej że dodaje się do nich zero...

- I właśnie dlatego taką kombinację kart nazywa się idiotycznym układem - wtrącił się Lando. Pomyślał, że jeżeli wszystko będzie się dalej toczyć tak, jak do tej pory, sam będzie pilotował statek i pozwoli, żeby Vuffi Raa zajął się grą w sabaka. Otworzył jedną klapkę w swojej tacy i ugryzł ostatni kęs czegoś, co stanowiło jej zawartość, a potem wsunął opróżniony pojemnik do otworu urządzenia zajmującego się przerabianiem odpadków.

- Dlaczego nie zagrasz z nimi, Bassi? - zapytał, zwracając się do młodej policjantki. - Gra staje się o wiele ciekawsza, jeżeli uczestniczą w niej trzy osoby.

- Nie zagram w to już nigdy - odparła kobieta, ponuro kręcąc głową. - Do końca życia mam dość grania w sabaka. Upzejmie dziękuję-

- Mistrzu, czy byłoby z mojej strony czymś aroganckim, gdybym powiedział, że pilotowanie statku tego ranka szło ci całkiem sprawnie?

- Tylko wówczas, jeżeli nie przestaniesz nazywać mnie mistrzem.

Lando nie mógł być bardziej zachwycony tą skromną pochwałą swoich umiejętności. Pamiętał, że kiedy Vuffi Raa wziął go w swoje ręce — a raczej macki — był fatalnym pilotem. Teraz zaś, przynajmniej od czasu do czasu, odnosił wrażenie, że pilotowanie „Sokoła” stało się jego drugą naturą. Mały android był śmiertelnie przerażony, kiedy uświadomił sobie, jak zachowywał się, poddany działaniu nawałnicy niebezpiecznych cząstek. Prawdę mówiąc, trochę wstydził się tych chwil nieodpowiedzialnego zachowania. Lando uspokoił go jednak, tłumacząc, że nawet diament, poddany działaniu dużych sił przyłożonych pod odpowiednim kątem, pęka i rozpryskuje się na kawałki.

Lando przytwierdził następny mikrobiegun, tym razem na wierzchołku kadłuba „Sokoła”, a później przewędrował w inne miejsce. Nic dziwnego, że statek był taki wrażliwy — pomyślał ponuro. Kadłub miał co najmniej kilkanaście miejsc, gdzie ochronne pola nie zachodziły na siebie w odpowiedni sposób.

Pomagając sobie palcami lewej ręki, ostrożnie wyjął prawą dłoń z opancerzonej rękawicy kosmicznego skafandra, a później wyciągnął ją z rękawa. Przecisnął palce pod nasadą hełmu i otarł kroplę potu, która zaczynała zbierać się na czubku nosa. Pomyślał, że po tylu wiekach używania przez ludzi takich strojów, można byłoby się spodziewać, iż ktoś wymyśli...

Nagle na powierzchni, umieszczonej tuż pod jego brodą, zapaliło się czerwone światełko. Cóż, u licha, mogło oznaczać? Na wielkie Obrzeża! Termiczne przeciążenie! Groziło mu, że ugotuje się jak jajko! Lando rzucił okiem na lewy rękaw, gdzie usytuowano miniaturową tablicę, umożliwiającą zapoznanie się ze wskazaniami czujników. Wyglądało na to, że nie stało się nic złego. O co w tym wszystkim mogło chodzić? Włączył nadajnik osobistego komunikatora.

- Vuffi Raa, lepiej zacznij obracać kołem śluzy. Muszę wyskoczyć z tego skafandra. Dzieje się coś...

Nie uzyskał odpowiedzi.

- Vuffi Raa, słyszysz mnie? Nadal cisza.

Ponownie zerknął na wskazania czujników. Lampka, świadcząca o sprawności komunikatora, płonęła równym, silnym blaskiem. Hazardzista miał nadzieję, że jego małemu przyjacielowi nie przydarzyło się nic złego. Kłopot w tym, że właz górnej śluzy znajdował się na samym szczycie wierzchniej części kadłuba. Gdyby Vuffi Raa miał mu pomóc, musiałby opuścić dolne rejony statku, wspiąć się na najwyższy poziom i otworzyć klapę. On zaś, odziany w źle funkcjonujący skafander, powinien odbyć taką samą wędrówkę, tylko w odwrotnej kolejności i po zewnętrznej powierzchni kadłuba. Nie miał żadnej gwarancji, że zdąży, zanim ugotuje się, uwięziony w hermetycznie zamkniętej skorupie.

Vuffi Raa mógłby ocalić go dzięki temu, że pozwoliłby zaoszczędzić kilka drogocennych minut, niezbędnych na otwarcie klapy śluzy. Gdyby tylko go usłyszał!

- Kapitan do „Sokoła Milenium”. Czy mnie słyszysz? Cisza.

Lando usiadł i znieruchomiał. Zaczął intensywnie myśleć, jak wybrnąć z trudnej sytuacji. Odnosił wrażenie, że z każdą sekundą temperatura we wnętrzu skafandra staje się coraz wyższa.

Nagle skierował spojrzenie na pistoletową nitownicę, której nie wypuścił z dłoni, a potem przeniósł je na koło, umieszczone pośrodku klapy śluzy. Opierało się o skalną ścianę, wznoszącą się nad jego głową niczym czarny sufit. Pełznąc na czworakach, Lando cofnął się metr, a później uderzył nitownicą o metalową obręcz. Głośny brzęk, jaki rozległ się chyba we wszystkich pomieszczeniach „Sokoła”, zadźwięczał także we wnętrzu kosmicznego skafandra. Hazardzista uderzył po raz drugi. I trzeci.

Po kilku chwilach poczuł, że skafander przenosi inne, trochę słabsze dźwięki.

- Mistrzu, czy to ty tak hałasujesz? Nie mogę porozumieć się z tobą przez komunikator. Nie mając pewności, czy Vuffi Raa go usłyszy, Lando ponownie uderzył nitownicą w obręcz zamka śluzy. Tylko raz.

- Czy może masz jeszcze jakieś inne kłopoty oprócz wadliwie funkcjonującego komunikatora?

Brawo, Vuffi Raa - pomyślał hazardzista. - Zgaduj dalej. Brzdęk!

- Zaraz wyjdę na zewnątrz i sprawdzę, co... Brzdęk! Brzdęk!

- Ależ, mistrzu...

Brzdęk! Brzdęk!

Po kilku następnych minutach, kiedy Lando pocił się coraz bardziej, spod kadłuba statku wyłoniła się jakaś odziana w taki sam kosmiczny skafander postać, która zaczęła pełznąć w jego stronę. Kiedy Bassi Vobah - z nieodłączną blasterową armatą, przypiętą do uda pończochowego stroju - znieruchomiała u boku hazardzisty, zetknęła hełm z jego nakryciem głowy.

- Widzę, że trudno ci się pozbyć policyjnych przyzwyczajęń - odezwał się Lando, jeszcze zanim kobieta zdążyła otworzyć usta.

- Nie bądź śmieszny - odparła oschle. - Co się stało z twoim skafandrem?

Hazardzista potrząsnął głową, pragnąc strącić krople potu, które zalewały mu oczy. Rozprysnęły się we wnętrzu hełmu i poszybowały we wszystkie strony, wskutek czego na chwilę rozproszyły jego uwagę.

- Chyba jakaś usterka systemu krążenia chłodziwa - odparł po chwili. - Martwiłem się, co zjem na obiad. Teraz wygląda na to, że to ja będę obiadem.

- Och, nie gadaj głupstw! Odpręż się i leż nieruchomo. Wyciągnę cię stąd. Twój mały pięcioreki przyjaciel i funkcjonariusz Fy- bot już czekają na nas przy dolnym wlocie.

- Tylko nie to ptaszysko! - zaprotestował Calrissian. - Za często miewa wypadki!

- Powiedziałam ci, żebyś był cicho!

Kiedy oboje przeciskali się przez śluzę, Lando stwierdził, że jest bliski utraty przytomności. Mały android praktycznie zdarł hełm z jego głowy, przy okazji omal nie odrywając uszu. Podmuch świeżego powietrza, który hazardzista poczuł na twarzy, ochłodził go z siłą arktycznego huraganu.

- No cóż, jeszcze jedna przygoda - stwierdził, kiedy wszyscy troje rozebrali go do bielizny, a później wręczyli plastikowy pojemnik z wodą. - A ja zamierzałem tylko spędzić kilka dni w warunkach, w których absolutnie nic nie oddziaływałoby na moje zmysły. Czasami wszechświat lubi płać takie psikusy. Czy może któreś z was pomyślało o wrzuceniu czegoś do wnętrza urządzenia przygotowującego posiłki?

Bassi Vobah sapnęła z irytacją, ale po chwili, poruszając się niezgrabnie jak słońca, wypłynęła ze śluzy, w której także panowało zerowe ciążenie.

- Zaraz się tym zajmę - rzuciła przez ramię, zanim zniknęła. Wkrótce w jej ślady poszedł podobny do ptaka Waywa Fybot.

Kuśtykał nieporadnie, kiedy musiał pomagać sobie połamanyymi, ale unieruchomionymi w łóbkach i obandażowanymi kończynami. Vuffi Raa, zajęty drobiazgowym sprawdzaniem obwodów kosmicznego skafandra, skierował na swojego właściciela rubinowe oko.

- Mistrzu - odezwał się niepewnie i wyjątkowo cicho. - Czy zdejmowałeś ten strój, kiedy skończyłeś pracować na dole i powróciłeś na pokład, żeby odpocząć przed wyjściem na górę?

Lando unosił się nieruchomo obok klapy śluzy. Wyglądało to, jakby leżał na wznak na niewidzialnym materacu. Rozmyślał - ale tylko rozmyślał - o tym, czy nie powinien wstać i przejść do sterowni. Dotyk chłodnego metalu sprawiał mu prawdziwą ulgę.

- Musiałem - przyznał, mając nadzieję, że mały robot nie zmierza tam, dokąd Lando

obawiał się, że zmierza. - Konieczność natury fizjologicznej.

- A zatem to właśnie wtedy się stało, mistrzu - oznajmił android. - Ktoś zaprogramował komunikator w taki sposób, żeby funkcjonował jako system chłodzenia. Może ci się to wydać dziwne, ale gdybyś nadal starał się mnie wywoływać, nie zacząłbyś się piec jak na rożnie.

Lando pokręcił głową, a potem chwycił wspornik pokładu i z trudem przyjął pozycję siedzącą.

- To trochę niezrozumiałe, nawet jak na figiel - powiedział. - Jak myślisz, które z nich mogło mi go splatać?

- Bassi Vobah pomogła ocalić ci życie.

- Kiedy nie miała innego wyjścia - zauważył hazardzista. - Daj spokój. Chciałbym coś zapalić. Czy sądzisz, że skreśliłbym jakiegoś papierosa z jednego z tych pokruszonych cygar, które wciąż są w sejfie?

- Dlaczego miałbyś to robić, mistrzu?

- Ponieważ nie wiem, do czego jeszcze mogą mi się przydać.

Następną sprawą, którą trzeba było się zająć - po przygotowaniu czegoś do jedzenia

- okazało się ustalenie, gdzie się znajdują. Walka, jaką stoczył Lando z tajemniczą eskadrą myśliwców, zmusiła go do wykonywania wielu zwrotów i zmian kursu, a także pokonywania odległości, których nawet nie był w stanie zmierzyć. Korzystając z pomocy Vuffiego Raa, hazardzista spędził sporo czasu przed konsolą nawigacyjnego komputera. Starał się rozwiązać tę zagadkę.

- To urządzenie jest do niczego, mistrzu - stwierdził w końcu Vuffi Raa. - Wykończyło je promieniowanie. Muszę wyznać, że wskutek tego czuję się dziwnie nieswojo. Pomimo to gwiazdne katalogi pozwoliły mi na uzyskanie pewnej informacji. Ta asteroida nie jest wprawdzie zamieszkała, ale została skatalogowana.

Lando Calrissian, siedzący w sterowni „Sokoła” obok małego androida, ze zdumienia aż podskoczył i wyprostował się na fotelu pilota.

- Co takiego? - zapytał. - Czy to znaczy, że wiesz, gdzie się znajdujemy?

- Znam numer katalogowy i kilka innych szczegółów dotyczących asteroidy, na której - czy też w której - się ukrywamy. Nie mógłbym jednak dokładnie określić miejsca, gdzie ta bryła znajduje się w tej chwili. Znam wprawdzie parametry jej orbity, ale teraz wszystko w tym systemie zależy od wielu czynników, rzecz jasna, nie wyłączając siły ciężenia...

- Siły ciężenia?

- Oczywiście, mistrzu. Przewidywanie, w jakim punkcie przestworzy znajdzie się w pewnej chwili określone ciało, wymaga rozwiązania geometrycznej łamigłówki i uwzględnienia wpływów miliardów czynników. W każdej innej porze, kiedy nie szaleje Ogniowicher, można byłoby skorzystać z baz danych dalekosieżnych czujników - nieustannie zbieranych i aktualizowanych co godzina. Teraz jednak, jak sam rozumiesz...

- Rozumiem.

Lando obrócił jakieś pokrętko i ustawił siłę ciężenia w sterowni na najmniejszą wartość

- na tyle, żeby móc skreślić papierosa. Zapalił go, po czym ponownie zmniejszył ciężenie i usiadł wygodniej na fotelu. W tym czasie jego umysł pracował jak szalony.

- Kiedy w końcu wydostaniemy się z tej szczeliny, nie będziemy mogli prowadzić nawigacji - mruknął, bardziej do siebie niż do małego robota.

Vuffi Raa zgodził się z nim i dodał:

- Teraz jednak, mistrzu, kiedy wzmocniłeś te ochronne pola, będą mógł ci pomagać o wiele skuteczniej. Kłopot w tym, że nie mamy pojęcia, dokąd lecieć.

- Ale wciąż dysponujemy twoim programem zliczającym, prawda?

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Lando strącił słupek popiołu z końca papierosa.

Siwoszary walec poszybował w bok, żeby w końcu osiąść na srebrzystym torsie małego androida. Vuffi Raa równie niedbałym ruchem strącił go z błyszczącej powierzchni. Popiół rozproszył się i zniknął im z oczu.

- Tak, mistrzu, ale na samym końcu programu, kiedy uciekałeś przed tymi myśliczami, mam coś, co przypomina wielką kulą zasupłanych zawijasów.

- Czy potrafiłbyś ocenić, jak wielką?

- Ależ tak, bez trudu. Chociażby na podstawie poboru mocy, jeżeli nie przy pomocy czegokolwiek innego.

- A zatem znamy swój margines błędu. Polecimy dalej tym samym kursem, jakbyśmy nie wykonywali żadnych dziwnych manewrów ani uników. Będziemy rozglądali się po okolicy, czy nie zobaczymy gdzieś obszaru przestworzy, w którym mogłaby zmieścić się posiadłość Bohhuaha Mutdaha.

- Obawiam się, że nic z tego, mistrzu — odparł mały robot. - Chociażby dlatego, że owa kula nie miałaby cały czas takiej samej wielkości. W miarę zbliżania się do słońca, jej rozmiary się powiększą, ponieważ będzie wzrastał margines prawdopodobnego błędu. Podczas trwania Ogniowichru nie sposób dokładnie określić parametrów dryfu, a...

- Czy twój katalog zawiera jakieś dane, dotyczące asteroid z rezydencją bilionera?

- Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiątki Dwójki? Oczywiście, że tak, mistrzu. Ja...

- A zatem powinien zawierać również jakieś informacje na temat innych, krążących w pobliżu asteroid — takie jak choćby dziwaczny kształt tej, w której się ukrywamy. Będziemy zbliżali się do każdej na tak małą odległość, jak to możliwe, a potem lecieli od jednej do drugiej i szukali dopóty, dopóki nie odnajdziemy tej właściwej.

- Zgadzam się z tobą, mistrzu. Nie widzę innego wyjścia.

- Ja także nie. A teraz, skoro jesteśmy tu sami i chyba nikt nas nie słyszy, może porozmawiamy na temat tego, kto tym razem dybie na moje życie.

- Jesteśmy i tak spóźnieni prawie cały dzień - zaprotestowała oburzona Bassi Vobah.

Kapitan i pasażerowie przebywali znów w świetlicy. Lando ponownie włączył ciążenie, ale przedtem upewnił się, że istota z połamanymi nogami siedzi tak wygodnie, jak to możliwe. Poprosił też androida, żeby przygotował jeszcze jeden posiłek, zanim wyruszą w dalszą drogę.

- Czy zdajecie sobie sprawę z tego - ciągnęła młoda policjantka, zwracając się do siedzącego obojętnie ptaka w ogólności i do coraz bardziej rozdrażnionego Calrissiana w szczególności - że w normalnych okolicznościach taka wyprawa zajęłaby trochę więcej niż dwie godziny?

- Jako rodowita mieszkanka systemu Oseona, moja droga najemna strażniczko, powinnaś doskonale wiedzieć - o wiele lepiej niż ktokolwiek inny - że wyrażenie „normalne okoliczności” nie nadaje się do opisu tego, co właśnie w tej chwili dzieje się w przestworzach. Szaleje Ogniowicher i chociaż muszę przyznać, że chciałbym jak najszybciej wydostać się z tej dziury, nie uczynię tego, dopóki nie podejmę pewnych środków ostrożności.

- Kapitanie, czy mogę ci przypomnieć, że zachowywanie tej wyprawy w absolutnej tajemnicy jest naszym...

- Funkcjonariuszko, czy mogę ci przypomnieć, że to ja jestem kapitanem tego statku? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że jeżeli nie przestaniesz zawracać mi głowy, skonfiskuję ci ten wielki blaster i wepchnę lufę w dziurkę nosa?

Młoda policjantka zamrużyła i cofnęła się, jakby pragnęła uniknąć spodziewanego ciosu. Było widać, że jest rozwścieczona. Jeszcze nikt nie ośmielił się tak do niej odzywać! Nie potraktował jej w taki sposób żaden przełożony! Tymczasem Lando wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, w którym - co trzeba wyraźnie przyznać - kryła się odrobina ironii.

Później powiedział coś, co miało się stać prawem:

- A teraz posłuchajcie. Kiedy pracowałem na zewnątrz statku, jedno z was usiłowało mnie zabić. Ponieważ ja i Vuffi Raa będziemy bardzo zajęci, kiedy wreszcie wylecimy z tej rozpadliny, nie będę mógł co chwila sprawdzać, gdzie się podziewacie i co knujecie. A zatem, dopóki nie osiągniemy porozumienia co do dalszego trybu postępowania, pozostaniemy tu, gdzie siedzimy do tej pory. Zamierzam - i jeżeli przypuszczacie, że żartuję, bardzo grubo się mylicie - przykuć was oboje kajdankami, jedno do drugiego, i nie uwalniać, dopóki nie wylądujemy na Oseonie Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa. Postąpię tak, jak powiedziałem, chyba że znajdziecie inne rozwiązanie, które bardziej wam odpowiada i przeciwko któremu nie zgłoszę żadnych zastrzeżeń. W przeciwnym razie będziemy tkwili tu tak długo, aż galaktyczne Jądro zamieni się w bryłę lodu.

Basśi Vobah spłotła ręce na piersi i siedziała zagniewana, ale nie odezwała się ani słowem. Waywa Fybot mrugał wielkimi błękitnymi oczami. Wyglądało na to, że nad czymś się zastanawia, ale w końcu i on nie przerwał przedłużającej się ciszy.

Uczynił to dopiero Calrissian.

- Posłuchajcie, co wam powiem. Nie żartuję! Na razie nie odgadłem, kto czyha na kogo i dlaczego, ale wiem, że dzieje się tu coś złego. A może nawet więcej niż jedno coś. Mam pewną wprawę, jeżeli chodzi o unikanie zamachów na moje życie. A teraz niech jedno z was wyciągnie kajdanki i natychmiast przykuje się do drugiego, gdyż w przeciwnym razie...

- Mistrzu! — rozległ się nagle okrzyk z głośnika interkomu. - Za chwilę wpadniemy w tarapaty... wielkie tarapaty! Proszę, żebyś jak najszybciej przyszedł do sterowni!

Lando wstał i szybko przeniósł spojrzenie z policjantki na funkcjonariusza. Uderzył pięścią jednej ręki w otwartą dłoń drugiej, po czym odwrócił się i wybiegł ze świetlicy.

- O co chodzi, Vuffi Raa? - zapytał, kiedy dotarł do sterowni. - Właśnie miałem się zatroszczyć...

- Popatrz przed siebie, mistrzu - przerwał mu mały android. - Tam, na wylot rozpadliny.

Lando usiadł na fotelu pilota i zapiał sprzączki sieci, a potem, kiedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł, zwiększył siłę ciążenia w świetlicy do wartości mniej więcej trzykrotnie większej niż normalna.

- To powinno zatrzymać ich tam na dobre - mruknął do siebie. - Ja... o, nie!

- O, tak, mistrzu - poprawił go Vuffi Raa. - Nawet widać blask Ogniowichru, odbity od powierzchni ich kadłubów. Eskadra myśliwców w końcu nas odnalazła. Zaraz piloci zaczną strzelać w głąb wąwozu. Wykluczone, żeby chybili. Zostało nam najwyżej kilka sekund.

ROZDZIAŁ XIII

- Mistrzu, ponownie cię zawiodłem! Nie możemy stąd uciec, a zatem nie przydam ci się jako pilot. Nie mogę także obsługiwać działka - nie pozwala mi na to oprogramowanie! Starając się uwolnić „Sokoła” z objęć skalnej rozpadliny, Lando przestawiał i popychał dźwignie różnych przełączników. Żałował, że nie może posłużyć się sterburtowymi czterolufowymi działkami. Zważywszy na położenie kadłuba względem ścian, nie miał na to najmniejszej szansy.

- Wszyscy mamy jakieś ograniczenia, Vuffi Raa - powiedział. - Czy jeszcze pamiętasz, co mówiłem ci na temat diamentów? Po prostu...

Diamentów? To podsunęło hazardziście pewien pomysł. Rzecz jasna, była to myśl godna

hazardzisty, ale żadna inna w tej chwili nie chciała mu przyjąć do głowy.

- Zmykaj z tego fotela, stary automacie, i przypnij się do tamtego rozkładanego za moimi plecami, obok wejścia do sterowni. Siedząc tam, zdążysz dać mi znak, gdyby ktoś szedł w tę stronę korytarzem. Możliwe, że zdołam wyciągnąć nas z tej dziury, ale chcę mieć swobodę ruchów i pewność, że nikt nie zaatakuje mnie od tyłu.

Kiedy upewnił się, że android wygodnie siedzi, zaczął przyciskać różne klawisze. Miał do dyspozycji trochę czasu - prawdę mówiąc, trochę więcej niż owe kilka sekund, o których wspomnieli mały robot. Szczelina była bardzo głęboka, a skały zawierały duże ilości metali, w związku z czym odnalezienie kryjówki „Sokoła” z pewnością zajmie wrogom kilka minut - zwłaszcza że na zewnątrz nie przestawała szaleć ta nieprawdopodobna...

Zdecydował się podjąć pierwsze ryzyko i zlikwidowałciążenie w świetlicy. Zaobserwował, że wskazówka miernika zużycia mocy drgnęła i przesunęła się odrobinę w lewo. Później zajął się wyłączeniem wszystkich innych odbiorników. Jako pierwsze zgąsto oświetlenie pozostałych pomieszczeń, nie wyłączając korytarzy. W następnej kolejności taki sam los spotkał urządzenia umożliwiające przeżycie. Lando doszedł do przekonania, że przez jakieś dwie minuty chyba wszyscy dadzą sobie bez nich radę, a jeżeli jego plan zawiedzie, i tak nie będą ich potrzebowali. Inercyjne strefy tłumiące pozostały wyłączone, ale hazardzista wziął pod uwagę ewentualność, że będą mu szybko potrzebne, i postanowił utrzymywać generatory w stanie gotowości. Kiedy skończył, jedynymi punkcikami światła, które rozjaśniały niemal nieprzeniknione ciemności, pozostały ogniki lampek na kontrolnych pulpitych i jarzące się rubinową poświatą wielkie oko androida. Cały statek, pogrążony w idealnej ciszy, sprawiał wrażenie wyludnionego.

Pokonując nieprawdopodobne opory, Lando pozbawił zasilania także wszystkie czuwające dotąd w stanie gotowości pokładowe systemy uzbrojenia. Miał wrażenie, że jest nagi i bezbronny, ale systemy i tak nie mogły mu się przydać do tego, co zamierzał zrobić.

- W porządku, Vuffi Raa - odezwał się, kiedy skończył przygotowania. - W świetlicy spokój?

- Słyszę, jak oboje zastanawiają się, co to wszystko może oznaczać, mistrzu.

- Niech się dalej zastanawiają - odparł Lando. Wyciągnął rękę ponad przyrządami i miernikami, aby włączyć generatory ochronnego pola. Kiedy ujrzał, jak na pulpicie budzą się do życia kontrolne lampki, poczuł się o całe niebo lepiej. Następnie usunął metalową pokrywkę, osłaniającą niewielką kalibrowaną gałkę. W normalnych okolicznościach ustawiało się ją na małą ujemną wartość, tak by prawie cała energia ochronnego pola sięgała na głębokość kilku pierwszych atomów sieci krystalicznej metalu pancerza. Rzecz jasna, istniało wiele powodów, dla których gałka powinna pozostawać właśnie w takim, a nie innym położeniu, ale w tej chwili Calrissian nie zamierzał zwracać sobie głowy takimi drobiazgami.

Obrócił gałkę w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Bardzo ostrożnie i powoli.

Konstrukcja statku jęknęła, ale pole zaczęło się rozprzestrzeniać na zewnątrz kadłuba. Najpierw o milimetr, później o następny, aż w końcu sięgało na odległość centymetra od powierzchni pancerza. Naprężenia przenosiły się przez części szkieletu, ale nie wyrządzały żadnej szkody solidnie zamocowanemu generatorowi pola. Lando obrócił gałkę jeszcze trochę dalej w tę samą stronę.

Kiedy pracował na zewnątrz kadłuba, zrozumiał, że „Sokół” zaklinował się w skalnej rozpadlinie. Obręcz koła zamka górnej śluzы stykała się z jedną skałą, a spód kadłuba szorował o powierzchnię drugiej. Frachtowiec nie miał ani milimetra wolnej przestrzeni, koniecznej do wykonania jakiegokolwiek manewru.

Teraz zaś Lando żądał, aby owa przestrzeń nie tylko się znalazła, ale nawet powiększała.

Rozszerzał zasięg działania ochronnych pól, wywierając nacisk na obie ściany. Obrócił pokrętkę jeszcze dalej. Coś jęknęło jak żywa istota - ranna albo konająca gdzieś między sterownią a rufą statku. Na szczęście płonące na pulpitych lampki wskazywały, że nie dzieje się nic złego.

W pobliżu skalnej rozpadliny przemknęło kilka myśliwców. Piloci starali się zbadać nieprzeniknione ciemności. Jeden z nich posłał w głąb czeluści laserową błyskawicę. Wpadła i odbiła się kilkakrotnie od skalnych ścian, ale później szybko wytraciła energię i zgasła.

Obok wlotu śmignęła kolejna grupa wścibskich nieprzyjacielskich maszyn.

I następna.

Ich piloci nie przestawali okrążać asteroidy. Przeszukiwali długi wąwóz, chcąc odnaleźć i zniszczyć niewielki frachtowiec, którego pilot unicestwił ich dwie maszyny.

Z każdą chwilą nieprzyjacielskie myśliwce pojawiały się coraz częściej i częściej na tle jaśniejszego nieba. Lando zorientował się, że piloci starają się zacieśnić rejon poszukiwań.

Obrócił pokrętkę jeszcze dalej. I jeszcze.

Nagle oślepiający laserowy sztych rozprysnął się o ochronne pole. Czy to przez zwykły przypadek, czy też dzięki własnym umiejętnościom, jeden z wrogów odnalazł frachtowiec. Wskazówka miernika mocy gwałtownie skoczyła. Lando natychmiast obrócił pokrętkę do samego oporu - tak daleko, jak tylko się dało.

Rozległ się ogłuszający grzmot potężnej eksplozji. Skalne ściany, poddane działaniu energii rozprzestrzeniającego się ochronnego pola, nie wytrzymały nacisku i pękły jak diament. Lando i Vuffi Raa zostali natychmiast zalani wpadającą przez iluminatory różnobarwną poświatą szalejącego Ogniowichru Oseona.

Usłyszeli, że w najbliższym sąsiedztwie rozerwanej asteroidy doszło do kilku mniejszych i nie tak głośnych eksplozji. Jednej, trzech, pięciu... Mając uwagę zaprzętą manewrowaniem, Lando nie zwracał na nie uwagi. Domyslał się jednak, że lecące we wszystkie strony skalne bryły masakrują i rozpraszają nieprzyjacielskie maszyny, których piloci znaleźli się zbyt blisko. Siedem, osiem... Może więcej. Lando stracił rachubę i nie był pewien. Nikt z przeciwników nie myślał o kontynuowaniu walki. Lando przesłał porcję energii do generatorów inercyjnych tłumików, a potem obrócił kalibrowaną gałkę w taki sposób, by znalazła się w pierwotnym położeniu. Uruchomił silniki i włączył program zliczający, umożliwiający określenie pozycji statku w przestworzach.

Mógł podjąć przerwana wyprawę.

Zwiększył także ciśnienie w świetlicy. Mimo iż nie miał tak czułych narządów słuchu jak Vuffi Raa, nie mógł nie usłyszeć stłumionego huku i przekleństw, jakie posypały się z ust Bassi Vobah. Wyszczrzył zęby i pokręcił głową.

Wszystko wskazywało na to, że wzmocnione ochronne pole spisuje się znakomicie. Vuffi Raa przestał się zachowywać irracjonalnie, a Bassi Vobah była rozsądniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Waywa Fybot drzemał, siedząc na stojaku. Złamane kości bardzo szybko się zrastały, dzięki przyspieszającemu ich regenerację elektronicznemu przyrządowi, który na szczęście udało się znaleźć w pokładowym ambulatorium „Sokoła”. Funkcjonariusz powinien odzyskać siły w ciągu najbliższych kilku godzin - w samą porę, aby pomóc w aresztowaniu bilionera- narkomana.

Wspaniale.

Lando spędzał niemal cały czas w sterowni. Prawdę mówiąc, zaczynał mieć powyżej uszu towarzystwa obojga funkcjonariuszy. Z przyjemnością natomiast przebywał z Vuffim Raa. Mały robot krzątając się po sterowni, sprzątał i naprawiał drobne uszkodzenia. Zameldował Calrissianowi, że mimo tortur, jakim został poddany kadłub statku, nie puścił

żaden nit ani nie pękła żadna płyta poszycia. Mniej niż godzinę zajęło mu sprawdzenie, czy na obudowie generatora siłowego pola nie utworzyły się jakieś kryształy w wyniku naprężenia.

Nie znalazł ani jednego.

Teraz, kiedy Lando miał wolną chwilę i mógł zastanowić się nad wszystkim, co ostatnio mu się przydarzyło, zaczynał dochodzić do wniosku, że jego życie strasznie się skomplikowało.

Podobne myśli nawiedzały go, kiedy siedział w więzieniu na Oseonie Sześć Tysięcy Osiemset Czterdzieści Pięć, ale nawet wówczas wszystko wydawało mu się o wiele prostsze niż w tej chwili.

Powiedział sobie, że z natury rzeczy jest człowiekiem prosto-dusznym i nieskomplikowanym. Był prawie całkowicie uczciwym hazardzistą, oszukującym tylko wówczas, kiedy nie chciał, żeby wygrywanie wzbudziło czyjeś podejrzenia. Mimo to ktoś - a wszystko przemawiało za tym, że może nawet więcej kłosiów - nie przestawał ponawiać prób pozbawienia go życia. Najpierw przy pomocy bomby. Później, wykorzystując w tym celu inny ładunek wybuchowy. Jeszcze później, widocznie dla odmiany albo w celu wykazania wszechstronności, ów ktoś posłużył się kawałkiem tytanowej rury. W końcu zaś, zupełnie niedawno, ponowił próbę, całkiem sprytnie przełączając urządzenia próżniowego skafandra. Lando nie uwzględniał w tych obliczeniach napaści piratów ani dwóch starć z pilotami eskadry myśliwców, aczkolwiek ta ostatnia przygoda mogła mieć jakiś związek z poprzednimi zamachami na jego życie. Po prostu nie wiedział, co o tym sądzić.

Wszyscy mieli wrogów, zwłaszcza hazardziści nawykli do wygrywania. Jednak zemsta, jaką mu wypowiedziano, wydawała się po prostu śmieszna. Rozmyślając o tym chyba po raz setny, Lando dokonał przeglądu kilku ostatnich lat życia. Usiłował przypomnieć sobie osobę, którą znał i którą mógł skrzywdzić w stopniu wywołującym tak silne pragnienie odwetu.

Jeżeli chodziło o grę w karty, był sprytny, zręczny i miał wiele szczęścia. Co więcej, pomimo iż nie wiodło mu się jako handlarzowi, z dnia na dzień stawał się coraz lepszym pilotem, mechanikiem i nawigatorem. Zaczynał być z tego bardzo dumny. Nawet sam Vuffi Raa kiedyś go pochwalił.

Niestety, jeżeli miałby przyglądać się tym umiejętnościom z bliska, musiałby dojść do wniosku, że jego nowo odkryty talent nie miał żadnej wartości praktycznej. Wyglądało na to, że tylko pakuje go w coraz większe tarapaty. Jego miejsce było na pokładzie luksusowego liniowca. Spędzając czas w charakterze pasażera, mógłby przekonywać innych towarzyszy podróży o zgubnych skutkach oddawania się nałogowi gry w karty. Zabawa w najemnika zaczynała mu coraz bardziej brzydnąć.

No cóż, jeżeli jakimś cudem - chociażby przez najzwyczajniejszy przypadek - wypłacie się z tych tarapatów, zastanowi się, w jaki sposób zmienić swoje życie. Chociaż niechętnie przyznawał się do tego nawet przed samym sobą, zaczynał lubić „Sokoła Milenium”, mimo iż wiedział, że latanie nim może być niebezpieczne, a nawet w każdej chwili zakończyć się nagłą śmiercią. Vuffi Raa to zupełnie co innego. Mały robot był dobrym partnerem i wiernym przyjacielem, a poza tym wrażliwym obserwatorem i mądrym doradcą. Ale to dowodzenie statkiem, latanie i pilotowanie...

Czując, że serce ściska mu się z bólu, Klyn Shanga dokonał przeglądu niedobitków swojego oddziału. Nie zapominał chyba o żadnym podwładnym. Jednego stracił na Oseonie Sześć Tysięcy Osiemset Czterdzieści Pięć. Dwóch następnych poniosło śmierć podczas pierwszego spotkania z błakającym się frachtowcem. Teraz zaś, czy to w wyniku oddziaływania Ogniwichru, czy eksplodującej asteroidy, pozostało przy życiu zaledwie pięciu towarzyszy. Istniało prawdopodobieństwo, że katastrofę przeżyło jeszcze kilku,

k którzy właśnie w tej chwili starają się dołączyć do reszty grupy, nie bacząc na szalejącą nawałnicę i śmiercionośne promieniowanie. Możliwe, że niektórzy przeżyli jedynie dlatego, że odłączyli się od pozostałych.

Zaledwie pięć niewielkich maszyn różnych typów i kształtów. Mimo iż wszystkie miały podobne rozmiary, zasięg i siłę ognia, Klyn Shanga nie widział pośród nich dwóch takich samych czy chociażby podobnych do siebie. W tej chwili myśliwce pobierały moc z ogromnej jednostki napędowej gwiazdznego krążownika. Uzupełniały zapasy energii, lecąc przez pustkę przestworzy, smaganych przez koszmarny Ogniowicher.

No cóż, każdy wojownik od samego początku dobrze wiedział, komu będzie musiał stawić czoło. Uświadamiał sobie, że stoczy walkę z okrutnym i przebiegłym przeciwnikiem - istotą, która czerpała satysfakcję z zadawania bólu ludziom i która - dla osiągnięcia nieznanych, mrocznych celów — godziła się na poświęcenie całych ras inteligentnych istot i zamieszkiwanych przez nie światów. Kiedy Klyn Shanga organizował swoją grupę, poszukiwał ochotników pośród wyrzutków z kilkunastu armii. Wszyscy, których wybrał, rozumieli, że szanse przeżycia i powrotu są niezmiernie małe. Mimo to doszli do wniosku, że cel jest wart ryzyka.

Zaledwie pięciu. Pięciu spośród dwudziestu czterech. Nadal tak uważali.

Bohhuah Mutdah rozpierał się - pół leżąc, a pół siedząc - na gigantycznej otomanie. Obserwował coś tak nieprawdopodobnie ohydneho, że zbierało mu się na wymioty. Na trawniku przed nim wyprawiało różne harce ponad trzysta istot, przybyłych chyba ze wszystkich okolicznych światów. Bilioner zaprosił je i zatrudnił, licząc na to, że ich widok go rozerwie. Istoty postępowały zgodnie z wydanymi przez niego szczegółowymi instrukcjami.

Mimo to Bohhuah Mutdah czuł się znudzony.

Nudziło go zresztą prawie wszystko - może dlatego, że w niczym nie uczestniczył obościście. Prawdopodobnie czynił tak z uwagi na własne bezpieczeństwo - nawet teraz otaczało go nie krępujące ruchów siłowe pole. Niewidzialna bańka miała ochraniać go przed potencjalnymi zabójcami, którzy mogli się kryć pośród pracowników. Możliwe też, że powodem troski o bezpieczeństwo były warunki fizyczne, a szczególnie budowa ciała. Bilioner widział i przeżył niejedno, toteż wiedział o życiu o wiele za dużo. Mimo to pragnął nadal żyć, chociaż sam nie wiedział, dlaczego.

Nie wymyślono jeszcze słowa, jakim dałoby się opisać jego tuszę. Określenie Bohhuaha Mutdaha mianem człowieka grubego należałoby uznać za poważne niedopowiedzenie. A przecież zaledwie przed stu laty bilioner był człowiekiem mającym trochę ponad dwa metry, barczystym i długonogim. Od tego zaczynał, ale ukształtował ciało niczym groteskową parodię monstrialnej rzeźby. Był heroicznie otyły, monumentalnie otyły, kosmicznie...

Gdyby mieszkał na prawdziwej planecie, obdarzonej normalnym ciążeniem, ważyłby trzysta kilogramów - może nawet trzysta pięćdziesiąt. Nie postawił jednak stopy na takim świecie od ponad ćwierci stulecia. Obwód jego ciała na wysokości bioder przekraczał odległość, jaką mogłoby objąć dwóch dorosłych mężczyzn. Powoli, ale nieubłaganie zbliżał się do obwodu, którego objęcie wymagałoby zaproszenia trzeciego. Ręce wyglądały jak krótkie pieńki, a nogi przypominały stożki, których szpice kończyły się absurdalnie małymi stopami. Twarz przywodziła na myśl wypełnioną łojem beczkę, w której dałoby się wyróżnić nieprawdopodobnie małe, podobne do pinesek oczy, dwie mikroskopijne jak główki szpilek dziurki nozdrzy i niewiarygodnie małe, wręcz miniaturowe usta.

W ciągu ostatnich pięciu lat bilioner nie wykonał absolutnie żadnej pracy własnymi rękami.

Mógł pozwolić sobie na wykorzystywanie w tym celu rąk swoich pracowników. Nie miał

pojęcia, jak bardzo jest zamożny. Prawdę mówiąc, nie wie tego chyba żaden naprawdę bogaty człowiek. Słyszał kiedyś, jak powiadano, że jest najbogatszą istotą w całej znanej części galaktyki. Wprawdzie nie był tego pewien, ale wiedział, że ani trochę go to nie obchodzi.

Nie obchodziło go zresztą także nic innego - z wyjątkiem, być może, lesaju.

Może to właśnie narkotyk sprawiał, że bilionerowi w ogóle zależało na życiu. Może to właśnie tej substancji zawdzięczał, że wykazywał umiarkowane zainteresowanie dalszym życiem. Wszystko inne: asteroida, system Oseona, galaktyka, a nawet cały wszechświat, wyglądało jak rozmyta plama. Ogniwicher, szalejący nad przezroczystą, ale solidnie opancerzoną kopułą, wydawał mu się czymś bezbarwnym, mimo iż zatrudnieni najemnicy, pokazujący na trawniku różne sztuczki, raz po raz nieruchomieli i zadzierali głowy, by z podziwem wpatrywać się w różnobarwne niebo.

Bohhuah Mutdah osiągnął taki stan nie dlatego, że był niewiarygodnie bogaty. O ile pamiętał, jeszcze kiedy był dzieckiem, wychowywanym w skromnych, normalnych warunkach, zastanawiał się nad tym, co może oznaczać wyrażenie: „radość życia”. Dziwił się, dlaczego inni czasami dokonywali niezwykłych czynów albo walczyli, byle tylko utrzymać się przy życiu. Wszystkie bogactwa, jakie zgromadził w ciągu wielu lat, były niejako ubocznym efektem nie zawsze konsekwentnego robienia użytku z własnej, wyjątkowo błyskotliwej inteligencji. To właśnie owa cecha skierowała jego skromny majątek na drogę nieuniknionego, automatycznego wzrostu.

Jaka szkoda, że ta inteligencja nie pozwoliła mu na uporanie się z prawdziwym dylematem. Bohhuah Mutdah znał istoty niedorozwinięte umysłowo, które potrafiły cieszyć się życiem nieskończenie bardziej niż on. Bilioner po prostu żył - bez znaczenia, czy troszczył się o to, czy też nie - jak automat. Chociaż nie, automaty, które miał na swoje usługi, chyba bardziej niż ich właściciel cieszyły się pseudożyciem, jakim obdarzyli je konstruktorzy.

I właśnie na tym polegał cały problem. Na szczęście, Bohhuah Mutdah nie zwracał sobie głowy poszukiwaniami rozwiązań. A przynajmniej nie na tyle, aby musiał tym się nadmiernie martwić. Spoglądał na niebo, obserwował sztuczki iluzjonistów. Dostrzegał błyski, jakie rzucał wiszący na jedwabnym sznurze życiokryształ z systemu Rafy - klejnot mający wielkość pięści. Zastanawiał się nad tym, właściwie dlaczego zadał sobie tyle trudu, żeby zawiesić go na szyi.

Ten filozof - bez względu na to, kim był - z pewnością miał rację. Największą tajemnicą życia było samo życie. A najważniejsze pytanie, jakie powinno się postawić, brzmiało: „Po co zwracać sobie tym głowę?”

Po mięsistym, przypominającym poduszkę policzku Bohhuaha Mutdaha spłynęła samotna łza. Bilioner był jednak zbyt odrętwiały, by ją zauważyć.

Nie opuszczając kryjówki, czarownik Rokur Gepta rozmyślał

o sztuce oszukiwania i wywodzenia w pole. Wydawało mu się ironiczne, ale zarazem oczywiste, że najpewniejsza droga do okłamywania innych wiodła przez wcześniejsze okłamywanie siebie. Doszedł do wniosku, że jeżeli oszust przekona najpierw jedyną osobę, która umie rozróżnić, co jest kłamstwem, a co prawdą, wówczas wprowadzenie w błąd wszystkich innych nie sprawi mu jakichkolwiek trudności.

Tę oczywistą prawdę wykorzystywali od dziesięciu tysięcy sprzedawcy, ale Rokur Gepta nigdy nie znał żadnego przedstawiciela tego zawodu. Znali ją również politycy... ale to właśnie oni padali najczęściej ofiarami czarownika.

Gepta ukrywał się z dala od krążownika, podwładnych, a na- : wet ulubieńca. Pomyślał, że będzie lepiej, jeżeli słudzy zatroszczą się o wyżywienie pupila, gdyż w przeciwnym razie sami mogą skończyć jako jego pokarm. Ani przez chwilę nie żałował trudów życia i wyrzeczeń, jakich wymagała realizacja planów. Przed wieloma wiekami dorastający

Bohhuah Mutdah narzekał, że życie nie ma celu ani sensu. Tymczasem Geptę już wtedy ogarniała przemożna żądza zdobycia wszystkiego, co mogło przynieść owo życie: władzy, zaspokojenia głodu, władzy, upokorzenia nieprzyjaciół, władzy...

Nie wychylając nosa z ciasnego pomieszczenia, które obrał za kryjówkę, i nie bacząc na niewygody, pozwolił, by ogrzewały go wspomnienia świetlanej przeszłości. Ekstrapolował je, z góry ciesząc się na przyszłe zwycięstwa. Widział siebie, jak okrakiem i siada wszechświata i smagając go raz po raz biczem, zmusza do niewolniczej pracy i wykonywania jego rozkazów. Wyobrażał sobie imperatorów, którzy stają się jego wasalami, i rzekomych bogów, których czyni służącymi. Nic nie stanie na przeszkodzie zaspokojeniu jego ambicji i spełnieniu marzeń. Nikt i nic.

Przy okazji, niemal pewne unicestwienie Landa Calrissiana stanie się nic nie znaczącym epizodem - oznaką sprzyjającego szczęścia i znalezioną czterolistną koniczyną, samotnie rosnącą na nieskończenie wielkiej łące. Dla Rokura Gepty będzie oznaczało nagrodę za nieustępliwość i cierpliwość... ukoronowanie nie wartych wzmianki cierpień i wyrzeczeń, na jakie się skazywał, chcąc być pewnym, że wszystko, absolutnie wszystko potoczy się zgodnie z planem.

Tymczasem bohater nic nie znaczącego epizodu w przyszłych dziejach międzygalaktycznych przestworzy nie ukrywał zadowolenia.

Przeglądając się, jak Vuffi Raa sprawdza współrzędne i porównuje je z danymi efemeryd systemu Oseona, skrzywił i zapalił następnego papierosa. Kiedy wykonywanie programu dobiegło końca, stwierdził, że zgodnie z jego przewidywaniami, znaleźli się obok gromady skatalogowanych i łatwych do zidentyfikowania asteroid.

W niezbyt dużej odległości od Oseona Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa.

Wiódł żywot hazardzisty i potrafił cieszyć się sukcesami, ale nie popadał w przesadną pewność siebie ani nie pozwalał, aby uspiły jego czujność. Przebywał daleko poza zasięgiem najczulszych znanych systemów wykrywania gwiazdnych statków, a poza tym srożący się Ogniowicher i tak uniemożliwiał ich funkcjonowanie. Mimo to nakazał Bassi Vobah i jej opierzonemu koledze, by oboje udali się do kryjówki. Przeglądając dokumentację „Sokoła Milenium”, zauważył, że pod metalowymi płytami pokładu znajduje się całkiem spora wolna przestrzeń, którą można byłoby wykorzystać do zainstalowania tajnych skrytek. Co prawda, nie bardzo interesował się przemycaniem towarów, ale uzmysławiał sobie, że ów proceder może stać się kiedyś jego ulubionym zajęciem. Dotychczas nie zdobył się na poświęcenie czasu i środków finansowych ani nawet na planowanie budowy skrytek. Istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że nigdy się na to nie zdecyduje.

W rezultacie oboje funkcjonariusze, mimo iż opierali się i protestowali, musieli włożyć niewygodne kosmiczne kombinezony i zanurkować pod płyty pokładu korytarza. Przeklinając Landa i własną pracę, trzymali się wsporników. Głośno narzekali, żałując, że nie wybrali zawodu urzędnika, archiwisty czy chociażby sprzedawcy obuwia.

Ich przewoźnika bardzo to bawiło.

- Zbliżamy się do Oseona Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięć- dziesiątki Dwa, mistrzu - oznajmił w pewnej chwili mały android. - Podejrzewam, że to ta duża plamka po prawej stronie.

— To sterburta, stara podstawo kompasu okrętowego - poprawił go Calrissian. - Nie sprawiaj zawodu naszym pasażerom. Jo-ho-ho i butelka... Upewniłeś się, że pakunek jest przygotowany?

Vuffi Raa odwrócił się, wyciągnął mackę i uniósł z siedzenia składanego fotela sporą paczkę, owiniętą w absolutnej próżni.

— Jak kazałeś, mistrzu, osobiście to sprawdziłem - powiedział. - Mimo iż nie bardzo

rozumiem, dlaczego uznałeś to za konieczne. To prawdziwy lesaj, w najbardziej agresywnej postaci. Wystarczy na sześć miesięcy regularnego zażywania dla każdego, choćby najbardziej uzależnionego narkomana. Jest wart ponad...

- Doskonale, doskonale - przerwał mu młody hazardzista. - Chciałem, żebyś to wszystko sprawdził, ponieważ nie zamierzam dać się przyłapać na dostarczaniu niepełnowartościowego towaru. Istnieje duża szansa, że odbiorca wymyśliłby odpowiedni sposób, by okazać swoje niezadowolenie. Z pewnością zostałbym ukarany. Raz na zawsze. A poza tym, nie chcę się narażać na oddziaływanie narkotyku. Wiem, że substancja jest wchłaniania przez skórę, ale nie mam pojęcia, jak szybko uzależnia.

Lando upewnił się, czy lekki kosmiczny skafander, jaki miał na sobie, jest absolutnie szczelny. Sprawdził, czy w zewnętrznej kieszeni spoczywa gotów do natychmiastowego użytku miniaturowy paralizator. Od samego początku właśnie ta część zadania najbardziej go martwiła. A szczególnie chwila aresztowania. Życiowa mądrość, jakiej nabył będąc hazardzistą, mówiła mu, że nie czeka go nic dobrego. Na ogół, kiedy bogaci właściciele luksusowych, doskonale chronionych zamków albo rezydencji dowiadywali się, że dostawca przybywał w towarzystwie stróżów prawa, mieli brzydki zwyczaj obwiniania go za wszystko, co się później działo.

Lecąc powoli w przestworzach, „Sokół Milenium” coraz bardziej zbliżał się do Oseona Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa.

W odległości mniej więcej stu kilometrów od asteroidy - o wiele dalej, niż Lando mógłby oczekiwać, biorąc pod uwagę panujące „warunki atmosferyczne” - został zatrzymany przez niewielki patrolowiec. Jednostka miała wielkość jednego z myśliwców, z którymi stoczył walkę, ale sprawiała wrażenie fabrycznie nowej i równie silnie uzbrojonej, jak statek Calrissiana. Ponieważ porozumiewanie się za pomocą komunikatora nie wchodziło w rachubę, załoga patrolowca nawiązała łączność, uciekając się do pomocy modulowanej wiązki laserowej. Niestety, Lando nie dysponował demodulatorem.

- Powiedzieli, że powinniśmy się zatrzymać tu, gdzie jesteśmy w tej chwili - odpowiedział uczynny android. - Mówią, że zestrzela nas z nieboskłonu, jeżeli nie zgodzimy się na przyjęcie oddziału abordażowego. Wielkie nieba, mistrzu, wymieniają wszystkie systemy uzbrojenia, jakimi dysponują na pokładzie! Jeżeli tylko dziewięćdziesiąt pięć procent z tego, co mówią, to wierutne kłamstwa, jesteśmy skończeni!

- Nie przejmuj się, stary elektrodyplomato - uspokoił go hazardzista. - W jaki sposób odpowiemy, że zgadzamy się na dokonanie inspekcji?

Lando znał umówione hasło, ale w ciągu kilku ostatnich dni miał głowę zaprzątą tyłoma innymi problemami, że nie pomyślał o tym, iż okoliczności mogą zmusić go do wypowiedzenia magicznego słowa.

- Ja im to oznajmię, mistrzu.

Robot wyprostował się, skierował fasetkowe rubinowe oko w stronę patrolowca i pst! Przez szybę iluminatora pomknęła w przestworza skupiona wiązka spójnego światła.

- Powiedz im, że tajne hasło brzmi: „dubesor” - podsunął Calrissian. - Jak przypuszczam, to zniewaga, jakiej dopuszczają się mieszkańcy Antypozy Dwanaście.

Mimo iż wcale nie czuł się odprężony, zaciągnął się ostatni raz papierosem, a potem go zgasił. Zaledwie skończył mówić, laser małego androida znów zamigotał. Później Vuffi Raa odwrócił się do właściciela.

- Twierdzą, że się spóźnił. Powiedziałem im, że nikt nie może nas za to winić, zważywszy na Ogniowicher i wszystkie inne przygody. Zapoznałem ich ze skróconą, ocenzone wersją przebiegu naszej walki z myśliwcami. Wyraziłem przypuszczenie, że byli to piraci. Jak sądzisz, czy postąpiłem słusznie, mistrzu?

- Najpierw blefowałeś podczas gry w sabaka, a teraz czynisz to samo, by przekonać

wykidajłów. Sam nie wiem, czy powinienem być z ciebie dumny, czy się martwić, że schodzisz na złą drogę. Przypuszczam, że wywieram na ciebie zły wpływ. Co ty na to?

- Że jesteśmy oczekiwani i mamy posadzić statek na tym małym polu, znajdującym się obok głównych zabudowań, ale nie możemy uciekać się do żadnych podstępnych sztuczek. Zostałem zapoznany z kolejną długą listą szerczących śmierć i zniszczenia środków, które obrońcy mogą z największą możliwą dokładnością wykorzystać - przeciwko naziemnym celom.

- Ten gość musiał być w swojej armii doboszem - stwierdził hazardzista. - No, dobrze, posadźmy „Sokoła” na tym lądowisku. Czy nie mógłbyś się tym zająć? Jestem trochę za bardzo zdenerwowany, by próbować - a poza tym, jak wiesz, nigdy nie byłem zawodowym pilotem.

- Jak sobie życzysz, mistrzu.

Ciekaw jestem, co robią teraz mieszkańcy Antypozy Dwanaście - zastanawiał się hazardzista. - Czy toczą bójkę w miejscowych barach i wyzywają jeden drugiego od dubesorów?

Czynności, jakim się oddawali, nie mogły jednak równać się z tym, co czekało Calrissiana.

ROZDZIAŁ XIV

Jeżeli wziąć pod uwagę rozmiary, osiąmane przez inne szybujące w przestworzach systemu Oseona skalne bryły, asteroida, nazwana Oseonem Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa, nie zaliczała się do szczególnie dużych.

Miała może piętnaście kilometrów w najszerszym miejscu, ale wyglądała jak spłaszczony dysk, stopiony z wielu mniejszych okruchów albo szczątków planet. Lando pomyślał, że asteroida przypomina mu wyspę, unoszącą się na powierzchni nieprawdopodobnie błękitnego oceanu - ponieważ właśnie taką barwę przybrał w tej chwili Ogniwicher.

Wyspę, cechującą się dwoma istotnymi szczegółami.

Górna strona, a przynajmniej ta, którą hazardzista uważał za górną - zapewne dlatego, że zobaczył ją pierwszą - sprawiała wrażenie rajskego ogrodu, porośniętego bujną trawą, usianego dziesiątkami małych stawów i ozdobionego tu i ówdzie kępami drzew i krzaków. Całość była chroniona przez wznoszące się wysoko przezroczyte kopuły i utrzymywana za pomocą sztucznego ciężenia.

Po pewnym czasie odległość dzieląca „Sokoła” od asteroidy zmalała na tyle, że Lando mógł dostrzec szczegóły. Na trawie, rosnącej przed ogromnym staroświeckim pałacem, zauważył wówczas grupy istot, wyprawiających dziwne harce. Nie potrafiłby jednak określić, czym się zajmowały.

Spód asteroidy wyglądał jak imponujący, choć niewielki kosmoport. Na mikroskopijnych lądowiskach spoczywało mnóstwo najróżniejszych małych gwiazdnych statków. Wszystkie sprawiały wrażenie zgromadzonych przez kolekcjonera, który potraktował kosmoport jako coś w rodzaju zabawki. Tymczasem nic nie mogło być dalsze od prawdy. Na skraju kosmoportu, na obrzeżach asteroidy, ustawiono dziesiątki stanowisk artylerii. Dopiero teraz Calrissian zaczynał traktować poważnie pogroźki, wypowiedane przez członka załogi oseńskiego patrolowca. Rozumiał, że ci goście nie tylko wierzą w siłę ognia, ale dysponują odpowiednim sprzętem na poparcie tej wiary.

Vuffi Raa osadził „Sokoła” na małym lądowisku, wskazanym przez pulsujący sygnał namiarowy. Kiedy łapy lądownicze frachtowca delikatnie zetknęły się z powierzchnią, robot zaczął wyłączać urządzenia i podzespoły. Lando odpiął sprzączki ochronnej sieci.

- Dokończę przebierać się w skafander - powiedział, zwracając się do androida. - Czy na pewno rozumiesz, co masz zrobić, kiedy zejść z pokładu?

Naciągnął lekką rękawicę i po raz kolejny sprawdził paralizator. Pomyślał, że broń chyba nie rzuca się w oczy. Nie miał zamiaru ułatwiać zadania przeciwnikowi.

- Tak, mistrzu - odparł Vuffi Raa. - Powinienem ukryć się w tunelu, którym biegną główne trasy kabli i przewodów - gdzieś pomiędzy sterownią a przedziałem silnikowym. Mam podłączyć się do urządzeń sterujących i utrzymywać „Sokoła” w gotowości do natychmiastowego startu.

Mały robot na chwilę przerwał, a kiedy znów się odezwał, w jego głosie brzmiała rezygnacja. Wyglądało to, jakby nie miał ochoty powtarzać dalszego ciągu otrzymanego polecenia.

- Mam zostać na pokładzie - bez względu na to, co się stanie - i odlecieć w przestworza, jeżeli nie wrócisz, zanim upłynie osiem godzin. Dlaczego każesz mi powtarzać to wszystko, mistrzu? Dlaczego traktujesz mnie jak dziecko? Powinieneś wiedzieć, że zostałem obdarzony niezawodną pamięcią.

- Tak? No cóż, czułbym się o wiele lepiej, gdybyś pamiętał o tym, aby nie nazywać mnie mistrzem. A poza tym, słyniesz z tego, że potrafisz improwizować.

Robot przez chwilę się zastanawiał, jakby rozmyślał, czy nie potraktować tego stwierdzenia jako zarzut.

- Możliwe, że masz rację, mistrzu - przyznał w końcu. - Z pewnością nie odleczę, jak mi rozkazałeś. A przynajmniej dopóty, dopóki nie stwierdzę, co się z tobą stało.

Lando spiorunował androida spojrzeniem i jęknął, mimo iż w głębi ducha był zadowolony z otrzymanej odpowiedzi.

- Niech cię лихо - parsknął. - Na wypadek, gdybym nie wrócił, zapisałem w pamięci komputera „Sokoła”, że wyzwalam cię i przestaję traktować jak swoją własność. Bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie, mój mały przyjacielu, staniiesz się wolną maszyną, dysponującą w pełni sprawnym handlowym gwiazdowym statkiem.

Pokonał połowę odległości dzielącej go od wyjścia ze sterowni, ale odwrócił się i powiedział:

- A przy okazji, uczyniłem cię swoim spadkobiercą. Życzę ci, żebyś miał więcej szczęścia niż ja z tą przypadkową zbieraniną kosmicznego złomu.

Android nie odpowiedział, ale jego rubinowe oko przygasło w sposób, który wskazywał, że Vuffi Raa jest głęboko wzruszony.

- Ja także życzę ci wiele szczęścia, mistrzu - odparł po kilku chwilach, kiedy przyszedł do siebie. - Zaczekam...

Lando jednak tego nie usłyszał. Wyszedł ze sterowni.

Vuffi Raa podążył za swoim właścicielem i także opuścił miniaturowy mostek frachtowca.

Wyszedł na korytarz i odsunął jakąś płytę sufitu. Wciągnął się do tunelu, którym biegły kable, a potem umieścił płytę na poprzednim miejscu. Po kilku następnych sekundach stał się jedną z części „Sokoła Milenium”. Bardzo cenną, niekonwencjonalną, nachmurzoną (przynajmniej w tej chwili) i absolutnie samodzielną - zdaną tylko na własne siły.

Przytrzymując hełm jedną ręką, a pakunek z lesajem drugą, Lando kroczył korytarzem frachtowca. Kiedy dotarł do pewnego miejsca, pochwycił oba przedmioty palcami jednej dłoni. Później pochylił się i palcami drugiej zastukał - niezbyt delikatnie — w metal pokładu.

Niestarannie wypilowana część płyty odskoczyła i zaczęła się unosić. Z otworu wynurzyła się osłonięta hełmem twarz zmaltretowanej i zagniewanej Bassi Vobah.

- Chciałbym dostać teraz swoje pieniądze - zażądał Calrissian.

Poczuł, że hełm wyslizguje się spomiędzy ukrytych w rękawicy palców. Zirytowany, wzmocnił uścisk i pochwycił go dosłownie w ostatniej chwili. Nie sądził, żeby miał mu być potrzebny, ale należał do ludzi, którzy zawsze podejmowali niezbędne środki ostrożności. Zabranie hełmu stanowiło właśnie jeden z nich.

- Możesz się z nimi pożegnać, szumowino! - Kosmiczny kombinezon, w który była ubrana Bassi Vobah, miał służyć innemu, o wiele bardziej konkretnemu celowi. Władze rozmaitych kosmoportów, które nie chciały poddawać przylatujących statków uciążliwej kwarantannie, wypełniały ich wnętrza trującym gazem. Uniemożliwiało to życie owadom, robakom i porośniętym sierścią zwierzętom różnych ras i gatunków, a także przemycanym stworzeniom i nielegalnym imigrantom, którzy często dawali się we znaki miejscowym urzędnikom. - Nie dotrzymuję słowa danego przestępcom i złoczyńcom!

- W takim razie dlaczego pracujesz dla polityków? - zapytał Lando, zdecydowanym gestem wyciągając wolną rękę. - Poproszę o pieniądze, gdyż w przeciwnym razie - tak szybko, że nawet tego nie zauważysz - ze zdumieniem odkryję na pokładzie dwoje pasażerów na gapę. A później przekażę tę parę w łapy siepaczy Bohhuaha Mutdaha, aby zabrali ich do więzienia.

- Nie ośmielisz się!

Na twarzy Calrissiana ukazał się słodki uśmiech.

- Chcesz się założyć?

Z wysiłkiem oddychając, zapewne nie tylko ze zmęczenia, Bassi Vobah zaczęła się przeciskać pomiędzy biegnącymi pod pokładem wspornikami, rurami i wiązkami grubych kabli. Wyciągnęła jakieś zawiniątko i rzuciła w taki sposób, że upadło pod stopami hazardzisty.

- Weź je, ty najemny anarchisto!

- Zgadza się, to ja - przyznał uśmiechnięty Lando.

Podniósł pakunek i przystąpił do liczenia banknotów kredytowych. Sto siedemdziesiąt trzy tysiące czterysta osiemdziesiąt siedem. No cóż, dobrze chociaż, że Loba Doluffa można było określić mianem przestępcy uczciwego. Co więcej, zwracając całą sumę, jaką przegrał do hazardzisty, Starszy Administrator uwiarygodnił obietnicę pokrycia wszystkich kosztów wyprawy.

- Dzięki, droga koleżanko. Postaraj się zrozumieć, że w życiu możesz spotkać się z różnymi ludźmi. Ja z pewnością to rozumiem.

Bassi Vobah zapadła się pod pokład i z łoskotem zamknęła prowizoryczne wieko nad sobą. Lando postąpił krok i ze złością postawił na nim stopę - pod pretekstem wpasowania go między płyty, tak by nie wystawało ponad pozostałe płyty pokładu, a w rzeczywistości chyba dlatego, by z grobowca nie wydostał się złośliwy duch, który mógłby go straszyć.

Później zachichotał, kiedy uświadomił sobie, że rozmowa z młodą policjantką wprawiła go w rozdrażnienie. Poświęcił kilka chwil, by się uspokoić, a potem ruszył dalej korytarzem. Kiedy przeszedł jeszcze kilka metrów, ponownie schylił się, po czym zastukał w umówiony sposób w płytę pokładu. Odebrał dwa ostatnie banknoty, które wręczył mu Waywa Fybot, a następnie skierował się do wyjścia.

Zanim opuścił pokład, posłużył się wkrętakiem, aby ukryć plik banknotów za panelem interkomu. Opuścił rampę i zszedł na „grunt” Oseona Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa.

Bohhuah Mutdah zgotował mu serdeczne powitanie.

Prywatna asteroida bilionera, mimo iż o blisko piętnastokilometrowej średnicy, miała niespełna trzy kilometry grubości. Jak wszystkie inne, zamieszkałe przez ludzi skalne bryły, ta również była drążona chyba przez całe dziesięciolecia. W jej wnętrzu kryły

się magazyny, mieszkania, zakłady przetwarzania odpadów i wszystkie inne użyteczne pomieszczenia.

U stóp rampy czekali na Calrissiana dwaj uzbrojeni po zęby i odziani w stylizowane liberie strażnicy. Kiedy Lando stanął przed nimi, dali mu znak, żeby nie próbował żadnych sztuczek. Później wskazali mu, dokąd iść, a sami odwrócili się i stanęli po obu stronach. Lando pomyślał, że kosmoport, który z wysokości kilku kilometrów sprawiał wrażenie tętniącego życiem, w rzeczywistości był dziwnie wyludniony. Jak okiem sięgnąć, nie widział żadnej istoty, organicznej ani mechanicznej, krzątającej się przy jakimkolwiek innym gwiazdnym statku.

Strażnicy, idąc po obu bokach Calrissiana, poprowadzili go wąskim ferrobetonowym chodnikiem do służbowego budynku, wyłożonego karbowanymi plastikowymi płytkami. Kiedy znaleźli się w środku, niemal wpełnęli go do klatki ponurej, towarowej windy. Lando stwierdził, że niepotrzebnie zawracał sobie głowę wkładaniem skafandra i hełmu. Ciężenie miało wystarczająco dużą wartość, aby nie dopuścić do ucieczki atmosfery, a przezroczysty pojemnik w kształcie bańki nie był najwygodniejszym ani najodpowiedniejszym miejscem do przenoszenia pakunku z lesajem.

- No, i co, chłopaki - zagadnął uprzejmie, kiedy klatka windy ruszyła i zaczęła opadać. - Czy wszyscy u was cieszą oczy widokiem fajerwerków Ogniowichru? A przy okazji, gdzie są pozostali?

Odpowiedziała mu głucha cisza, w trakcie której Calrissian poświęcił kilka chwil, starając się cokolwiek zobaczyć przez przypominającą lustro osłonę ciężkiego hełmu, który ochraniał głowę strażnika stojącego po lewej stronie. Zauważył tylko zniekształcony wizerunek ozdobionej wąsami śniadej twarzy młodego hazardzisty, bezskutecznie usiłującego nawiązać grzecznościową rozmowę.

Kabina windy zatrzymała się z szarpnięciem, które zgięło nogi Landa w stawach kolanowych. Drzwi z głośnym szumem rozsunęły się na boki i strażnicy wprowadzili Calrissiana do pomieszczenia, wyglądającego jak gigantyczna biblioteka. Wielka sala miała kształt półkuli o średnicy większej niż pół klika. Niemal całą wolną przestrzeń zajmowały regały i szafki. Wypełniono je najrozmaitszymi publikacjami, wydаныmi przez rasy istot, zamieszkujących chyba całą znaną część galaktyki. Lando widział w szafkach mikrofilmy, pręty i kryształy pamięciowe, kasety i taśmy różnych wielkości i kształtów, książki w twardych i miękkich okładkach, bez obwolut i w obwolutach, rulony i zwoje, wydruki na folii i papierze, drzeworyty i gliniane tabliczki, a także bambusowe pręty, kamienie, kości i zwierzęce skóry, ułożone lub rozciągnięte na stojakach albo splecionych sznurach. Widział także całe mnóstwo innych przedmiotów, których pochodzenia nawet nie mógł się domyślać. Nie zgadłby, do czego służą, gdyby nie widział ich, spoczywających obok wielu innych przedmiotów, wykonanych z myślą o przechowywaniu informacji.

Jedynymi drobiazgami, których nie widział, byli bibliotekarze oraz czytelnicy. Pomieszczenie sprawiało wrażenie wyludnionego.

Hazardzista doszedł do przekonania, że bilioner jest takim samym niewolnikiem słowa pisanego (drukowanego, rzeźbionego, rytego, dziurkowanego), jak lesaju. Istniała również możliwość, że Bohhuah Mutdah podniósł udawanie do rangi sztuki. A może po prostu gromadził te przedmioty, gdyż tylko w taki sposób mógł odpisać ich wartość od zeznania podatkowego?

Cała trójka - Lando i dwaj wierni opiekunowie - zostali pociągnięci przez długie fluoryzujące monowłókno, jedno z setek, poręcznie snujących się po przypominającym jaskinię pomieszczeniu. Znaleźli się na samym środku, gdzie odpoczywał opasły gigant. Bohhuah Mutdah siedział, wsłuchując się w słowa jakiejś książki, którą czytał mu wątył starszawy mężczyzna, odziany w długą białą szatę. Bilioner miał na sobie jedynie krótkie

purpurowe spodenki. Z materiału, z którego je sporządzono, można byłoby uszyć dla hazardzisty trzyczęściowy garnitur i dodatkową parę spodni.

- Ach, kapitan Calrissian! - syknął olbrzym, unoszący się bez wysiłku w powietrzu. Kiedy wykonał jakiś gest, jego ciało zafalowało jak powierzchnia wzburzonego morza.

- Rozumiem, że przyleciałeś, żeby dostarczyć mi coś cennego. Nie zważając na niebezpieczeństwa, jakie niesie słoneczna burza, ryzykowałeś życie, by wywiązać się z zadania. Czy mam rację?

Lando, zirytowany protekcyjnym tonem, jakim zwracał się do niego Bohhuah Mutdah, głośno chrząknął, a po chwili kiwnął głową- w taki sposób, że tylko ktoś głupi mógłby uznać to za ukłon. Uniósł rękę, zamierzając sięgnąć do wnętrza hełmu i wyciągnąć pakunek z lesajem.

- Stać! Nie ruszać się!

I to z ust strażnika, który nawet nie chciał porozmawiać z przybyszem na temat pogody! Obaj opiekunowie wyciągnęli blastery i wymierzili lufy w głowę hazardzisty. Pierwszy spojrzął pytająco na Mutdaha. W odpowiedzi bilioner kiwnął głową. Ruch był tak nieznaczny, że Lando z trudem go zauważył. Strażnik zabrał Calrissianowi hełm z drogocenną zawartością. Nie wypuszczając broni, przez chwilę go oglądał, a potem, zapewne uspokojony, zwrócił dotychczasowemu właścicielowi.

Drugi strażnik wyciągnął rękę.

- No, dobrze, oddaj to! Lando zamrugął.

- O co ci chodzi?

Z ust bilionera wydobył się astmatyczny chichot.

- O twój pistolet, kapitanie. Zostałeś prześwietlony, kiedy zjeżdżaliście windą.

Nie ukrywając niesmaku, hazardzista ostrożnie wyciągnął miniaturowy paralizator, po czym wręczył go drugiemu strażnikowi.

- Drugi także, jeżeli mogę prosić, kapitanie.

Lando wzruszył ramionami i zwróciwszy się w stronę Mutdaha, wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Pochylił się i wyciągnął drugi identyczny pistolet zza cholewki buta. Wyprostował się i podał broń temu samemu, stojącemu po prawej stronie strażnikowi. Z satysfakcją przekonał się, że mężczyzna ma pewne kłopoty z utrzymaniem trzech sztuk broni w dwóch dłoniach. - I co teraz? - zapytał cicho.

- To byłoby wszystko, sierżancie. Dziękuję - odezwał się Bohhuah Mutdah, po czym odwrócił się do służącego, który przez cały czas stał z obojętnym wyrazem twarzy. - Ty także możesz odejść, Ekispie.

Po chwili Lando i bilioner zostali sami. Obaj siedzieli, unosząc się w powietrzu pośrodku gigantycznej biblioteki.

- Serdecznie dziękuję ci, kapitanie Calrissian, że zechciałeś zadać sobie z mojego powodu aż tyle trudu. Proszę, wybac nieustanną troskę o moje zdrowie, jaką okazują moi podwładni. Jestem im winien wdzięczność, chociaż czasami bywa to trochę kłopotliwe. Twoja broń zostanie ci zwrócona, kiedy będziesz odlatywał.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Lando milczał.

- Na stoliku pod książką, którą czytał mi stary Ekisp, znajdziesz jeszcze jeden pakunek - ciągnął bilioner. - Proszę, otwórz go i sprawdź, co jest w środku, by przekonać się, że zawiera to, co powinien. Zamiast niego pozostaw tę paczkę, którą przyniosłeś w hełmie. Czy nie mógłbyś się zająć tym od razu?

Pociągnawszy lekko za jakąś część splecionej z monowólkien sieci, którą byli otoczeni, Lando popłynął w powietrzu w kierunku stołu - przedmiotu podobnego do mebla, jakie zwykle stawia się przy jednym albo drugim skraju sofy i zupełnie nieestosownego w takim miejscu, zważywszy na brak ciężenia. Zwrócił uwagę, że książka ma kształt

sporządzonego ze starannie wyprawionej cielejącej skóry grubego podwójnego zwoju i została wydrukowana alfabetem, którego nie tylko nie znał, ale nigdy w życiu nie widział. Leżała, wciśnięta pod szeroką elastyczną taśmę, ciągnącą się od jednego krańca blatu do drugiego.

Jak wspominał bilioner, pod książką spoczywało zawiniątko. Lando zsunął nieprzezroczystą brązową plastikową opaskę i z wysiłkiem zmusił się, żeby jego brwi nie powędrowały na czoło. W pakunku znajdował się plik banknotów o nominale stu tysięcy kredytów każdy. Hazardzista przejechał po krawędzi nawykłym do takich czynności kciukiem i ocenił, że plik zawiera co najmniej dwieście takich samych kartek. Dwadzieścia milionów kredytów! Omal nie gwizdnął.

Aż tyle za pleśń, porastającą grzbiet egzotycznej jaszczurki? Umieścił pod elastyczną taśmą paczkę z lesajem, przykrył książką i odepchnął się od stołu.

- Dziękuję panu — powiedział. - Jeżeli to wszystko, chyba wróćę teraz na...

Mutdah otworzył usta. Chyba zamierzał coś powiedzieć, ale nie zdążył, gdyż w pomieszczeniu rozległ się donośny... ŁOMOT!

Drzwi szybu windy, wypchnięte siłą eksplozji kierunkowego ładunku wybuchowego, wyrzuciły się i upadły na podłogę. Dwa zmasakrowane ciała - strażników, którzy w chwili wybuchu znaleźli się po niewłaściwej stronie - koziółkując w powietrzu, poszybowały w głąb ogromnej biblioteki.

Z chmury dymu, wiszącej w okolicach szybu windy, wyskoczyły dwie osoby, odziane w próżniowe kombinezony. Posługując się miniaturowymi silniczkami odrzutowymi, znieruchomiały w powietrzu pośrodku pomieszczenia, po czym wymierzyły lufy blasterów w tors bilionera.

- Bohuahu Mutdahu - odezwała się oficjalnym tonem Bassi Vobah. - Na mocy rozkazu, wydanego przez Starszego Administratora systemu Oseona, aresztuję cię pod zarzutem kupowania i zażywania nielegalnych substancji!

Mutdah obdarzył policjantkę dobrośliwym uśmiechem. Wyglądało na to, że eksplozja albo go nie zaskoczyła, albo nie wywarła na nim żadnego wrażenia. Przez chwilę patrzył na Bassi, a potem przeniósł spojrzenie na zdumionego Calrissiana. Zapewne się zastanawiał, czy hazardzista może mieć z tym coś wspólnego. W końcu popatrzył na Waywę Fybotę, który wyglądał nieprawdopodobnie komicznie w zbyt obszernym kombinezonie, mającym kształt wielkiego ptaka.

Waywa Fybot odwzajemnił jego spojrzenie. Czyżby z jego oczu wyzierało pytanie?

Mutdah kiwnął głową. Tajny funkcjonariusz urzędu do spraw zwalczania handlu narkotykami skierował lufę blastera w bok, a potem przycisnął spust i zgrabnie odstrzelił głowę Bassi Vobah od reszty ciała.

ROZDZIAŁ XV

Ciało Bassi Vobah odchyliło się do pionu i zaczęło dryfować w powietrzu, mimo iż bezwładne nogi ułożyły się pod dziwacznym kątem. Po chwili nieruchoma ręka zawadziła o jakieś mono- włókno, wskutek czego ciało obróciło się w locie i poszybowało w inną stronę. Wkrótce dołączyło do ciał strażników, unoszących się w powietrzu między regałami z książkami.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym teraz usłyszeć twój raport, funkcjonariuszu Waywo - odezwał się Bohuahu Mutdah.

Stworzenie przyjęło postawę zasadniczą i dziarsko zasalutowało.

- Rozkaz, na mocy którego mieliśmy pana aresztować, wydano na najwyższym szczeblu

władzy. Najwyższym ze wszystkich możliwych. Co więcej, na krótko, zanim oddelegowano mnie do tego sektora, otrzymałem ustne polecenie, z którego wynikało, że powinienem uczynić wszystko, co w mojej mocy, by nie przeżył pan tego aresztowania. Dla uzyskania pewności, że polecenie zostanie wykonane, na miejscowego gubernatora wywarło duży nacisk. Zagrożono mu, że jeżeli się na to nie zgodzi, ucierpią członkowie jego rodziny, jego przyszłość i dobra opinia, jaką się cieszył pomimo... ehm... pomimo...

Bilioner uśmiechnął się i zamrugał, kilka razy zasłaniając i odsłaniając mięsistymi powiekami małe, podobne do rodzynek oczy. Jakby chcąc rozwiać wątpliwości funkcjonariusza, wykonał ręką ruch, po którym przez fałdy cielska znów przetoczyły się obrzydliwe fale.

- Proszę, mów dalej, drogi przyjacielu. Możesz być z nami absolutnie szczerzy. Prawda nie może obrazić ani zgorszyć rozumnej istoty.

- Jak pan sobie życzy - odparł wyraźnie odprężony Fybot. - Pomimo uzależnienia od lesaju.

Jakimś cudem Lob Doluff dowiedział się, a może domyślił, że mam wypełnić owo tajne polecenie. Wysłał ją... - Gestem wskazał miejsce, gdzie w odległości kilkudziesięciu metrów unosiło się bezwładne ciało Bassi Vobah. - Wysłał ją, aby dopilnowała, że nie zostanie wykonane.

Stopniowo, z sekundy na sekundę, podobna do wielkiego ptaka istota coraz bardziej się podniecała i coraz szybciej wyrzucała z siebie słowa. W piskliwym głosie funkcjonariusza zaczynały brzmieć pierwsze nutki hysterii. W pewnej chwili Waywa Fybot umilkł, zapewne pragnąc zaczerpnąć haust powietrza. Później ciągnął:

- Kapitan Calrissian pod groźbą wykonania wyroku śmierci został zmuszony do zapewnienia środka transportu i udzielenia pomocy w trakcie aresztowania. Mimo to absolutnie nikt - ani Starszy Administrator, ani szef jego policji, ani nawet, mam nadzieję, moi przełożeni - nie wiedzą niczego na temat naszej... ehm... naszej...

Mutdah obdarzył tajniaka łaskawym uśmiechem.

- Doskonały raport, funkcjonariuszu Fybot - powiedział. - Zwięzły i treściwy. Jestem zadowolony, że wszystko zakończyło się tak pomyślnie.

Ale powiedz mi jedno. Przylecieliście prawie dwadzieścia godzin później, niż się was spodziewaliśmy. Rozumiem trudności, jakie mogło sprawić wam pokonywanie szalejącego Ogniowichru, ale... Dwadzieścia godzin? Czy to nie przesada?

Obca istota zamrugała, po czym w końcu uświadomiła sobie, że powinna schować blaster. Wsunęła go do kabury i zapięła patkę.

- Kiedy lecieliśmy na tę asteroidę, przydarzyła się nam niezwykła przygoda. Mimo iż trening i ćwiczenia, jakie przeszedłem, kształcąc się w imperialnej akademii, powinny były uodpornić mnie na coś takiego, uległem niezwykle sugestywnej halucynacji. To jeszcze nie wszystko, proszę pana. Zostaliśmy zaatakowani przez zbieraninę dziwacznych wojskowych gwiazdnych jednostek, wskutek czego musieliśmy uciekać i szukać kryjówki. Nasz frachtowiec odniósł niewielkie uszkodzenia.

Wielki ptak urwał i zawałał się, jakby opowiadanie dalszego ciągu historii przychodziło mu z wielkim trudem. Lando pomyślał, że wie, dlaczego, i spodziewając się, co za chwilę usłyszy, zacisnął pięść.

- Proszę pana - podjął opowiadanie upierzony policjant. - Po ataku prześladowców doszedłem do przekonania, że Calrissian stał się zbędnym członkiem wyprawy. Przejąłem inicjatywę we własne ręce i dopuściłem się sabotażu jego kosmicznego skafandra. Liczyłem na to, że w ten sposób się go pozbędziemy. Pomyślałem, że dzięki temu może uda mi się także pokrzyżować plany Bassi Vobah, która nie będzie mogła liczyć na niczyją pomoc, kiedy zdecyduje się aresztować pana. Ufając własnym umiejętnościom, żywiłem nadzieję, że sam doprowadzę „Sokoła Milenium” na pana asteroidę. Calrissianowi

pomagał android- pilot, który...

- Tak, tak - przerwał mu Bohhuah Mutdah, po raz pierwszy zdradzając zniecierpliwienie. Lando odprężył się i zaczął znów oddychać miarowo. Liczył na to, że fakt istnienia małego pięciorekiego przyjaciela - najsilniejszego atutu w całej talii kart - nie zostanie ujawniony w trakcie niezobowiązującej rozmowy.

- Opowiedz mi coś więcej o tych napastnikach - ciągnął bilioner. - Kim byli? Czego od was chcieli?

- Proszę pana, nie wystąpili z żadnym żądaniem. Oni po prostu... Nie mam pojęcia, czego chcieli.

- Kapitanie? - Bohhuah Mutdah zwrócił się do Calrissiana. - Z pewnością pan to wie, prawda?

Lando wzruszył ramionami.

- Staralem się to odgadnąć przez cały czas trwania lotu - odparł cicho. - Przypuszczam, że może istnieć jakiś związek między tym atakiem a napaścią pirackiego statku, który zaatakował mnie w drodze z Diloneksy do systemu Oseona. Możliwe też, że między tymi dwoma zdarzeniami nie zachodzi żaden związek.

Mutdah zastanawiał się nad otrzymaną odpowiedzią o wiele dłużej niż - zdaniem Landa - powinien. W końcu mruknął do siebie:

- To możliwe...

Po następnych kilku chwilach dodał, jakby nagle zmienił zdanie: - A może nie...

W końcu pokręcił ogromną głową i obrócił ją nieznacznie, akurat na tyle, żeby móc spojrzeć na Calrissiana.

- Może wyjaśnię, że funkcjonariusz Fybot nigdy nie był zadowolony z obowiązków, jakie kazano mu wypełniać. Kiedy wywiadowcy poinformowali mnie o wszystkich planach, zorientowałem się, że został wcielony do policji w ramach daniny, jaką musiał złożyć jego oczyszczony system centralnemu rządowi galaktyki.

Nasz drogi Waywa jest stworzeniem łagodnym i litościwym. W głębi duszy marzy jedynie o tym, żeby stać się jak najlepszym szefem kuchni. Podejrzewam, kapitanie, że oboje nie potrafilibyśmy się oprzeć smakowi potraw, przyrządzanych przez naszego miłego funkcjonariusza. Jego ziomkowie uważają, że ma niezwykle talent, a sam Waywa marzy tylko o tym, żeby podjąć przerwane kształcenie w tym miejscu, w którym musiał z niego zrezygnować, kiedy został wcielony do służby.

Czy przedstawiłem twój problem we właściwym świetle, drogi Waywo?

Podobna do ptaka istota uniosła ręce, obróciła hełm o niewielki kąt, odłączyła od pierścienia kombinezonu i przycisnęła ramieniem do torsu. Zmarszczyła tę część twarzy, której mięśnie na to pozwalały, i wykrzywiła ją w grymasie, oznaczającym - jak zdążył się zorientować Lando - uszczęśliwienie.

- Och tak, naprawdę we właściwym, proszę pana! Bilioner zwrócił się znów w stronę hazardzisty.

- W zamian za zgodę na współpracę, zapewniłem Waywę, że nie będzie musiał dłużej niewolniczo służyć centralnemu rządowi. Zamierzam wywiązać się z tej obietnicy i w ten sposób dotrzymać swojej części umowy.

Wykonał zdumiewająco szybki ruch i wyciągnął spod między mięsistych fałd zwalistego cielska miniaturowy pistolet, a potem celnym strzałem prześwidrował podbrzusze Fybota. Skupiony promień światła przeniknął i materiał kombinezonu, i ciało ptaka. Na twarzy funkcjonariusza zamarł wyraz zdumienia i przerażenia. Po chwili bezwładne ciało oddaliło się od środka pomieszczenia.

Dzięki temu w bibliotece unosiły się już cztery trupy. Hazardzista pomyślał, że sprawy zaczynają przybierać niepomysłny obrót.

- Budowa anatomiczna ciał takich istot wygląda inaczej, niż można byłoby się spodziewać - odezwał się beznamietnie Bohhuah Mutdah. - Możesz mi wierzyć, albo nie, ale ten strzał przeszył samo serce biednego Waywy.

Swoją tłustą ręką, którą rzekomo nie posługiwał się od wielu lat, zgrabnie wsunął pistolet za szeroki pas, utrzymujący krótkie spodnie. Unosił się w powietrzu i spoglądał na Calrissiana, gotów w jednej sekundzie wyciągnąć broń i strzelić.

Lando nie mógł nie zwrócić uwagi na fakt, że otyły mężczyzna potrafi poruszać się niewiarygodnie szybko.

Zauważył także coś jeszcze - wyraz ponurego i okrutnego zadowolenia, jaki odmalował się na obliczu bilionera. Pomyślał, że ten gość naprawdę lubi zabijać.

Tymczasem Bohhuah Mutdah wbił badawcze spojrzenie w Landa, jakby starał się zgadnąć, co może teraz zrobić młody hazardzista.

- Zastanawiam się, drogi kapitanie Calrissian, co mam z tobą począć - odezwał się w pewnej chwili. - Jak sam widziałeś, wyeliminowałem - albo przyczyniłem się do wyeliminowania - dwoje zaprzysiężonych stróżów prawa. Jestem pewien, że fakt ich zniknięcia nie pozostanie niezauważony. Co więcej, dokonałem nielegalnego zakupu bardzo dużej ilości zakazanej substancji. I przekupiłem agenta galaktycznego rządu. Krótko mówiąc, nie uczyniłem niczego, o co nie mógłbym się zatroszczyć, wypłacając odpowiednią sumę.

Opasły mężczyzna ponownie wskazał gestem blat niewielkiego stołu.

- W górnej szufladzie znajdziesz pudełko, pełne wyśmienitych cygar - ciągnął. - Zechciej wyświadczyć mi uprzejmość. Wyjmij dwa i zapal za pomocą zapalniczki, którą również znajdziesz w tej szufladzie. Podaj mi jedno i dotrzyмай towarzystwa, paląc drugie.

Tłusta ręka nie oddaliła się jednak od miejsca, w którym zniknął mały pistolet.

Lando postąpił zgodnie z otrzymanymi instrukcjami - z jednym wyjątkiem. Nie zapalił cygar. Wręczył jedno Mutdahowi i zasugerował, że może podać ogień.

- Och, daj spokój, drogi kapitanie - zachnął się bilioner. - Jak przypuszczam, obawiasz się, że zostaniesz otruty albo spotka cię inna, równie śmieszna przygoda. Posłuchaj. Zapalę oba cygara, jeżeli zechcesz podać ogień... Nie, nie pozwól, aby płomień musnął drugi koniec. O tak, trzymaj zapalniczkę odrobinę niżej, dopóki nie ujrzysz, że cygaro się pali. Właśnie w taki sposób powinno się postępować z dobrym cygarem. A teraz, bardzo proszę, zechciej wybrać jedno z nich.

Lando był hazardzystą, a jego zajęcie polegało na manipulowaniu kartami. Wiedział, jak „zmusić” przeciwnika do wybrania określonej karty w taki sposób, aby ofiara była przekonana, że ma absolutną swobodę wyboru. Mutdah nie usiłował postawić go w takiej sytuacji.

Sięgnął po jedno z cygar. Rzeczywiście, było bardzo, bardzo dobre.

- No cóż - powiedział, kiedy kilka razy głęboko się zaciągnął. Wciąż jeszcze nie zapomniał ukrytych w sejfie na pokładzie „Sokola Milenium” cygar, które niechcący skruszył - i których nie mogły mu zastąpić papierosy, niezgrabnie skręcane z ich tytoniu. - Po tym wszystkim, co tu widziałem, nie sędzę, żebyś pozwolił mi ruszyć w dalszą drogę. Uwierzę, że nie obchodzi mnie, jakie substancje sprawiają ci radość, a tych dwoje - szerokim gestem omiół ogromne pomieszczenie, w którym unosiły się zwłoki Vobah i Fybota - nie zaliczało się do grona moich przyjaciół.

Bohhuah Mutdah powoli wypuścił kłąb wonnego dymu.

- Byłbym skłonny uwierzyć ci o wiele bardziej, drogi chłopcze, gdybym nie widział na twojej twarzy wyrazu, jaki pojawił się, kiedy ci dwoje umierali. Podejrzewam, że starasz się, aby wszyscy uważali cię za beztróskiego awanturnika i poszukiwacza przygód, który nie troszczy się o nic poza własnymi problemami. Nie wątpię jednak, kapitanie, że w

głębi serca pozostałeś moralistą. W związku z tym musiałbym do końca życia oglądać się przez ramię, żeby sprawdzać, co robisz i gdzie przebywasz. Musiałbym się upewniać, czy nie knujesz przeciwko mnie czegoś brzydkiego.

Wzruszył masywnymi, przerośniętymi tłuszczem ramionami.

- A jak widzisz, sprawiłoby mi to pewną trudność.

Lando poczuł, że jakaś niewidzialna dłoń ściska go za gardło. Nie żywił żadnych złudzeń co do losu, jaki go oczekiwał, od chwili kiedy ujrzał, jak ginie Waywa Fybot. Pomyślał, że już wkrótce w ogromnej sali będzie się unosiło aż pięć zdanych na łaskę i niełaskę prądów powietrza trupów. Następne kilka sekund zadecyduje, czy tym piątym będzie ktoś szczupły i odziany w mundur, czy też może otyły i półnagi.

- A zatem, jak sądzę, nie dojdziemy do porozumienia? - zapytał, chociaż domyślał się, jaką usłyszy odpowiedź. Drugi pistolet, który zabrał na wszelki wypadek, nie był jedynym środkiem ostrożności, jaki pozwolił sobie przedsięwziąć, ale nie miał pojęcia, jak mógłby w takiej sytuacji zrobić użytek z pozostałych.

- Obawiam się, że nie - odparł ze smutkiem Bohhuah Mutdah. - I to z więcej niż jednego powodu. W dolnej szufladzie znajdziesz parę kajdanek. - Wyciągnął pistolet i wymierzył lufę w młodego hazardzistę. - Chciałbym, żebyś je założył. Jeżeli nie spełnisz mojej prośby, nastawię broń na niewielką moc i nie zabiję cię, ale będę smażył, dopóki nie usłuchasz. Pierwszym strzałem porażę dolną część kręgosłupa, tak abyś nie mógł uczynić nic, by przyspieszyć późniejszą agonię. Wyciągnij kajdanki i załóż je. Proszę.

Lando zastanawiał się przez chwilę, nie spuszczać spojrzenia z lufy pistoletu. Później wbił je w bezlitosne, podobne do ciemnych paciorków oczy Mutdaha. Wyjął kajdanki, które okazały się urządzeniem energetyczno- mechanicznym. Oprócz konwencjonalnego zatrasku zostały wyposażone w miniaturowy generator promienia przyciągającego o regulowanej, zdalnie nastawianej sile. Najlepsze z możliwych, najbardziej niezawodne i najdroższe. Mógł być się tego spodziewać.

- O, właśnie tak - odezwał się zachęcająco opasły bilioner. - A teraz je załóż.

Lando wzruszył ramionami - bardziej do siebie niż kogokolwiek innego - po czym założył obręcz na nadgarstki i zatrzasnął zamki. Mimo wszystko, nie tracił nadziei. Mutdah jeszcze z nim nie skończył. Żywił względem niego jakieś plany. Przecież nie zawracał sobie głowy zakuwaniem Bassi Vobah ani jej partnera.

- Bardzo dziękuję, kapitanie. A teraz umieść promień kajdanek w tamtej pętli monowłókna. O tak, doskonale. Pamiętasz, jak wspominałem, że istnieje więcej niż jeden powód, dla którego nie mogę pozwolić ci odlecieć? Przypominasz sobie, że to powiedziałem?

Lando nie ukrywał irytacji. Wręcz przeciwnie, postarał się, żeby odmalowała się na jego twarzy.

- Dlaczego świrusy takie jak ty zawsze muszą robić dramatyczne ceregiele? - zapytał. - Jeżeli pragniesz mnie zabić, bądź tak miły i zrób użytek z tego pistoletu. Nie dopuść, żebym zanudził się na śmierć.

Po bezdrożach oblicza bilionera zaczął się rozprzestrzeniać rumieniec gniewu. Z sekundy na sekundę ogarniał coraz większe połacie mięsistej twarzy. Bohhuah Mutdah uczynił heroiczny wysiłek i wstał, a potem znów wymierzył lufę broni w młodego hazardzistę.

- Prawda wygląda tak, kapitanie Calrissian - powiedział - że nie zamierzam cię zabijać. Kształty opasłego cielska bilionera zadrżały, a potem rozmyły się i zmieniły. Barwy stopiły się i mieszały i wkrótce zaskoczonym oczom ofiary ukazała się zupełnie inna postać. O wiele mniejsza, szczuplejsza i odziana od stóp do głów w ciemnoszarą szatę. W zawoju, który okrywał niemal całą głowę, zapłonęły oczy przepelnione nienawiścią.

- Ponieważ jestem Rokur Gepta i zamierzam torturować cię, aż sam będziesz mnie błagał, bym cię zabił.

ROZDZIAŁ XVI

- Sabak!

Lando Calrissian triumfował. Dwadzieścia trzy punkty. Rzucił karty na blat stołu. W następnej chwili jednak jego triumf przemienił się w rozczarowanie. Młody hazardzista uświadomił sobie, że zwlekał zbyt długo z rzuceniem kart na środek stołu, gdzie nie mogły zmienić wartości.

W ciągu krótkiego czasu, jaki upłynął od wydania radosnego okrzyku do pokazania kart pozostałym graczom, wszystkie karty przeobraziły się w całkiem inne, wskutek czego stracił szansę wygranej!

Siedemnastoletni niedoszły zawodowy hazardzista skreślił się ze wstydu. Prawdę mówiąc, zanim zasiadł przy stoliku, a nawet zanim wszedł do znajdującej się na zapleczu miejscowego baru obskurnej sali, musiał błagać właściciela lokalu o pozwolenie. Okłamał rodziców i uciekł ze szkoły... a nawet, jakby tego było mało, pogwałcił albo poważnie naruszył kilka praw i przepisów. Wszystkie dotyczyły udziału osób nieletnich w grach, powszechnie uznawanych za hazardowe, a zwłaszcza w pomieszczeniach spelunek, podobnych do tej, gdzie znajdował się w tej chwili.

Żałował, że nie jest w domu i nie leży w łóżku. Żałował, że nie może ukryć się pod łóżkiem. Żałował, że kiedykolwiek zobaczył talię kart- płytek, że ćwiczył nimi i starał się dojść do dużej wprawy. Żałował, że wyobrażał sobie, iż zostanie zawiadką, łajdakiem i uwodzicielem.

To wszystko tylko sen. Niemądry, idiotyczny sen.

- To wszystko tylko ułuda, kapitanie Calrissian!

Lando potrząsnął głową. Usytuowany na zapleczu baru obleśny pokój zniknął, a wraz z nim poniżające uczucie pomyłki i przegranej. Pamiętał, że w rzeczywistości wygrał tamtą grę i przyniósł do domu więcej pieniędzy niż kiedykolwiek przedtem zdobył w jednym lokalu. Dlaczego więc o tym nie pamiętał?

Zamiast obskurnego baru zobaczył starannie przystrzyżony trawnik i ciągnący się po sam horyzont ogród pełen drzew. Nad głową szalał Ogniowicher, malując nieboskłon różnobarwnymi, splatającymi się i pulsującymi smugami. To właśnie na tym trawniku widział grupy różnych istot, kiedy podchodził do lądowania na Oseonie Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa. Gdzie się wszystkie podziały?

- Obrazy, jakie widzisz w tej chwili, drogi chłopcze, nie są ani odrobinę bardziej rzeczywiste - ciągnął ten sam głos, co poprzednio. — Ani trochę bardziej konkretne czy prawdziwe niż wspomnienia, których doświadczałeś do tej pory. Właśnie tak wygląda podstawowa prawda, której musi nauczyć nas bezkresny wszechświat! I wygląda na to, że podobnie jak niemal wszyscy inni mizerni śmiertelnicy, nie przyswoisz sobie tej oczywistej prawdy, dopóki nie dojdiesz do samego końca nędznego życia!

Syczące dźwięki, jakie rozbrzmiewały w tym głosie, miały w sobie coś nieprzyjemnie znajomego. Lando z wysiłkiem obrócił głowę i spojrzał przez ramię - był skrupowany! - ale nie zobaczył osoby, z której ust się wydobywały. Pole widzenia ograniczał wykonany z jakiegoś syntetycznego marmuru blat przewróconego ogrodowego stolika, do którego został przywiązany. Widział tylko trawnik i ogród, ciągnący się chyba po sam horyzont. I fajerwerki Ogniowichru.

Nagle usłyszał szelest bosych stóp albo rannych pantofli, gniotących bujną trawę. Jakaś postać obeszła stolik - zapewne oparty o ogrodową ławkę - i w końcu znieruchomiała przed Calrissianem.

- Rokur Gepta!

Czarownik uśmiechnął się, chociaż zwoje turbanu, osłaniającego całą twarz z wyjątkiem oczu, nie pozwoliły tego zauważyć. Uśmiech dało się jednak wyczuć w tonie głosu.

- A ty myślałeś, że nie żyję! Że padłem ofiarą społecznych przeobrażeń, do jakich doszło, kiedy obaj przebywaliśmy na Rafie Cztery! Nie, kapitanie, przeżyłem i w dalszym ciągu żyję - od tak wielu lat, że nawet nie potrafiłbyś sobie wyobrazić. Niełatwo mnie zabić. Na ogół nie pozwalam, żeby jacyś obcy pozbawiali mnie życia!

Lando nie zdecydował się na dowcipną odpowiedź. Nawet nie wiedziałby, co powiedzieć. Przede wszystkim, uznał, że byłoby to niewłaściwe - zważywszy na fakt, iż był unieruchomiony i bezradny. Energetyczne kajdanki przytwierdzono do stołu, a przebiegający nad jego głową strumień mocy niemal muskał marmurową powierzchnię blatu. Druga para takich samych kajdanek krępowała jego tkwiące w nogawkach skafandra kostki. Lando i Gepta znajdowali się nie w ogromnej, pozbawionej ciężenia i przypominającej jaskinię sali biblioteki, ale pod kopułą, na powierzchni asteroidy.

Calrissian nie pamiętał, jak i kiedy tu trafił.

- Żadnych uwag? - zakpił czarownik. - Widzę, że w końcu nauczyłeś się, jak zachowywać chociaż odrobinę szacunku. To nie pora na dowcipne odpowiedzi, ale czas na rozmyślanie. Niedługo ogarnie cię agonia tak straszliwa, że nikt w historii inteligentnego życia jeszcze takiej nie doświadczył. Dlatego fakt, że staniesz się jednym z pierwszych, na których ją wypróbuje, powinienes potraktować jako przywilej i najwyższy zaszczyt.

Niedawno doświadczyłeś pierwszej próbki tortury przez zamartwianie.

Czarownik wykonał zamaszysty gest ukrytą w czarnej rękawicy dłońią.

Świt na Rafie Cztery. Więzienne cele. Szereg pozbawionych ścian klatek, oddzielonych od pozostałych długim wąskim przejściem. I ogłuszający, świdrujący w uszach hałas. Odgłos budzenia nieszczęsnych więźniów. I rozkaz popędzenia ich do wysysającej umysł pracy w życiosadach.

Strażnik, przejeżdżający czymś twardym po prętach wąskiej celi. Lando wzdrygnął się i przebudził. Na myśl o tym, co go czeka, poczuł przenikającą do głębin duszy trwogę. Pragnąc ukryć się przed hałasem, wcisnął się w kąt celi. Nierówny oddech wydobywał się z jego piersi z dźwiękiem, coraz bardziej przypominającym skomlenie.

CHLUUUST!

Strumień wody, który niespodziewanie wystrzelił z końcówki przeciwpożarowego węża, wprowadził go w jeszcze większe przerażenie. Uniósł w powietrze i rzucił o kamienną ścianę. Lodowata woda docierała do każdego zakątka ciała. Wciskała się pod powieki, oślepiła... przedostawała się do ust i nosa. Lando osunął się na kolana i zrozpaczony zaczął tłuc głową o ścianę. Kulił się i starał znaleźć chociaż trochę miejsca, by zaczerpnąć haust powietrza. Usiłował pokonać przemożną siłę strumienia wody, który starał się pozbawić go życia. Za wszelką cenę pragnął przeżyć...

- Twierdzisz, że to wcale nie odbyło się w taki sposób? Gepta przechadzał się powoli przed Calrissianem, napawając oczy widokiem agonii hazardzisty. Mimo kropli potu, pokrywających każdy centymetr kwadratowy skóry, Lando na samo wspomnienie tamtych chwil czuł zimno, przenikające go do szpiku kości. Czarownik miał jednak rację. To wcale nie odbyło się w taki sposób.

- To... to trwało tylko kilka sekund - wyjąkał, wciąż jeszcze przerażony. Możliwe, że dzięki temu ułatwiał zadanie podstępnemu czarownikowi. Nie znoślił myśli, że mógłby sprawić zaleńcowi jakąkolwiek satysfakcję. Musiał jednak zrozumieć, co się dzieje.

- Nie czułem się wcale taki zagubiony. Prawdę mówiąc, wymyśliłem sposób, by uciec. I to wszystko trwało zaledwie kilka sekund, a nie godzin, jak przed chwilą...

Urwał, nie mogąc wykrztusić ani słowa więcej. Drżał i dygotał. Trząsł się na wspomnienie

czegoś, co wówczas, kiedy przeżywał to po raz pierwszy, wcale nie wydawało mu się takie straszne.

- Jesteś odważnym człowiekiem, kapitanie Calrissian, ale nie chcesz przyznawać się do tego nawet przed sobą. Jak nazywasz taką cnotę? Twórczym tchórzostwem? Uważasz się za pragmatyka, niezdolnego do bohaterskich czynów.

Rokur Gepta umilkł i niemal nieruchomo stał przed nieszczęsnym hazardzistą. Tymczasem na oszalałym niebie nie przestawał panoszyć się Ogniowicher, rzucając różnobarwne cienie na powierzchnię asteroidy. Lando potrząsnął głową, zamierzając strącić łyzy, które napłynęły mu do oczu. Szarpnął się w nadziei, że może zerwie okowy. Jak się spodziewał, nie puściły.

- A jednak - ciągnął Gepta - czymże jest odwaga, jeżeli nie umiejętnością pozbywania się wszelkich obaw? Zdolnością do ignorowania ich i tłumienia, żeby można było wykonać to, czego tak się obawiamy? To, czego doświadczasz w tej chwili, kapitanie, jest obawą, którą zdusiłeś w sobie i zwalczyłeś, kiedy doświadczałeś wszystkiego po raz pierwszy.

Teraz nie masz wyboru!

Niespodziewany atak!

Pilotując „Sokoła” jedną ręką, Lando rozpaczliwie starał się obsługiwać drugą umieszczone w sterowni frachtowca mizerne działo. Tymczasem przypadkowa zbieranina dziwnych gwiazdnych myśliwców szykowałą się do decydującego ataku. Jego sytuacja przypominała senny koszmar. Nieprzyjacielskie maszyny dysponowały zbyt potężnymi osłonami, żeby blade smugi energii z luf śmiesznych działek wyrządziły im jakąkolwiek krzywdę, a Lando nie mógł opuścić sterowni, żeby zająć się obsługiwaniem czterolufowych stanowisk artylerii.

Vuffi Raa, obląkany i bezradny, nie potrafił mu pomóc.

Lando nie przerywał ognia, mimo iż uświadamiał sobie, że skutek jest taki, jakby strzelał strugami różowej lemoniady. Taki sam kolor miały zresztą nitki jego strzałów, ale nie mógł zmusić pokładowych działek, żeby wykrzesaly z siebie więcej mocy. Tymczasem nieprzyjacielskie maszyny coraz bardziej się zbliżały. Wyglądało na to, że plując błyskawicami laserowych strzałów, runą na niego wszystkie naraz, wszystkie naraz, wszystkie naraz...

Lando skończył się rzucać, krztusić i kasłać. Chrząknął.

- Wszystko przemawia za tym - zasyczał radośnie Gepta - że jednak wybrnąłeś z tarapatów, które skończyłeś przeżywać na nowo. W przeciwnym razie nie byłoby cię tu, gdzie jesteś - to logiczne. To właśnie owa logika pozwala nam żyć z nieprzyjemnymi wspomnieniami, nieprawdą? Integrująca, lecząca i kojąca wędrówka do przeżytych zdarzeń, którą musimy odbyć, jeżeli mamy przeżyć.

- Jasne — odparł hazardzista, zachłystując się powietrzem. - Jasne, ty parszywy... Niech będzie, jak zechcesz!

- Aach! Nareszcie słyszę w twoim głosie coś na kształt sprzeciwu! Jak mówiłem, torturowanie przez zamartwianie polega właśnie na odmawianiu umysłowi tej perspektywy. Kiedy na nowo przeżywasz niewielkie tragedie, jakie przydarzyły ci się w dotychczasowym życiu, nie przypominasz sobie, że w końcu jednak nie tylko przeżyłeś, ale zwyciężyłeś i zatriumfowałeś. Widzisz, nawet wówczas, kiedy czujesz się najbardziej przegnębiony albo poniżony, zawsze masz do dyspozycji mechanizmy obronne - w rodzaju odwrócenia uwagi czy spojrzenia na problem z innej strony - które podtrzymują cię na duchu. Tymczasem moja metoda nie pozwala ofierze na doświadczanie niczego oprócz bólu. Nie możesz myśleć o niczym innym. Nie wolno ci spojrzeć na cokolwiek pod odmiennym kątem. Doświadczenie trwa i trwa, i ciągnie się bez końca. Krąży i krąży, aż w końcu doszczętnie zniszczy jaźń i wolę.

Opór - ciągnął nieubłagane okrutny wykładowca - jedynie przyspiesza chwilę, w której - jak mówię - nagle trzaśnie coś, co umożliwi zdławienie ludzkiej osobowości. Proszę bardzo, opieraj się i sprzeciwiaj. Złość się i przeklinaj, kapitanie. Obrzucaj mnie zniewagami. Nie tylko przyspieszysz w taki sposób cały proces, nie skracając ani o chwilę własnej agonii, ale sprawisz mi jeszcze większą satysfakcję. Już wkrótce ku własnemu przerażeniu przekonasz się, że to prawda.

Lando czuł w ustach coś kwaśnego i gorzkiego. Mimo to zdobył się na odpowiedź.

— Założę się, że blefujesz, Gepto. Założę się, że łżesz, przynajmniej w tej ostatniej sprawie. To do ciebie podobne. Przypuszczam, że jeszcze przez jakiś czas nie przestanę wyobrażać sobie, iż z przyjemnością wypruję ci wszystkie flaki. Powiedzmy, że będę wyciągał je przez pępek, a potem opieką na wolnym...

Cały świat Landa wyglądał jak las porośnięty gigantycznymi nogami.

Potrącający go i popychający dorośli spieszyli się, aby załatwić własne sprawy. W każdej sekundzie mogli przewrócić go i rozdeptać. A Lando nie mógł na to nic poradzić. Miał zaledwie trzy lata.

I zgubił mamę.

Z powodu zbliżających się świąt ulice nieznanego miasta były wyjątkowo zatłoczone. A poza tym wilgotne i coraz ciemniejsze, jako że zapadał zmierzch. Jego sytuacji nie poprawiał blask, padający z oświetlonych okien gigantycznych, ciągnących się wzdłuż ulicy sklepów. Lando potknął się i omal nie rozciągnął w rynsztoku, którym płynęła brudna, na wpół roztopiona breja. W ostatniej chwili oparł się o mur tuż obok witryny z kolorowymi zabawkami. Niemal połykał lzy, spływające po małej, przerażonej twarzy.

- Mamo!

Dokąd poszła? Dlaczego nie wraca i nie zabierze go z tej ulicy? Pozostawiła go obok jednego z wystawowych okien, ponieważ chciał obejrzeć coś, co się poruszało, i obiecał, że nie odejdzie, dopóki mama nie powróci. Miał dość oglądania wnętrza sklepów przez witryny. Wszystkie umieszczono zbyt wysoko, a w środku kręciło się zbyt wielu ludzi. A poza tym wewnątrz sklepu, w którym kasjerka wydała mamie za dużo pieniędzy, już dawno przestało go interesować.

- Mamo?

- Twojej mamy tutaj nie ma, Lando. Jesteś sam i zawsze pozostaniesz sam jak palec.

- Kto to powiedział?

- To ja, twoja trwoga, Lando. Jestem twoim przerażeniem. Jestem wieczną udręką i jeszcze kiedyś dam ci się porządnie we znaki!

- Mamo!

Głos jego rozmówcy brzmiał dziwnie znajomo. Jakimś cudem Lando wiedział, że ów głos go nienawidzi i pragnie wyrządzić mu krzywdę. Nie miał pojęcia, co mogą oznaczać takie groźne słowa jak trwoga, przerażenie, wieczność i udręka, ale pomyślał, że nie wróżą mu nic dobrego. Bardzo chciał odnaleźć mamę.

Wiedział jednak, że nic w jego życiu nie ulegnie zmianie. Zawsze będzie się błakał po lesie, porośniętym gigantycznymi nogami.

- Aaach, to musiało być naprawdę coś okropnego. Jestem pewien, że pozostawiło głęboki uraz. Nieprawdaż, mały Lando? Sam z trudem to znośiłem.

Spazmatycznie chwytając powietrze, Lando potrząsnął głową. Dopiero za drugim razem udało mu się strząsnąć lzy, napływające do oczu. Czuł się tak, jakby płakał całe tysiąclecie. Doskonale pamiętał to zdarzenie. W rzeczywistości trwało zaledwie dziesięć minut, ale nigdy później nie darzył wszechświata takim samym zaufaniem.

- Co to znaczy, że ty z trudem to znośiłeś?! - krzyknął i w tej samej chwili uświadomił sobie całą prawdę. - To ty! Ty byłeś owym głosem! Co ze mną wyprawiasz?

- To tylko początek, drogi chłopcze, tylko początek. Od jak dawna się w to bawimy? Pół godziny? A będziemy się bawili całe dni, kapitanie Calrissian, a jeżeli szczęście dopisze, całe tygodnie! Może nawet uda mi się to ciągnąć przez... Ale widzę, że jesteś zaintrygowany.

Gepta zaczął na nowo spacerować przed hazardystą. Lando się poruszył. Próbował się przeciągnąć, żeby rozprostować mięśnie, ale poczuł, że zadał sobie ból. Tam, gdzie energetyczne kajdanki stykały się z przegubami i gdzie marmurowy blat ogrodowego stołu chłodził plecy, odczuwał taki ból, iż miał wrażenie, że kona.

W porównaniu z tamtym bólem, ten wydawał mu się czymś przyjemnym.

- Widzisz, sztuka torturowania przez zamartwianie wymaga, aby nauczyciel odczuwał to samo, co podopieczny. Osoba nadzorująca doświadczenie powinna kierować umysł ucznia na coraz głębsze, zdradliwsze i straszniejsze wody. Musi doświadczać wszystkiego sama, jeżeli pragnie osiągnąć odpowiednią jakość, głębię i strukturę procesu.

A w przypadku ciebie i mnie, kapitanie - jeżeli chce nacieszyć się zemstą!

Tak jest, znam sposób, żeby żyć w twojej głowie. Tak jest, zgadzam się cierpieć takie same katusze. Jedynie dzięki temu wiem, jak daleko posuwać się podczas torturowania!

Ogniwicher zdobił niebo nad ich głowami zwariowanymi tęczkami. Wypróbowanymi szlakami raz po raz przelatywały z głośnym trzaskiem międzyplanetarne błyskawice. Całą asteroidę omywał strumień zjonizowanych różnobarwnych gazów.

- Następna mała nostalgiczna dygresja będzie dotyczyła porażek, jakie ponosiłeś, kapitanie, usiłując stać się przedsiębiorcą — szepnął Gepta. - Zanim jednak zaczniemy, pragnę ci powiedzieć, że nie wszystkie wynikały jedynie z twojej nieudolności czy złośliwości wszechświata.

Czarownik spacerował kilka metrów przed skutym Calrissianem. Teraz jednak, kiedy skończył mówić, znieruchomiał przed hazardystą. Pochylił się i wbił w niego płonące oczy.

- To ja cię prześladowałem!

Lando pokręcił głową. Walczył z różnymi rodzajami bólu i czuł się tak odrętwiały, że nie do końca zrozumiał znaczenie słów czarownika.

- Śledziłem cię i krzyżowałem twoje plany! Sprawilem, że wszędzie dokąd się udawałeś, ceny tego, co pragnąłeś kupić, stawały się znacznie wyższe, a tego, co sprzedawałeś - o wiele niższe niż zazwyczaj! Przedstawicielom miejscowych władz wysyłałem anonimowe ostrzeżenia, z których wynikało, że jesteś sprytnym, podstępny i bogatym przemytnikiem, wskutek czego musiałeś płacić więcej za zezwolenia i zaświadczenia. Wzrastały także sumy, za które można było przekupywać urzędników! Nękałem cię i dręczyłem, a w końcu doprowadziłem do tego, że zostałeś zaproszony do systemu Oseona!

- Co takiego?

To wszystko nie miało sensu. Czyż władzom nie zależało na uwięzieniu Bohhuaha Mutdaha? Na przyłapaniu go na gorącym uczynku? Na unicestwieniu jego imperium? Na...

- Domyślam się, o co zechcesz mnie zapytać, kapitanie. To ja i tylko ja namówiłem przedstawicieli rządu, żeby zaczęli dokuczać temu zniewieściałemu lewiatanowi. Później kazałem go zabić i sam zająłem jego miejsce. Wszystko po to, żeby przebywać tu, kiedy w końcu zdecydujesz się przylecieć. Dopilnowałem, żeby w twoich rękach znalazło się więcej pieniędzy niż miałeś kiedykolwiek przedtem - dziesiątki milionów! A teraz nie masz nawet szansy ich wydać.

Gepta pochylił się, sięgnął za blat stołu i wyciągnął gruby plik banknotów, a potem rzucił na ziemię o metr od stóp hazardysty.

- Ciesz się nimi, kapitanie Calrissian - przynajmniej na tyle, na ile możesz w swojej

sytuacji. Ciesz się tak, jak będziesz się cieszył, wspominając każdą klęskę i porażkę swojego życia, wszystkie niepowodzenia i poniżenia, nie wyłączając tych, jakich doświadczasz w tej chwili! Jeżeli chodzi o mnie, będę cieszył się razem z tobą. Będę wszystko przeżywał, oczyszczał i doskonalił, dzięki czemu pomogę ci skupić się tylko na tym, a nie na czymkolwiek innym.

Nigdy przedtem nie miałem okazji się przekonać, czy jakiś osobnik może umrzeć ze wstydu...

Uniół rękę i Lando poczuł, że ogarnia go jakaś dziwna senność... Pamiętał, że podobnej doświadczał już poprzednio, na chwilę przedtem, zanim zaczynały się bolesne przeżycia. Starał się opierać, próbował się uwolnić, ale jego umysł stawał się coraz bardziej zdezorientowany i zagubiony. Spojrzenie nie chciało skupić się na niczym z wyjątkiem przerażających, wynaturzonych wspomnień. Lando nie przestawał walczyć... Ale przegrywał.

ROZDZIAŁ XVII

Karmazynowe woale nie przestawały zdobić firmamentu, usianego punkcikami nieruchomych gwiazdek. Nagle nad kryształową kopułą, chroniącą asteroidę Bohhuaha Mutdaha, eksplodowała oślepiająca błyskawica.

Po chwili w jej ślady poszła druga.

Zdumiony Rokur Gepta zamarł w pół ruchu, a później obrócił się tak szybko, jakby coś go użądliło. Ujrzał następny błysk, który zalał cały ogród trupioblada, niebieskobiłą poświatą. To już trzecia błyskawica i to sekundę po poprzednich. Z bardzo daleka doszedł do niego przeciągły huk gromu, mimo iż wydawało się to niemożliwe, a po chwili zerwał się lekki, ale coraz silniejszy wiatr. Wszystko świadczyło o tym, że masy powietrza znalazły jakieś ujście. Zdźbła trawy zakolysały się i zjeżyły jak włosy sierści rozgniewanego drapieżnika.

Wiatr był czymś równie nieprawdopodobnym jak huk gromu. Mimo to w mgnieniu oka osiągnął siłę huraganu. Załopotał fałdami ciemnoszarego płaszcza czarownika. Uniósł drobiny kurzu i porwał kartki papieru.

Lando zmrużył oczy. Mimo odrętwienia zrozumiał, że delikatna przezroczysta kopuła, osłaniająca rezydencję zamordowanego bilionera, została przedziurawiona albo pękła gdzieś na obrzeżach asteroidy. Prawdopodobnie siła ciężenia, panującego po tej stronie spłaszczonej skalnej bryły, miała o wiele mniejszą wartość niż po stronie kosmoportu i nie potrafiła zapobiec ucieczce atmosfery. Pojął, że huragan będzie szalał dopóty, dopóki ciśnienia się nie wyrównają.

Miał nadzieję, że będzie mógł wówczas oddychać.

Smagany podmuchami wichury, Gepta chwiał się, ale pokonując opór mas powietrza, usiłował pochwycić Calrissiana. Hazardzista zrozumiał, że oto nadarza się jedyna szansa. Może jednak przydadzą się na coś pracochłonne przygotowania, którym poświęcił tyle energii i czasu.

Pod skafandrem, w rękawach munduru, miał przywiązane łubki, sporządzone z prętów dzwoniącego drewna. Wpadł na ten pomysł, kiedy unieruchamiał złamane kończyny Waywy Fybota.

W jego przypadku chodziło jednak o to, aby nie dopuścić do złamania kości. Hazardzista osłonił oba ramiona pięcioma albo sześcioma dwudziestocentymetrowymi listewkami o grubości mniej więcej pół centymetra. Podobnymi szczapami posłużył się, aby osłonić przedramiona. Później przewlekl drewniane drzazgi przez specjalne pętle tkaniny,

przyszyte na wysokości przegubów, łokci i pach po wewnętrznej stronie rękawów grubej koszuli. Szyciem zajmował się Vuffi Raa, zadowolony, że oto nadarza się pierwsza szansa udowodnienia, iż potrafi być dobrym lokajem. Przyszył je w taki sposób, żeby pręty się nie przemieszczały. Lando dopilnował wszystkiego, mając nadzieję, że pręty z dzwoniącego drewna zamortyzują siłę uderzenia albo powstrzymają ostrze. Nie zawierały metalu, a zatem nie mogły zostać wykryte przez promienie Roentgena. Co więcej, były niewrażliwe na działanie większości czujników czy skanerów, którymi mogli się posługiwać strażnicy Mutdaha.

W odróżnieniu od pistoletów.

Podobny niezgrabny pancerz nosił Lando po wewnętrznej stronie nogawek spodni. Polecił, żeby mały robot wszął go pomiędzy kolana a kostki.

Wykręcając rękę w stawie łokciowym i nie bacząc na ból, usiłował wysunąć nadgarstek z obręczy energetycznych kajdanek. Nigdy nie dokonałby tej sztuki, gdyby uwaga Gepty nie była zaprzątnięta czym innym. Czarownik, walczący z podmuchami wiatru, który wyrzucał masy powietrza przez szczelinę w uszkodzonej kopule, nie zwracał na Landa uwagi.

Drewniane pręty zwiększały obwód nadgarstka na tyle, że hazardzista, pomimo strasznego bólu, zdołał wreszcie przesunąć dłoń przez szczęki kajdanek. Uczynił to na chwilę przedtem, zanim Gepta - zauważywszy, na co się zanosí - przyskoczył ku ofierze, żeby pokrzyżować jej plany. Lando wysunął jedną drzącą rękawą i z całej siły wbił w oko okrutnego czarownika, płonące nienawiścią w szczelinie turbana.

Oprawca wrzasnął i odskoczył od Calrissiana. Zasłonił dłonią zranione oko, ale zachwiał się, szarpnięty silniejszym podmuchi wichury. Po chwili szybował w powietrzu, złorzecząc, przeklinając i koziółkując w locie. Rozległ się jęk i jeszcze więcej przekleństw, kiedy zniknął w pobliskiej kępie kolczastych krzewów.

Uwolnienie stóp okazało się trochę trudniejsze. Lando musiał ściągnąć buty kosmicznego stroju, żeby móc przecisnąć stopy przez obręcze. Kiedy skończył, wsunął stopy w buty, a później pochylił się, żeby podnieść pieniądze, które kiedyś należały do bilionera. Nagle ujrzał w trawie coś, co przypominało srebrzystego węża. Miało palce zamiast głowy i tylko jedno szklane oko, płonące czerwonym blaskiem pośrodku miniaturowej dłoni.

Nie potrafiło kąsać. Nie pozwalało na to jego oprogramowanie.

- Vuffi Raa, musisz w końcu wziąć się w garść!

Nie usłyszał odpowiedzi. Macki nie mogły mówić, a mały robot uznawał pokazywanie wulgarnych gestów za coś uwłaczającego godności.

- Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale to jedyna okazja, żeby się stąd wynosić.

Nie traćmy czasu!

Kiedy Lando obszedł wywrócony stolik, odnalazł hełm, stanowiący część skafandra. Natknął się także na stos skomplikowanych elektronicznych urządzeń. Wszystkie łączyły się za pomocą wiązek przewodów z wielką, płaską, splecioną w zawiły sposób indukcyjną cewką, która jeszcze niedawno stykała się z tylną częścią jego głowy.

- Muszę przyznać, że jestem trochę rozczarowany! — odezwał się hazardzista, zwracając się do macki. - Myślałem, że wyprawia te wszystkie czarnoksięskie sztuczki, uciekając się jedynie do siły własnej osobowości!

Widząc, że Lando się ociaga, srebrzysta macka zadrżała. Zapewne w taki sposób usiłowała okazać zniecierpliwienie. Leżała w trawie i przyglądała się, jak Lando kończy wkładać buty. Nagle, dokładnie nad głową hazardzisty, rozległ się donośny huk. Od kryształowego sklepienia oderwały się i zaczęły powoli opadać wyszczerbione, lekko wygięte płyty.

- Odpreż się, staruszkule - ciągnął hazardzista. - Pedaluję tak szybko, jak potrafię. Żałuję,

że nie możesz mi powiedzieć, co tu, u diabła, się dzieje!

Kiedy skończył mocować drugi but i zatrzasnął uszczelniające zamki, ujrzał nagle oślepiające sztychy laserowych strzałów.

I kilka przelatujących nad kopułą myśliwców, z którymi stoczył walkę i którym umknął, kiedy leciał na Oseona Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa.

— Niech mnie porwą Obrzeża, t o wyjaśnia całą tajemnicę! - wykrzyknął.

Podążając za wijącą się w bujnej trawie macką, skierował się do opustoszałej rezydencji zabitego bilionera. Wyglądało na to, że srebrzysty wąż zna drogę. Kiedy znaleźli się we wnętrzu budowli, skorzystali z windy, żeby zjechać na drugą stronę planetoidy. Mimo iż chroniła ich teraz gruba warstwa skał, wyraźnie czuli, jak wystawiona na strzały pilotów asteroida trzęsie się i wzdryga.

Towarowa klatka przemknęła w mgnieniu oka obok zniszczonych drzwi, wiodących do ogromnej biblioteki. Zakołysała się i nie zwalniając, obróciła, wskutek czego przynajmniej jeden zdumiony pasażer stanął na głowie. Później pomknęła ku nowemu przeznaczeniu. Jakby tego nie było dość, znieruchomiła we wnętrzu służbowego budynku kosmoportu tak niespodziewanie, że ten sam pasażer omal nie rozpląszczył się na podłodze.

Uszkodzone drzwi klatki windy, zgrzytając i chrobocząc, rozsunęły się do połowy i zamarły. Hazardzista przecisnął się przez wąski otwór. Omal nie potknął się o mackę, która prześlizgnęła się między jego stopami, ale wybiegł z budynku. Ułamek sekundy później budowla stanęła w płomieniach i runęła.

Rażone sztychami laserowych strzałów i bombami lądowisko trzęsło się i drżało. W wielu miejscach szalały pożary. Kiedy Lando i macka docierali do „Sokoła Milenium”, jakaś szkarłatna błyskawica niemal otarła się o kadłub. Rozprysnęła się, kiedy ochronne pole pochłonęło część energii, a resztę rozproszyło. We wszystkie strony poszybowały ogniste bryzgi. Jeden omal nie trafił hazardzisty.

Z trudem chwytną oddech, Lando wbiegł po opuszczonej rampie. U szczytu przystanął na chwilę, żeby przycisnąć guzik, uruchamiający hydrauliczne siłowniki mechanizmu podnoszącego, a później ruszył łagodnie zakrzywiającym się korytarzem. Od czasu do czasu nawet wyprzedzał na moment mackę, która wijąc się po płytach pokładu, spieszyła, aby połączyć się z właścicielem.

Vuffi Raa opuścił kryjówkę w suficie i siedział w sterowni, przypięty do fotela pierwszego pilota.

Nie zwracając na to uwagi ani nie narzekając, Lando opadł na fotel, stojący po prawej stronie.

- Odlatuj stąd, do wszystkich diabłów! - wrzasnął, starając się przekrzyczeć harmider, jaki panował na lądowisku.

Mały android właśnie przytwierdzał mackę do pięciobocznego torsu. Nie przestając spoglądać na Calrissiana, poświęcił ułamek sekundy, by ją dokładnie umocować.

- Czasami nie wiem, jak mam ci pomagać, mistrzu - odezwał się po chwili. - Nie czekasz biernie, aż nadejdzie pomoc, ale sam ujmujesz sprawy we własne ręce. Później, jeżeli przeżyjemy, opowiesz mi, jakim cudem udało ci się uwolnić z łap Rokura Gepty. A tymczasem, czy nie byłoby lepiej, gdybyś zajął się obsługiwaniem czterolufowego działka?

- Co takiego? - zapytał zdumiony hazardzista. - Sugerujesz, żebym uciekł się do przemocy? Masz absolutną rację.

Wybiegł ze sterowni, jeszcze zanim skończył wypowiadać ostatnie słowo. Sadowiąc się na fotelu artylerzysty, pstrykał dźwigniami przełączników i przyciskał guziki. Później chwycił oburącz rękojeść nieporęcznej broni i uspokoił niespokojne cyfry, ukazujące się na ekranie urządzenia celowniczego.

Kiedy frachtowiec odrywał się od płyty lądowiska, przeleciał nad nim jakiś nieprzyjacielski myśliwiec. Dysze jego silników płonęły błękitnobiałym blaskiem.

Lando posłał w ślad za maszyną smugi śmiercionośnych błyskawic.

„Sokół” unosił się coraz wyżej ku wielobarwnemu nieboskłonowi, chociaż dwa myśliwce nie przestawały atakować go niczym rozwścieczone szerszenie. Maszyny były szybkie i zwrotne, a piloci mieli dużą wprawę w mierzeniu i strzelaniu. Za dużą. Lando nie mógł wykonać żadnego ulubionego uniku. Nie mógł ukryć się za tarczą dziurawionej asteroidy. Nie miał także zbyt wiele szczęścia, jeżeli chodziło o odpowiadanie ogniem na ich strzały. Mimo to jego spokojne, dokładne, a czasami nawet natchnione strzelanie sprawiało, że nieprzyjacielscy piloci również nie mogli mówić o szczęściu.

Kolejny rozpaczliwy atak i wymiana laserowych błyskawic nie przyniosły żadnej zmiany sytuacji, jeżeli nie liczyć zwiększonego dopływu adrenaliny u obu walczących przeciwników.

Oseon Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa zamieniał się coraz szybciej w szarozielonkawą plamę.

A później ktoś siedzący za sterami myśliwca popełnił niewielki błąd i wykonał zyg tam, gdzie powinien był wykonać zag. Artylerzysta „Sokoła” widząc, że na chwilę nitki krzyża celowniczego spoczęły dokładnie pośrodku kadłuba nieprzyjacielskiej maszyny, pomyślał, że właśnie na to czekał. Przycisnął oba guziki spustowe i nie puszczał, kierując lufy działek w ślad za szybko przemieszczającym się celem.

Maszyna przeciwnika eksplodowała. Zamieniła się w oślepiająco jasną kulę ognia, z której raz po raz strzelały iskry i wydobywały się kłęby ciężkiego, czarnego dymu.

Vuffi Raa zatoczył ciasny łuk, a potem obrócił kadłub „Sokoła Milenium” w taki sposób, aby lufy działek mogły zostać skierowane ku następnemu celowi. Wyglądało na to, że pragnie wyrzucić zemstę na drugiej nieprzyjacielskiej maszynie. Jej pilot zmienił kurs, pragnąc uniknąć losu, jaki spotkał jego towarzysza.

Frachtowiec chyba nie powinien być zdolne do wykonywania takich zwrotów!

Tymczasem zdumiewająco zwinny latający spodek wykonał nagle manewr, który w innym miejscu i czasie mógłby zostać określony mianem pętli Luftberry’ego. Dzięki temu znalazł się znów za ogonem myśliwca. Ponownie odezwało się czterolufowe laserowe działko.

Nieprzyjacielska maszyna i tym razem zerwała się z haczyka, ale jej pilot również nie ustrzegł się od popełnienia błędu. Wpadł we wściekłość. Zatoczył szeroki, łatwy do przewidzenia łuk, i pragnąc wyrzucić zemstę na przeciwniku, rzucił się do kolejnego ataku. Zamiast tego nadział się na cztery równoległe, pulsujące energią sztychy laserowych strzałów, które poszybowały prosto w osłonę jego hełmu.

Nieprzyjacielski myśliwiec eksplodując, rozjaśnił przestworza miliardami jarzących się okrucichów.

Nagle w dole pojawiła się jaskrawa smuga światła.

Jakiś statek bardzo szybko wystartował z powierzchni skazanej na zagładę asteroidy i skierował się w pustkę międzyplanetarnych przestworzy. Niemal w tej samej chwili pozostałe trzy myśliwce, które znów połączyły się z centralną jednostką napędową pancernika, obrały kurs na miniaturowy świat Bohhuaha Mutdaha. Ich piloci pałali żądzą zemsty. Zamierzali unicestwić i asteroidę, i swojego prześladowcę, nie wiedząc, że ich ofiara - bez względu na to, kim była - chwilę wcześniej odleciała. Chcieli odłączyć się dosłownie w ostatniej sekundzie, aby wziąć na cel gigantyczny, pulsujący energią reaktor Oseona Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa.

Jedna maszyna miała usterkę natury mechanicznej i nie zdołała odłączyć się od kabla. Podobnie jak jednostka napędowa, roztrzaskała się o powierzchnię asteroidy.

Dwie pozostałe wyszły z lotu nurkowego i prześlizgnąwszy się tuż nad powierzchnią

skalnej bryły, poszybowały w dwie przeciwne strony.

Tymczasem Vuffi Raa gorączkowo przebierał mackami po pulpitych kontrolnych i klawiaturach „Sokoła”. Osiągnął przyspieszenie, które kapitan frachtowca odczuł nawet pomimo włączonych inercyjnych stref tłumiących. Fotel artylerzysty zakołysał się i szarpnął jak ranione zwierzę, a potem, kiedy działko zatańczyło jak oszalone, z całej siły wyrzuciło o ograniczniki ruchu. Asteroida przypominała kulę nie większą od łebka szpilki...

... ale przemieniła się w bardzo szybko rozprzestrzeniającą się ognistą chmurę. Jeden z myśliwców, który oddalał się od powierzchni, zniknął, pochłonięty przez płomień, a drugi koziołkując, leciał dalej. Tymczasem ognista kula, płonąc oślepiająco jasnym blaskiem, rozrastała się i jaśniała, aż przyćmiła nawet blask szalejącego Ogniowichru Oseona.

Jeszcze później, poczynając od środka, zaczęła ciemnieć i gasnąć.

Lando zaczerpnął głęboki haust powietrza, a uświadomiwszy sobie, że chwilę wcześniej nabrał poprzedni, który nadal trzymał w płucach, powoli wypuścił i jeden, i drugi.

- Trzymaj się, mistrzu! - usłyszał okrzyk, jaki wydobył się z głośnika interkomu, umieszczonego na ścianie w pobliżu jego ucha.

TRACH! BACH! ŁUP! BRZDĘK!

Lando czuł się jak we wnętrzu tytanowego bębna, w który bije całe plemię dzikusów. „Sokół” przelatywał przez obszar wypełniony odłamkami i szczątkami. Wprawdzie większość odbijała się od ochronnych pól i zmieniawszy kierunek lotu, szybowała w przestworza, ale niektóre zderzały się z płytami kadłuba, spowolnione na tyle, że nie wyrządzały mu żadnej krzywdy.

Przez jakiś czas frachtowiec trząsł się i dygotał, ale później uspokoił się i leciał dalej.

Lando wypuścił drugi haust powietrza, którego zaczerpnięcia w ogóle nie pamiętał. Odpiął pasy ochronnej sieci i wstał z fotela, a potem potykając się i zataczając jak pijany, ruszył na dziób do sterowni.

Gdzieś, w głębinach międzygwiazdnych przestworzy, daleko i z każdą nanosekundą coraz dalej od systemu Oseona, leciał fabrycznie nowy jednoosobowy gwiazdny myśliwiec. Poobijany i osmalony wskutek przedzierania się przez obszar, w którym szalał Ogniowicher i szybowały szczątki unicestwionej asteroidy, zabierał wstrząśniętego pilota do domu.

Czarownik Rokur Gepta pozwolił sobie na gorzki, ironiczny uśmiech. Pomyślał, że najlepszym oszustwem jest to, które potrafi zwieść oszusta. Okrywający jego ciało fałdzysty ciemnoszary płaszcz szpeciły plamy zakrzepłej krwi. W pustym, zranionym oczodole nie przestawały pulsować fale przenikliwego bólu. Nie pozwalały zapomnieć o jeszcze jednym długu, jaki ma do spłacenia wobec Calrissiana. Mimo to Rokur Gepta nie zaliczał się do istot, które zapominałyby o przedsięwzięciu niezbędnych środków ostrożności. Należał do nich także ów osobisty myśliwiec, jedna z najbardziej miniaturowych jednostek, zdolnych do odbywania międzygwiazdnych lotów, jaką kiedykolwiek skonstruowano. Już raz ocaliła mu życie, kiedy odlatywał z systemu Rafy. Teraz również pozwalała żywić nadzieję, że czarownik nie zginie.

We wszechświecie, gdzie wszystko było złudzeniem i iluzją, kłamstwo należało uważać za broń obosieczną. Kiedy Gepta przybrał postać Bohuaha Mutdaha, Wcielił się w nią tak dokładnie, że omal nie pograżył się w przygnębieniu i rozpacz, z których nie potrafił się dźwignąć zblazowany bilioner. Jedynie przepełniającej go bez reszty żądz zemsty zawdzięczał, że udało mu się zachować własną osobowość. W podobnej sytuacji znalazł się, kiedy został zaatakowany przez Calrissiana. Przebranie, które od wieków skrywało rzeczywistą postać, omal nie przyczyniło się do jego zguby.

Czarownik postanowił, że jeszcze przez kilka chwil będzie cierpiał ból, aby lepiej

zapamiętać go jako nauczkę na przyszłość. Nie liczyła się prawda. Nie istniało nic takiego jak obiektywna rzeczywistość. Mimo to on, mistrz sztuki oszukiwania i zwodzenia, postanowił wykorzystać to doświadczenie, żeby jeszcze staranniej przygotować swoje iluzje. Doszedł do przekonania, że powinien oddać się medytacjom i zastanowić się nad tym, co przeżył. Powinien poświęcić na to cały czas, jaki pozostawał do przylotu gwiazdnego krążownika. „Wennis” miał się pojawić w systemie Tundu wkrótce po zakończeniu pory Ogniowichru. Gepta pozostawił statek wraz z załogą na Oseonie Sześć Tysięcy Osiemset Czterdzieści Pięć, a sam poleciał na Oseona Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa, żeby przeistoczyć się w Bohhuaha Mutdaha.

Nagle poczuł, że zalewa go fala niepohamowanego gniewu. Pragnąc odzyskać panowanie nad sobą, skupił się na odczuwaniu bólu. Kiedy przebywał na Oseonie Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa, stracił swojego ulubieńca - jeszcze jeden dług, jaki zaciągnął u wędrownego hazardzisty. Pomyślał, że spłaci go z odsetkami, kiedy nadarzy się odpowiednia okazja. Poprawka: kiedy stworzy odpowiednią okazję.

No cóż, co za dużo, to niezdrowo. Rokur Gepta uruchomił system automatycznego pilotowania miniaturowego statku, a potem sprawił, że odziana w ciemnoszary płaszcz postać, którą zwykle przyjmował, rozmyła się, zbladła i zniknęła. Po chwili, nie opuszczając fotela pilota, pojawił się w prawdziwej.

Odłamek dzwoniącego drewna upadł na podłogę mikroskopijnej kabiny. Szpecące go plamy zakrzepłej krwi zniknęły, zanim zdążył spocząć nieruchomo. Ból, jaki odczuwał czarownik - równie złudny jak dotychczasowe przebranie - zniknął chyba nawet jeszcze szybciej.

A później nastąpiła kolejna transformacja; jeszcze jedna zmiana barw i kształtów. Ponownie ukazała się ta sama, odziana w faldzisty ciemnoszary płaszcz tajemnicza postać, uwolniona jednak od wszelkich plam krwi i bólu. Gepta wyłączył system automatycznego pilotowania, a potem pewnie chwycił rękojeści dźwigni sterowniczych i przycisnął guzik, uruchamiający jednostkę napędu nadświatłowego.

Mały statek zmienił się w smugę światła, która przez chwilę zdołała rozgwieżdżone niebo, ale później zgasła.

- Tam leci, mistrzu! — wykrzyknął podniecony Vuffi Raa.

Lando spojrział przez przezroczyste szyby iluminatora sterowni „Sokoła Milenium”. Radar i czujniki zbliżenia wciąż jeszcze nie funkcjonowały prawidłowo i miały pozostać w takim stanie, dopóki w systemie Oseona nie przestanie hulać Ogniowicher. Lando żałował, że nie ma na pokładzie frachtowca pocziwego, prymitywnego teleskopu. Elektroniczny wzmacniacz obrazu, jakim dysponował, nie nadawał się do niczego.

- Masz bystre oko, mały przyjacielu. Mimo to na wszelki wypadek nie wyłączaj generatora ochronnego pola. Nie wiemy, czy ten gość jest naprawdę bezradny, czy tylko udaje.

Lando zaciągnął się jeszcze raz niezgrabnie skręconym papierosem. Pomyślał, że pewnego dnia, kiedy nadarzy się okazja, znów kupi pudełko wymienionych cygar.

„Sokół” obracał się, ponieważ Vuffi Raa usiłował naśladować każdy manewr koziołkującego myśliwca. Mały robot nalegał, aby ocalić pilota - zakładając, że przeżył on lanie, jakie sprawił małemu statkowi srożący się Ogniowicher. Lando się nie sprzeciwiał. Liczył na to, że uzyska w ten sposób odpowiedzi na kilka dręczących go pytań.

Nie miał pojęcia, komu mógł narazić się do tego stopnia, aby zasłużyć na tak okrutną zemstę, która - miał nadzieję - właśnie dobiegała końca. Z pewnością od żadnej istoty nie wygrał sumy, usprawiedliwiającej takie traktowanie.

Kiedy Vuffi Raa zrównał się z bezradnie wirującym myśliwcem, wprawił frachtowiec w jeszcze szybszy ruch obrotowy, aby przez cały czas pozostawać w takim samym położeniu względem koziołkującej maszyny. Różnobarwne smugi Ogniowichru i usiane punkcikami

gwiazd przestworza zawirowwały jak w szaleńczym tańcu. Lando po raz ostatni zaciągnął się papierosem. Jęknął, a później dźwignął się z fotela, ale kiedy zerknął na wirujące za iluminatorem pasma gazów, zachwiał się i omal nie upadł. Wprawdzie sztuczne ciążenie i inercyjne strefy tłumiące spisywały się bez zarzutu, ale orientację stracił usytuowany w uchu środkowym narząd równowagi. Lando zmrużył oczy.

- Wyjdę przez górny właz - oznajmił, zwracając się do małego androida. - Postaraj się utrzymać frachtowiec w takim samym położeniu, dobrze?

- Możesz się o to nie martwić, mistrzu, ale uważaj na siebie — odparł Vuffi Raa. - Połączę obie jednostki najszybciej jak potrafię.

- Doskonale.

Wspinając się do górnego włazu, Lando nie zapomniał o zabraniu hełmu. Zabrakło mu czasu na zdjęcie kosmicznego skafandra, ale teraz wcale tego nie żałował. Włożył bańkę na głowę i lekko docisnął, a potem obrócił o pewien kąt, aż usłyszał charakterystyczne szczęknięcie. Kiedy hełm znalazł się we właściwym miejscu, jego właściciel sprawdził wskazania czujników, umieszczonych na rękawie, by upewnić się, że ubiór jest idealnie uszczelniony.

Jeszcze jeden przystanek, tym razem w przedziale silnikowym. Lando sięgnął po mniej więcej metrowy metalowy pręt, spoczywający w pojemniku z kluczami. Kiedy składał wizytę na Oseonie Pięć Tysięcy Siedemset Dziewięćdziesiąt Dwa, stracił oba miniaturowe paralizatory, a nie dysponował na pokładzie „Sokoła” żadną inną lekką bronią. Ścisnął mocniej tytanową laskę, a potem na próbę machnął nią w prawo i w lewo. Ze względu na swoją lekkość nie była tak dobra jak pręt stalowy o takich samych rozmiarach, ale wystarczająco ciężka, żeby rozłupać hełm czy nawet strzaskać kości czaszki.

Usłyszał stłumiony dźwięk, który poniósł się echem chyba po wszystkich pomieszczeniach frachtowca. Niemal w tej samej sekundzie usłyszał wydobywający się ze słuchawek hełmu głos androida: - Jesteśmy połączeni, mistrzu. Jeszcze tylko ustabilizuję nasze położenie i możesz przystępować do pracy.

Lando nie wyczuł zmiany położenia kadłuba statku. Nie powinien, ponieważ wszystkie urządzenia funkcjonowały prawidłowo, a nie mógł wyglądać przez żaden iluminator. Usiłując otworzyć umieszczoną nad głową kłapę włazu, zajął się obracaniem wielkiego metalowego koła. Wiedział, że połączenie z wirującym kadłubem myśliwca powinno być uszczelnione, a kosmiczny skafander stanowi jedynie środek ostrożności. Mimo to bardzo starannie zamknął za sobą drzwi śluzy i dopiero wówczas przystąpił do otwierania włazu.

Należał do ludzi, którzy zawsze podejmują niezbędne środki ostrożności.

Kiedy koło natrafiło na ogranicznik ruchu, kłapa opuściła się kilka centymetrów. Lando pociągnął ją ku sobie i odchylił na bok. Powitał go upstrzony bliznami, powgniatany i pocierany metal kadłuba nieprzyjacielskiego myśliwca. Hazardzista ujrzał jedynie mający kształt okręgu niewielki fragment, ale widząc go, bez trudu mógł wyobrazić sobie, że tak samo wygląda cała powierzchnia. W pobliżu krawędzi okręgu dostrzegł metalowy pierścień, umieszczony w odpowiednim zagłębieniu. Wyłuskał go dwoma ukrytymi w rękawicy palcami. Kiedy odchylił kłapę i pociągnął ku sobie, do śluzy „Sokoła” pociekło trochę szczeliwa.

Po chwili metalowy krąg się poddał i odskoczył. Zapewne ciśnienie powietrza w kabinie myśliwca miało trochę większą wartość niż we wnętrzu frachtowca. Lando rzucił kłapę awaryjnego włazu na podłogę śluzy, ale zanim przesunął przez okrągły otwór głowę i ramiona, na wszelki wypadek machnął kilka razy tytanową laską. Kiedy upewnił się, że nic mu nie grozi, zerknął w głąb kabiny. Zobaczył parę ciężkich butów, wiszących po obu stronach jego głowy. Buty zdołały parę nóg, stanowiących część ciała pilota, które

spoczywało na fotelu, opłatane linkami ochronnej sieci. Ciało nie poruszało się. Wyciągnąwszy rękę jak mógł najdalej, Lando przycisnął guzik awaryjnego otwierania zamków uprząży. Później chwycił za kostki i delikatnie szarpnął bezwładne ciało ku sobie. Kiedy przeciągał je przez otwór wjazdu, musiał trochę obrócić, by się nie zaklinowało. Pragnąc mieć wolne obie ręce, rzucił tytanową laskę na podłogę śluzy. W końcu zdołał przecisnąć ramiona pilota.

Był zadowolony, że zanim zabrał się do pracy, nastawił ciężenie w śluzie na jedną dziesiątą normalnej wartości. Gdyby o tym nie pomyślał, nieznajomy mężczyzna zmiażdżyłby go, spadając z drabinki. Ten gość był naprawdę wielki.

Lando ułożył ciało nieprzytomnego pilota na płytach podłogi, a potem wspiał się po raz drugi, aby zamknąć kłapę. Obracał metalowym kołem dopóty, dopóki nie ujrzał, że na umieszczonym obok zamka panelu zapaliła się zielona lampka. Później zeskoczył na podłogę i zajął się oglądaniem wskazań kontrolnych czujników, umieszczonych na rękawie kombinezону pilota. Wiedział, że pozory mogą często mylić. Nieznajomy wyglądał jak człowiek, ale ktoś mógł wiedzieć, czy wnętrze jego stroju nie zostało wypełnione amoniakiem?

Na szczęście obawy hazardzisty okazały się płonne. Kiedy Lando zdjął hełm i zajął się ściąganiem nakrycia głowy pilota, usłyszał jeszcze jeden dźwięk i zrozumiał, że Vuffi Raa odłączył „Sokoła Milenium” od kadłuba uszkodzonej maszyny. Przekonał się, że wnętrze hełmu kryje pooraną siecią zmarszczek i ogorzałą twarz starszawego mężczyzny, poznaczoną malowniczymi bliznami i ozdobioną co najmniej tygodniowym siwym zarostem. Mimo iż pilot był nieprzytomny, sprawiał wrażenie człowieka doświadczonego, mądrego i upartego.

Na wszelki wypadek Lando chwycił tytanową laskę, ale później, kiedy się zastanowił, ponownie ją odłożył. Nieznajomy wyglądał na człowieka nieprzeciętnie silnego. Mógłby bez trudu wyrwać mu przęt i wepchnąć do...

W śluzie rozległ się cichy syk i do pomieszczenia wślizgnął się Vuffi Raa. W tej samej sekundzie nieznajomy pilot odzyskał przytomność i zaczął się ruszać. Starszawy, siwiejący mężczyzna potrzęsął lekko głową, a potem, wciąż jeszcze oszołomiony, popatrzył na Calrissiana. Zamrugał, widocznie usiłując odzyskać ostrość wzroku, a potem rozejrzał się po niewielkiej śluzie.

Kiedy zobaczył małego androida, zamarł i szeroko otworzył oczy. Na jego twarzy ukazał się wyraz nieprzejędanej nienawiści, a ciało stężało, jakby gotowe do podjęcia walki.

- To ty! - wrzasnął nieznajomy. - Niszczyciel mojego rodzimego świata! Zabij mnie natychmiast, bo w przeciwnym razie nie uda ci się ująć z życiem po raz drugi!

ROZDZIAŁ XVIII

Odepchnąwszy się jedną macką od grodzi śluzy, mały android rzucił się na zdumionego pilota. Mężczyzna próbował się uchylić albo odskoczyć, ale został pochwycony przez cztery chromowane węże, do których po sekundzie dołączył także piąty.

Mimo to pilot wyciągnął przed siebie ręce tak szybko, że gdyby walczył z istotą ludzką, z pewnością złamałby jej kość promieniową i łokciową. Później wymierzył potężny cios, który trafił Vuffiego Raa w sam środek pięciobocznego torsu.

Mały android przeleciał przez pomieszczenie i grzmotnął o metalową ścianę po przeciwnej stronie, ale zanim hazardzista zdążył choćby mrugnąć, ponownie rzucił się w wir walki.

- Mistrzu! - zawołał, znów zamykając kończyny nieznajomego pilota w uścisku metalowych macek. - Posłuż się pakietem medycznym!

Lando poszperał w okolicach pasa skafandra i wyciągnął miniaturowy wtryskiwacz. Urządzenie wyglądało jak gruba, srebrzysta moneta, której płaskie powierzchnie zostały laminowane: jedna na zielono, a druga na czerwono. Korzystając z tego, że Vuffi Raa na chwilę unieruchomił napastnika, Lando przycisnął wtryskiwacz do szyi mężczyzny. Rozległ się cichy syk i pilot zwiotczał. Dopiero wówczas mały android go uwolnił.

Później skierował się do kąta. Czerwone oko stopniowo gasło, a macki rozciągały się i kurczyły. W końcu osłoniły tors w taki sposób, że wierny przyjaciel upodobił się do najzwyklejszej metalowej kuli. Narząd wzroku rozjarzył się jeszcze raz, potem ściemniał, aż w końcu zgasł całkowicie.

- Vuffi Raa! - wykrzyknął wstrząśnięty hazardzista. Poczuł, że jego serce ścisnęło się ze smutku. Podbiegł do robota i pochylił się nad nim, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, jak mu pomóc. W głębinach oka widział jarzącą się słabym blaskiem rubinową poświatę. Usłyszał sobie, że zalewa go fala gniewu.

Wyprostował się i podszedł do pilota. Stwierdził, że środek uspokajający nie pozbawił go przytomności. Mężczyzna leżał, z wysiłkiem oddychając i bezskutecznie usiłując odzyskać ostrość wzroku. Mimo to w jego spojrzeniu tliły się iskry niesłabnącej nienawiści, jaką darzył leżącego w kącie śluzy bezradnego robota.

Nie dbając o to, że może sprawić pilotowi ból, Lando obrócił go na bok i wyszarpnął z wojskowej kabury ciężki, staroświecki blaster. Później ponownie pchnął mężczyznę, tak by ten ułożył się na plecach. Rozejrzał się po niewielkim, zagraconym pomieszczeniu, zwracając szczególną uwagę na drobiazgi, które pozostały po poprzednich naprawach. Znalazł pośród nich mniej więcej dwumetrowy odcinek grubego izolowanego drutu. Oparł jeden koniec o przesiąknięty ochronnym polem sufit śluzy, nastawił blaster na najmniejszą moc i przeciął drut na pół, a potem - nie czekając, aż rozgrzane końce ostygną - podszedł do leżącego pilota. Pierwszym kawałkiem związał ukryte w rękawach kombinezonu nadgarstki mężczyzny, a drugim unieruchomił nogi w kostkach.

Następnie - nie przejmując się tym, że mógł nieznajomego żołnierza skaleczyć albo zranić, pochwycił wtryskiwacz za mole- towaną boczną krawędź i obracał górną część dotąd, aż mała strzałka znalazła się naprzeciwko wygrawerowanego napisu STYM. Z całej siły przycisnął krążek do twarzy mężczyzny.

Urządzenie wydało kilka cichych dźwięków. Na policzkach nieznajomego zakwitły rumieńce. Pilot jęknął, a jego oczy skupiły się na twarzy Calrissiana. Nie czekając, aż koniec lufy blastera ostygnie, hazardzista przycisnął go do lewego kolana żołnierza.

- No, dobrze, asie. Teraz powiesz mi, co masz do powiedzenia, ale postaraj się, żeby nie zajęło ci to dużo czasu. A przede wszystkim, nie wykonuj żadnych nagłych ruchów. Z radością skorzystam z każdej okazji, aby po kolei rozwalać twoje stawy.

Opuszka wskazującego palca hazardzisty zbiełała, przycięnięta do guzika spustowego blastera. Nieznajomy pilot nie mógł tego nie zauważyć.

- Nazywam się Klyn Shanga - zaczął i westchnął. - Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć, ale obiecuję, że kiedy skończę, zrobisz użytek z tego blastera. Jeden skuteczny, celny strzał i życie steranego wojaka dobiegnie końca. Co ty na to, kolego?

Lando był tak zaskoczony, że skierował lufę blastera ku płytom podłogi.

- Odpowiem ci, kiedy usłyszę, co masz do powiedzenia - odparł, kiedy trochę oprzytomniał.

- Klyn Shanga... Co to za nazwisko?

Przykucnął na podłodze obok nieznajomego, ale nie przestał zerkać jednym okiem na małego androida. Vuffi Raa leżał nieruchomo.

Shanga pokręcił głową i westchnął po raz drugi. Zapewne usiłował pogodzić się z porażką. Całkiem możliwe, że miał w tym dużą wprawę.

- To nazwisko nieżywego mężczyzny, przyjacielu. Nazwisko martwego człowieka. A kim

ty jesteś, na Wielkie Imię, i dlaczego walczysz przeciwko podobnym do siebie ludziom, mając taką pokrakę za współnika?

- Nazywam się Lando Calrissian i jestem kapitanem „Sokoła Milenium” - odparł rzeczowo hazardzista. - A ta „pokraka” jest moim androidem- pilotem i przyjacielem, przyjacielem. Nazywa się Vuffi Raa i jeszcze nigdy nie skrzywdził najmniejszego owada. Nie pozwala mu na to oprogramowanie.

Pilot zamrugał.

- Android? Sam ci to powiedział? To wyjaśniałoby zagadkę chromowanej powłoki, dzięki której tylko z trudem go poznałem. Ale jednak poznałem! Nie zapomina się pokraki, która unicestwiła twoją cywilizację!

Lando podrapał się po głowie.

- Bądź rozsądny, człowieku. Jakim cudem mógłby mały android... a poza tym, tak czy owak, powiedziałem ci prawdę. Vuffi Raa jest automatem. Sam widziałem, jak dzielił się na części. Posłuchaj uważnie. Jeżeli został całkowicie zniszczony... A przy okazji, czy wiesz, dlaczego zwinął się w kłębek i sprawia wrażenie wyłączonego? Dlatego, że okoliczności zmusiły go do zaatakowania i obezwładnienia innej inteligentnej istoty. Musiał to zrobić, ponieważ chciał obronić siebie i mnie przed tobą.

Shanga rozluźnił mięśnie i przez kilka chwil leżał nieruchomo. Później obrócił głowę i cicho jęknął.

- Na Wielkie Imię, nie mam najmniejszego pojęcia, o co w tym wszystkim może chodzić! Rozdzielił się na części? Oprogramowanie zabrania mu atakowania istot obdarzonych inteligencją? Czy nie zechciałbyś poczęstować mnie papierosem, kolego?

Na twarzy Calrissiana zagościł ponury uśmiech.

- Właśnie miałem poprosić cię o to samo, Klynie Shango.

- Klynie Shango? - odezwał się cichutko ktoś, leżący w kącie pomieszczenia. - Czy rzeczywiście tak brzmi twoje nazwisko? Mistrzu, wydaje mi się, że potrafiłbym uchylić rąbka tej tajemnicy. I to zaraz.

- Vuffi Raa! - wykrzyknął uradowany hazardzista. Tymczasem nieznajomy pilot ponownie napiął wszystkie mięśnie.

- Nie znasz mnie, dziwna istoto, ale ja znam ciebie doskonale! - warknął. - Pamiętasz, co się wydarzyło w systemie Renatazji?

Robot rozprostował macki, dzięki czemu przestał przypominać srebrzystą kulę. Powoli, jakby z wrodzonym wdziękiem, podszedł do obu mężczyzn, a potem ułożył tors na podłodze i wyciągnął manipulatory. Lando uświadomił sobie, że niemal nigdy nie widział, kiedy robot odpoczywa. Prawdę mówiąc, niezwykle rzadko zmuszały go do tego okoliczności.

- Mylisz się, Klynie Shango — powiedział. — Pamiętam wszystko doskonale. I odczuwam większy żal i wstyd, niż jestem zdolny wyrazić. Mistrzu, jeżeli chcesz wiedzieć, Renatazja była kiedyś strasznie zacofanym, prymitywnym światem. Nikt nie pamięta ani nie wie, w jak zamierzczłych czasach osiedlili się tam pierwsi koloniści. Z pewnością miało to miejsce na długo przed utworzeniem się Republiki. Na długo przedtem, zanim jakkolwiek historyk byłby gotów przyznać, że odbywano pierwsze międzygwiazdne loty. Niemniej jednak kolonia istniała, całkowicie odizolowana od reszty cywilizowanych światów. Ani one nie wiedziały nic o niej, ani ona o nich.

Zapewne przypominasz sobie, mistrzu - ciągnął mały android - że mój poprzedni właściciel, od którego wygrałeś mnie, kiedy zawitałeś do systemu Rafy, był antropologiem i rządowym szpiegiem. No cóż, należałem do niego wiele lat - i zapewniam cię, że obaj byliśmy tym równie skrupowani i zażenowani.

Pewnego razu, zapewne przez przypadek, odwiedził Renata- zję niezależny dostawca

- trochę podobny do ciebie, mistrzu. Mój były pan otrzymał polecenie skontaktowania się z owym człowiekiem i zapoznania z tym, czego się dowiedział. Miał później złożyć szczegółowy raport swoim przełożonym. Liczył na to, że otrzyma nagrodę, ponieważ na ogół hojnie nagradzano tych, którzy dokonywali ciekawych odkryć.

Wybacz mi, obywatelu Shango... och, jest pan pułkownikiem, nieprawdaż? No cóż, zechce pan mi wybaczyć, pułkowniku, ale pod względem technicznym Renatazja zaliczała się do światów okropnie zacofanych. Mój pan doszedł do przekonania, że widocznie pierwsi koloniści, zaraz po rym, jak na niej wylądowali, stracili albo zerwali wszelki kontakt z macierzystym światem. Pomyślał, że w ciągu następnych kilkunastu pokoleń cofnęli się w rozwoju i przemienili w barbarzyńców, a może nawet w istoty jeszcze bardziej zacofane. W rzeczywistości, jak się później okazało, rozwinęli się tak bardzo, że udoskonallili sztukę międzygwiazdnych lotów. Wystarczało im jednak, że rozwijając handel, kontaktowali się tylko z planetami należącymi do własnego systemu. Nigdy nie opanowali umiejętności latania z prędkościami nadświatłymi.

I właśnie to przyczyniło się do ich zguby. Nasze władze zaliczyły Renatazję do światów upośledzonych pod względem społecznym, a zatem nadających się do przymusowej resocjalizacji. Pod pojęciem tym rozumiano wszechstronną terapię, która w rzeczywistości niemal niczym nie różniła się od bezwzględnego wyzysku. System Renatazji, który nie potrafił się obronić, miał zostać wykorzystany — gdyby okazało się pożądane - do końca wyeksploatowany.

Wcześniej jednak trzeba było zbadać, czy nie sprawi jakichś niespodzianek.

Mój były właściciel uważał, że najskuteczniejszym oszustwem jest powiedzenie prawdy, oczywiście, odpowiednio spreparowanej i podanej. Rozkazał więc, aby moją błyszczącą metalową powierzchnię pokryto warstwą latoprenu, do złudzenia przypominającego substancję organiczną. Ubrał mnie w strój, odpowiadający moim niekonwencjonalnym kształtom, i towarzyszył w wyprawie na Renatazję Trzy, jedną z planet systemu. Samo lądowanie nie miało w sobie niczego tajemniczego ani podejrzanego. Wręcz przeciwnie, oświadczyliśmy funkcjonariuszom miejscowego rządu - musisz wiedzieć, że w tamtych czasach niemal wszystkie planety systemu były podzielone na mikroskopijne krainy- państwa, które nierzadko toczyły między sobą zaciekle wojny - że jesteśmy przedstawicielami, wysłannikami i ambasadorami konfederacji, obejmującej prawie całą galaktykę.

Renatazja, po upływie odpowiednio długiego czasu, niezbędnego na przystosowanie, miała otrzymać zaproszenie i przyłączyć się do konfederacji.

Odbyły się uroczyste parady, defilady i radosne demonstracje. Wygłoszono niezliczone ilości okolicznościowych przemówień. Bawiono się i świętowano. Podróżowaliśmy chyba po wszystkich planetach systemu, podejmowani jako honorowi goście miejscowej władzy. Wszyscy mieli nadzieję, że nawiązanie stosunków i przyłączenie się do organizacji stojącej na wyższym szczeblu rozwoju położy kres wszelkim wojnom, waśniom i ubóstwu. Uczestniczyliśmy w bankietach, składaliśmy obietnice. I zawsze to ja byłem Głównym Delegatem. Mój były właściciel odgrywał rolę posłusznego sekretarza i asystenta.

Spędziliśmy tam siedemset standardowych dni. W tym czasie pomogliśmy zorganizować centralny rząd, któremu podlegały wszystkie planety. Stworzyliśmy od podstaw ośrodki władzy, system obronny i wspólną silną armię, ale później w znacznym stopniu zmniejszyliśmy jej liczebność. Przekazaliśmy także nowe technologie, będące w gruncie rzeczy nic nie znaczącymi drobiazgami, które nie mogłyby w niczym im pomóc, kiedy objawilibyśmy prawdziwe zamiary.

Siedemset pierwszego dnia pojawiła się potężna imperialna flota.

Z początku mieszkańcy systemu powitali ją z dwukrotnie większym entuzjazmem i

radością. Później jednak dowódcy zaczęli zaprowadzać własne porządki. Zmuszali obywateli do niewolniczej pracy. Wprowadzili system drakońskich danin i podatków. Zamknęli szkoły i rozkazali Renatazjanom, aby nauczali dzieci najważniejszych języków, jakimi posługiwano się w galaktyce. Zabronili używania renatazjańskiej mowy. W wyniku tego całe miasta, a nawet całe państwa poderwały się do powstania. Skończyło się na tym, że całe miasta i całe państwa zostały zrównane z ziemią.

W trakcie bezwzględnej pacyfikacji, jaka później nastąpiła, straciło życie dwie trzecie ludności systemu.

Zdumieni i zażenowani przedstawiciele rządu opuścili system Renatazji i odlecieli. Rozkazali zatuszować całą sprawę i jak najszybciej zapomnieć o tym - jak go nazywali — „niefortunnym incydencie”.

— My o nim nie zapomnieliśmy! - wykrzyknął Klyn Shanga, rozciągnięty na wznak na płytach podłogi małej śluzy. - Nie pozostało nam nic oprócz wspomnień i żądy zemsty! A teraz i to straciliśmy! Nasze marzenia leży w gruzach!

Vuffi Raa wsparł się na jednej macce, a później zajął się rozplątywaniem drutu, krępującego nadgarstki mężczyzny.

- Zdobyliście niewielkie maszyny, mogące latać w nadprzestrzeni - ciągnął swoją opowieść, jakby nie usłyszał okrzyku Shangi. - Z początku nie zorientowałem się, kim jesteście, chociaż powinienem. Myśliwce waszej eskadry wyprodukowano przynajmniej na dwudziestu światach, a centralna jednostka napędowa pochodziła z przeznaczonego na złom gwiazdowego pancernika.

- To prawda! Zorganizowanie wyprawy zajęło nam całe dziesięciolecie! Kosztowało nas wszystko, co mieliśmy! A w końcu i tak nasza wyprawa zakończyła się klęską!

Mężczyzna obrócił głowę w taki sposób, jakby chciał ukryć twarz w płytach podłogi. Jego ramiona zdrząły.

Lando uwolnił kostki pilota i pomógł mu wstać, a potem powiedział:

- Wydaje mi się, starszuszku, że wszystko rozumiesz i nie będziesz żywił do nas urazy. Vuffi Raa jest tylko inteligentnym automatem. Nie miał wyboru i musiał robić to, co mu rozkazywano. Czy kiedykolwiek widziałeś na własne oczy, żeby wyrządził komuś krzywdę?

Shanga obrócił głowę i popatrzył na hazardzistę.

- Nie, nie widziałem - przyznał ponuro. - Ale co to ma do rzeczy?

- Bardzo dużo. Widziałeś, jak zareagował po tym, kiedy tylko cię obezwładnił?

Wojownik zacisnął usta.

- I co z tego? Można zabić człowieka, po prostu wydając polecenie, aby uczynił to ktoś inny. Nie trzeba plamić swoich rąk czyjąś krwią. Mimo to jest się tak samo winnym, jakby zamordowało się go samemu!

Lando ścisnął mocniej rękojeść blastera.

- A zatem, jak przypuszczam, nie zgodzisz się dać słowa, że nie... - zaczął.

- Możesz się założyć, że nie! - ryknął Shanga.

- Niech będzie, jak chcesz. - Nie przestając kierować lufy broni ku mężczyźnie, Lando wyciągnął rękę i przeprogramował zamek drzwi śluzy. - Chodźmy, Vuffi Raa.

Przechodząc przez gródz z umieszczonymi w niej drzwiami, odwrócił się i dodał:

- Przyniesiemy ci pryczę i coś do jedzenia. Mam zamiar wysadzić cię w najbliższym systemie, jaki odwiedzimy. Nie wyrządzimy ci żadnej krzywdy. Mam nadzieję, że w tym czasie - a domyślam się, że podróż zajmie nam kilka dni - zdołamy cię przekonać, że dalsze pałanie żądzą zemsty nie ma sensu. Vuffi Raa jest pocziwym, prostodusznym stworzeniem i raczej dałby się unicestwić niż skrzywdziłby jakiegokolwiek obywatela Renatazji. Jest wszakże androidem i musiał słuchać rozkazów, nawet jeżeli wydająca je

istota zaliczała się do najgorszych drani. Prawdę mówiąc, staram się zrobić coś, by to zmienić.

- Starasz się? - zapytał Vuffi Raa, który zdążył wyjść na korytarz. - Co takiego chcesz zrobić, mistrzu?

- Nie nazywaj mnie mistrzem!

Zatrzasnął drzwi i zaprogramował umieszczony na zewnątrz panel w taki sposób, żeby pilot nie mógł otworzyć zamka. Później wsunął blaster w jedną z bocznych zewnętrznych kieszeni skafandra.

- Chodźmy teraz do sterowni — powiedział, spoglądając na małego androida. - Musimy zdecydować, dokąd lecieć.

- To zależy od tego, mistrzu, czy jesteśmy przewoźnikami towarów, czy hazardzistami, nieprawdaż?

- Masz rację. Tyle że teraz jesteśmy dżentelotami, dysponującymi mnóstwem wolnego czasu. Wciąż jeszcze mam ponad sto siedemdziesiąt trzy tysiące kredytów, które wygrałem w sabaka na Oseonie Sześć Tysięcy Osiemset Czterdzieści Pięć, nie pamiętasz?

Kiedy przeszli połowę odległości dzielącej ich od sterowni, Vuffi Raa odwrócił się i popatrzył na Calrissiana.

- Nie znoszę ci tego przypominać, mistrzu, ale z doświadczenia wiem, że to nie wystarczy na długo.

Lando zatrzymał się w pół kroku. Spiorunował spojrzeniem małego androida. Rozpaczliwie chciał się pozbyć przysparzającego coraz więcej kłopotów skafandra i wskoczyć pod prysznic, a potem położyć się i przeleżeć kilka eonów.

- Dzięki za poparcie i zaufanie - powiedział. - Mamy jednak i te dwadzieścia milionów, które przypadkiem zabrałem, zanim odlecieliśmy z asteroidy Bohhuaha Mutdaha, a których on już nigdy nie będzie potrzebował!

Ruszyli dalej korytarzem i dotarli do sterowni, gdzie Vuffi Raa zajął się czynnościami, związanymi z wytyczaniem nowego kursu. Lando, nawet nie ukrywając ponurego nastroju, skrzył papierosa, używając w tym celu resztek tytoniu z pokruszonych cygar i bardzo nieodpowiedniego papieru.

- Dwadzieścia milionów kredytów i nawet nie mogę kupić niczego do palenia! - mruknął w pewnej chwili.

Robot znieruchomiał.

- Mistrzu, czy mogę ci zadać pytanie?

- Jedynie pod warunkiem, że nie będziesz nazywał mnie mistrzem.

- Spróbuję, Lando. Posłuchaj, ci rodacy Shangii, Renatazja- nie... Wydaje mi się, że jestem im coś winien. Tak czy owak, odczuwam coś, co określiłbyś mianem wyrzutów sumienia. Ich cywilizacja została niemal całkowicie unicestwiona. Miną wieki, zanim osiągną poprzedni stopień rozwoju. O ile w ogóle zdołają dokonać tej sztuki.

Lando z namysłem kiwnął głową.

- To prawda. Z drugiej strony, wszyscy muszą zaczynać na nowo. Bez względu na to, kim są i gdzie przebywają, muszą zaczynać każdy dzień od nowa.

- No cóż, mis... Lando, mamy przecież te pieniądze, które wygrałeś na Oseonie. Czy Renatazjanie nie przysliby do siebie o wiele szybciej, gdybyśmy chociaż trochę im w tym pomogli? Mimo wszystko, jesteśmy przecież hazardzistami i poszukiwaczami przygód. Czuliśmy się nieswojo, gdybyśmy mieli wieść dostatnie życie. Uważam, że powinniśmy oddać Klynowi Shandze te dwadzieścia milionów. Co ty na to?

Lando popatrzył na Vuffiego Raa, a potem zapalił papierosa i odchylił się na fotelu pilota. Zanim znów się odezwał, upłynęło bardzo dużo czasu.

- Wiesz, co, Vuffi Raa, w głębi duszy jesteś bardzo przyzwoitym, ludzkim androidem. A

skoro już rozmawiamy na ten temat, ja także chyba nie należę do najgorszych drani. W porównaniu z resztą wszechświata, całkiem porządni z nas faceci. A jeżeli chodzi o te dwadzieścia milionów, mój mały mechaniczny przyjacielu, możesz nie zaprzętać sobie nimi głowy. Zamierzam cieszyć się, że jestem bogaty!

LANDO CALRISSIAN I OGNIOWICHER OSEONA

Hazardzista Lando Calrissian zostaje zaproszony na partię sabaka przez władcę jednej z asteroid systemu Oseona. Wyruszając w podróż „Sokołem Milenium”, ma nadzieję ujrzeć na własne oczy słynne zjawisko znane jako Ogniowicher – niebezpieczne strumienie zjonizowanych gazów. Przede wszystkim jednak Lando spodziewa się, że uczestnikami gry będą najbogatsze istoty w całej galaktyce. Nie wie tylko, że ktoś czyha na jego życie...

Published originally under the title **Lando Calrissian
and the Flamewind of Oseon**
by Ballantine Books
©&TM 1983 Lucasfilm Ltd., All Rights Reserved.
Used Under Authorization.

ISBN 83-7169-917-4



Cena det. zł 17,80